

Ciąg dalszy „Trędowatej” pióra

HELENY MNISZEK

T
TAJEMNICA
BARONESSY



złoty wianuszek
SYN ORDYNATA

80

JABŁONSKI WITOLD

Tajemnica Baronessy

WITOLD JABŁOŃSKI

**Ciąg dalszy „Trędowatej”
pióra**

HELENY MNISZEK

I

Zapach sztamowych róż w wazonach, okalających grobowiec na podobieństwo olbrzymiego wieńca, snuł się i płynął ciężką, mglistą chmurą po całej przestrzeni ruczajewskiego cmentarza. Czerwcowy upał czynił go nieznośnym i mdlącym, jakby dobywał się z głębi podzwrotnikowej dżungli. Miast sprawiać radość, przypominał zbłąkanym w te strony podróżnym o nieuchronności śmierci i zgnilizny; nie popychał do czynu, lecz niczym narkotyk spętywał wolę i odbierał wszelką chęć działania. Rozpinał, zda się, wśród cyprysów, cedrów i smukłych brzoź misterną pajęczynę, zdolną schwytać każdego, kto nie umiałby uciec tej rozkosznej i niebezpiecznej pokusie, jaką była wszelka niemoc ruchu, połączona z duchowym rozleniwieniem. Kto zaś już poczuł na sobie słodkie owe pęta, kto poddał się im z rozkoszą, ten wprawdzie żył łatwo i przeciętnie aż do nieuchronnej śmierci, ale tracił wielką szansę uczynienia ze swego życia czegoś więcej niż tylko roślinnej wegetacji – tracił szansę na nieśmiertelność. Takie i tym podobne refleksje zajmowały umysł powabnej, eleganckiej kobiety, która przystanęła w zadumie przed wyróżniającym się spośród innych nagrobków cudnej roboty pomnikiem. Widziała go po raz pierwszy, chociaż wiele lat temu zastąpił białą marmurową płytę. Niegdyś nie znalazła w sobie dość odwagi, aby tutaj przyjść, choć były chwile, że pchała ją ku temu wielka ciekawość. Teraz niemal machinalnie i prawie bez wzruszenia odczytywała litery napisu:

W pierwszej wiosnie życia zgasła jak jutrzienka...

Jak biały motyl wplątany w ciernie.

Pozostawiła po sobie lzy.

I w sercu narzeczonego niezgłębioną chmurę.

Była jego szczęściem...

Wieńczie ją anieli.

Przez chwilę oczy zaszklily się jej perliście, ale opanowała się szybko. Myślała potem o przedziwnych kolejach swojego losu. Ich paradoksalność odczuła dopiero teraz odczytując poświęcony jej napis mogilny, stojąc przed własnym grobem, widząc datę swojej śmierci... Przeniknął ją dreszcz, a na ustach pojawił się gorzki uśmiech. Nie każdemu wszak było dane przeżyć własną śmierć i otrzymać w darze drugie, jakże inne życie... Nie była teraz pewna czy właściwie wykorzystwała swoją szansę otrzymaną od Opatrzności. Głównymi motorami jej działania były przecież początkowo chęć zemsty na nieprzychylniej jej sferze i pragnienie odzyskania ukochanego. Tymczasem... różne wypadki uczyniły z niej dla Waldemara bezcielesną marę, nawiedzającą go w snach na jawie, a z dawnej Stefcii Rudeckiej kogoś całkiem innego – kobietę dojrzałą, samodzielną, umiejacą zmagac się wśród życiowych burz i walczyć o swoje. Wielki los, kierowany najwidoczniej wolą Najwyższego, osmalil ją tchnieniem piekiel nie parzac i dal jej nowe nazwisko, tytuł baronessy, majątek. Arystokracja, niegdyś tak potężna, teraz traciła na znaczeniu lub karlała w ubóstwie, które przyniósł wichur dziejów. Ten wywrócił wszystko na nice, odarł z dawnego blichtru wiele świetnych rodów i fortun. Zemścił się za udreconą kiedyś niewinnie Stefcie, a cóż dawał Stefanii baronessie de Mildi? Przede wszystkim niezaleźność i wolność wyboru dalszej drogi.

Czy jednak wolność zupełną? Przecież mimo tylu niewyobraźalnych zmian, jakie zaszły w ciągu lat ostatnich, jedno prawo pozostawało nienaruszone – prawo miłości. I Stefania wiedziała, czuła to sercem, że w dalekim zamku ciągle kocha ją i pamięta wymarzony, piękny pan jej dziewczęcych snów. I ona o nim pamiętała i kochała tylko jego jednego. Teraz była już tego pewna. Więc czekała ją teraz walka ostateczna, walka o własne szczęście, a tym szczęściem mogło być tylko spełnienie uczuć obojga, wydobyć się z zaklętego kręgu cierpienia i niemożliwości.

Stefania spojrzala teraz z nowym wrazeniem na wspaniale rysujacą się na tle zlotoblękitnego nieba sylwetkę posagu. Pyszne, zdajace się szumiec na wietrze

skrzydła anioła unosiły się wysoko. Boski wysłannik pochylał pełną współczucia i podziwu twarz nad postacią młodziutkiej dziewczyny. Wieńcząc ją laurem stawał się jakby Miłością Wcieloną, składającą hołd skrzywdzonej czystości. Oczy dziewczęcia spoglądały z nową nadzieją na skrzydlatego młodzieńca. Do jej stóp opadała, jak gdyby przez nią samą odrzucona, cierniowa korona. Więc śmierć Stefanii Rudeckiej miała być kresem jej cierpień? To chyba chciał wyrazić w swej wizji genialny artysta. Lecz życie odległe jest od ideału. Nie szczędziło Stefanii dalszych bolesnych przeżyć, choć zarazem uczyniło ją dojrzałą i wlało w nią nowe siły.

I teraz uczuła kobieta przyływ optymizmu, gdy jeszcze raz popatrzyła na zwiewne postaci obojga, na ten pomnik, który choć rżnięty w kararyjskim marmurze, robił wrażenie nadzwyczaj lekkie, jak wycięty z opłatka. Była pełna podziwu dla wielkości dzieła, nie tylko artystycznej, ale również duchowej. Przecież ów zimny z pozoru głaz mówił o czymś jeszcze... mówił o potędze miłości, zdolnej pokonać nawet śmierć! Stefanii pomroczało przez chwilę w oczach, jak gdyby miała za chwilę zemdleć, a przyczyną tego nie był ani czerwcowy upał, ani przytłaczający zapach róż – było nią poruszenie najtajniejszych głębin kobiecego jestestwa, gdy w jednym błysku natchnienia pojęła co jest najważniejszym w życiu celem. Odzyskać miłość! Taką drogę wskazywał jej anioł z ruczajewskiego grobowca.

Usłyszała w żwirowej alejce znajome sobie kuśtykanie. Odwróciła się szybko w tamtym kierunku. Spomiędzy tui, modrzewi i cedrów wyróżniała się ciemną plamą postać starego Jamroza, którego, mimo lata podeszłe, wiek zdawał się nie imać – pozostał zdrów i krzepki jak ongi. I teraz, choć z widocznym wysiłkiem, zbliżał się ku niej szparko. Wybiegła mu na spotkanie, rozglądając się niespokojnie. Musiało snąć powstać jakieś niebezpieczeństwo, skoro jej niegdysiejszy wybawiciel i leśny opiekun zdecydował się ją powiadomić.

–Pani moja! – zaświszczał starzec donośnie. – Idzie tutaj pani rodzina! Trzeba się prędko ukryć!

–Lecz gdzie!? – spytała w bezradnym popłochu.

–Tylko proszę iść ze mną i nie zatrzymywać się, ani tym bardziej oglądać!

– rzekł tonem niemal rozkazującym.

Pochwycił ją swoją kościstą, silną szponą za dłoń i pociągnął za sobą w kierunku omszałej, porośniętej dziką różą i splątanym bluszczem kaplicy, mieszczącej się opodal, przy końcu alei. Stefania uprzytomniła sobie teraz, że była to kaplica rodowa książąt Ostalskich, dawnych władców tych ziem, którzy, jak głosiła legenda, wywodzili się z Ruczajewa i tutaj składali swe prochy. Ród wymarł przed blisko wiekiem i wspaniała barokowa budowla obróciła się w zupełną niemal ruinę. Brama, kiedyś podobno cała pokryta złotymi blaszkami, obecnie była przerdzewiała i powyłamywana, zapewne przez hieny cmentarne żądne łupu. Nie broniła już zresztą wstępu do pośmiertnej książęcej siedziby – tu i ówdzie mur się pozapadał i czerniał przykro wielkimi rozpadlinami. Okien także nie było, zaledwie resztki również przerdzewiałych krat. W dachu widniały dziury, przez które ostre promienie słoneczne łaskotały chwilami nieprzyjemnie zwisłe u zbutwiałych krokwi nietoperze. Zresztą ogólnie było tu cieniście dzięki potężnie rozrosłym, stojącym wokół świerkom. Stefania przypominała sobie mgliście z panieńskich swoich lat, jak to dzieciaki wiejskie lubiły w tej ruinie, zwłaszcza wieczorem, „bawić się w duchy”, choć gromił je za to ksiądz proboszcz, który te zabawy wyśledził. Niezależnie od wszystkiego, miejsce to było idealne dla osoby pragnącej się ukryć w danej chwili i obserwować wszystko nie będąc widzianą.

Ujrzała teraz natężonymi aż do bólu oczyma nadchodzącą z pewnego oddalenia grupę, idącą powoli, żalobnie, niczym chór w antycznej tragedii. Sędziwą matkę Stefci podtrzymywali z obu stron Jurek – już teraz inżynier Jerzy Rudecki, słynny w całym kraju konstruktor dróg i mostów – i jego młoda, ładna małżonka, prowadząca jeszcze za rączkę złotowłose pacholę, ostatnią pociechę staruszki. Zosi z nimi nie było, jak o tym wiedziała Stefania, odbierała nauki w szkole sióstr Niepokalanek pod Warszawą. Wcześniej zapewne odwiedzili pobliski grób starego pana Rudeckiego, zmarłego niedawno. I

Stefania była tam dzisiaj, i ona, podobnie jak teraz jej matka, oblała go szczerymi łzami bólu. Bezwiednie obserwowani zatrzymali się przed pomnikiem. Pani Rudecka odebrała z rąk syna bukiet wspaniałych kalii i złożyła je w załomie sztucznej skały, stanowiącej postument statui.

Jej córka wzdrygnęła się nerwowo, widząc ten hołd jej składany. Posłyszwała szloch matki rozgłośny... „I cóż ja dałam z siebie tym arcyszlachetnym, cudownym ludziom? – pomyślała z goryczą. – Jur przyniósł dumę rodzinie, dał jej potomka, Zosia także będzie podporą starości mojej matki, a ja...? Cóż im dałam poza niepokojem i cierpieniem? Dyszałam żądzą krwi jak upiórzyca, fruwałam po świecie jak strzyga, stałam się zmorą życia dwóch szlachetnych mężczyzn, Waldiego i Freda... Kim więc jestem? Kim jeszcze się stanę?! Powinni mnie raczej przeklinać...”

–Nie płacz mammo, nie trzeba się tak zadręczać – powiedziała w tej chwili, jakby odpowiadając myślom Stefanii, żona młodego Rudeckiego.

–Tosia ma rację, matuchno – wtrącił poważnie Jur głosem, w którym drgało wzruszenie. – Stefcia na pewno jest teraz szczęśliwsza od nas i kiedy patrzy na nas z niebios z pewnością nie pragnie naszych łez. Wolalaby zapewne, abyśmy cieszyli się ile możliwości naszym ubogim, ziemskim szczęściem...

–Wiem, że Bóg ją do siebie przygarnął i to mi przynosi jedyną pociechę w strapieniu – zalkała pani Rudecka. – Toteż ja nie po niej płaczę tylko za nią! O mój aniołku, jak mi do ciebie tęskno! – zakrzyknęła padając na kolana i przyciskając twarz do krat ogrodzenia. – Czasem czuję twoją obecność przy sobie tak blisko, jakbyś mnie do siebie wołała!

–Babciu, ja nie chcę żebyś płakała przez tego wstrętnego anioła! – zawołał teraz malec, nie widząc z tej sceny nie rozumiejący. Wyrwał dłoń z dłoni matki i przywarł do rozpaczającej babki swym wątłym ciałkiem.

Stefania uczuła wzruszenie silne, niemal nie do zniesienia. Każde słowo strapionej matki raniło boleśnie jej duszę i objawiało własne jej okrucieństwo. Jakże mogła przez tyle lat nie chcieć pamiętać o tragedii tych ludzi? Wprawdzie uczynił to za nią sam los. Jednak bez względu na wszelkie przeciwności, czyż nie

powinna była objawić się im wszystkim w najgłębszej tajemnicy, zamiast wspomagać tylko pieniężnymi datkami? Powstała w niej ogromna chęć, aby uczynić to teraz.

–Nie, mamó, córka twoja nie umarła dla ciebie! – szepnęły jej wargi.

Wyprostowała się i ruszyła przed siebie. W tejże chwili długie palce Jamroza wpily się w jej ramię boleśnie...

–Co panienka czyni, czy oszalała?! – usłyszała jego gorączkowy szept. – Takie przeżycie zabiloby matkę na miejscu! Nie ma odwrotu! – huknął głosem puszczyka.

Potrząsnął nią kilkakrotnie i Stefania oprzytomniała. Zatrzymała się w pół kroku i westchnęła z rezygnacją. Istotnie, dla niej nie było już powrotu do kraju lat dzieciennych. Może nawet lepiej, że taksie stało...

–Moje ty złotko! – wołała tymczasem pani Rudecka, tuląc wnuka do piersi.

–Wiesz, mamó, kiedy czasem we śnie widzę lub nawet na jawie wspominam śmierć naszej biednej Stefci, zawsze mi się zdaje jakby istotnie unosiły ją ku niebiosom anielskie skrzydła... I sam już nie wiem, czy było to jeno złudzenie rozbudzonej chłopięcej egzaltacji, czy też cud widomy... Ale że moja siostra była i na Ziemi aniołem, to pewne – pocieszał wciąż matkę Jur.

Rodzina umilkła, przez chwilę wszyscy mówili pacierze. Stefcia omal sama nie zaczęła powtarzać za nimi słów modlitwy za zmarłych, lecz zreflektowawszy się uśmiechnęła się tylko gorzko. Naraz od bramy cmentarnej rozległ się turkot powozu. Aleją poczęli nadchodzić długim rzędem jak gąsiorzy lokaje w liberiach z Głębo-wicz, Ożarowa, Słodkovic i Obronnego. Wszyscy nieśli wieńce w darze od tych, którzy do cichego Ruczajewa, w ucziwy polski dom państwa Rudeckich wnieśli prawdziwe nieszczęście. Rodzina powstała z klęczek i przyglądała się niemo tej wielkopańskiej pompie i paradzie. Po chwili kalie Rudeckich przywałyły róże, orchidee i tuberozy Michorowskich, Trestków, Elzonowskich i Podhoreckich... Gdy zniknęli lokaje, Rudeccy również poczęli się zbierać ze smutnymi minami.

–Czy zauważyliście, moi kochani – zaszczębiotała Tosia, chcąc widocznie rozproszyć posępne myśli teściowej i męża – ten wytworny automobil, stojący przy drodze do kościoła? Ciekawe, kto nim przyjechał...

–Jeśli nawet zawitał na naszą prowincję ktoś z wielkiego świata, tutaj z pewnością nie przybył – odrzekł jej małżonek z pewną niechęcią.

–A nie mówiłem panience, że auto trzeba było ukryć? – szeptał z nie ukrywaną satysfakcją Jamroz do ucha Stefanii. – Ale nie, uparła się zwracać na siebie uwagę! „Nikt mnie przecież nie pozna” – zacytował z lekką ironią. – Na przyszłość trochę więcej rozwagi, pani baronesso -dodał ciepłej.

–I co będzie teraz? – zapytał stary po długim milczeniu gdy przemykali opłotkami w kierunku auta. – Ostatni akord -odpowiedziała tajemniczo.

–Zawsze pragnąłem go dożyć – pokiwał głową z powagą.

II

Hrabia Barski przechadzał się nerwowym krokiem po salonie apartamentu hotelu „Bristol”. Dywan nie tłumił tych gwałtownych stąpień. Zazwyczaj magnat skarżył się na trudności w poruszaniu swoim potężnym ciałem, teraz jednak całkiem na to nie uważał, jakby zapomniał o podeszłym wieku i otyłości. Podkręcał odruchowo lub przygryzał sumiastego węża, co i rusz spoglądając z nieukrywanym niepokojem na żonę i córkę, zajmujące dwie naprzeciwległe otomany. Bierność i zewnętrzna przynajmniej obojętność tych kobiet wobec tylu rodzinnych nieszczęść drażniły go w najwyższym stopniu. Majątki i zamki były bezpowrotnie stracone, bankowe konto skurczyło się do zastraszająco małego wymiaru, a tymczasem Idalia i Melania zachowywały się, jakby się nic nie stało. Po dawnemu urządzały wystawne przyjęcia, stroiły się w wytworne toalety, myślały o balach i podróżach – wszystko oczywiście na kredyt, który przecież mógł się skończyć w każdej chwili. Barskiemu spędzało sen z powiek widmo bankructwa, o którym wkrótce dowie się cały świat – wierzyciele zlicytują te resztki, jakie jeszcze się ostały, a wówczas... nie będzie to już upadek w ubóstwo – ród Barskich czeka hańbiąca nędza! –Wkrótce zjadą do Warszawy Cwileccy – rzekł hrabia Barski przechadzał się nerwowym krokiem po salonie apartamentu hotelu „Bristol”. Dywan nie tłumił tych gwałtownych stąpień. Zazwyczaj magnat skarżył się na trudności w poruszaniu swoim potężnym ciałem, teraz jednak całkiem na to nie uważał, jakby zapomniał o podeszłym wieku i otyłości. Podkręcał odruchowo lub przygryzał sumiastego węża, co i rusz spoglądając z nieukrywanym niepokojem na żonę i córkę, zajmujące dwie naprzeciwległe otomany. Bierność i zewnętrzna przynajmniej obojętność tych kobiet wobec tylu rodzinnych nieszczęść drażniły go w najwyższym stopniu. Majątki i zamki były bezpowrotnie stracone, bankowe konto skurczyło się do zastraszająco małego wymiaru, a tymczasem Idalia i Melania zachowywały się,

jakby się nic nie stało. Po dawnemu urządzały wystawne przyjęcia, stroiły się w wytworne toalety, myślały o balach i podróżach – wszystko oczywiście na kredyt, który przecież mógł się skończyć w każdej chwili. Barskiemu spędzało sen z powiek widmo bankructwa, o którym wkrótce dowie się cały świat – wierzyciele zlicytują te resztki, jakie jeszcze się ostały, a wówczas... nie będzie to już upadek w ubóstwo – ród Barskich czeka hańbiąca nędza!

–Wkrótce zjadą do Warszawy Ćwileccy – rzekł hrabia z akcentem. Odczekał chwilę na reakcję niewiast, a nie doczekawszy się jej, kontynuował:

–Nasz „Bristol” staje się, widzę, ostatnim miejscem dla zrujnowanych...

Idalia drgnęła spazmatycznym ruchem i podniosła na męża wielkie, zdumione oczy. Była w tym zdumieniu i zaskoczeniu jak morska syrena, wyrzucona z nagle na piasek pustyni.

–Przecież Szale chyba nie stracone... – wyszeptała zbielełymi wargami.

–Ach, ma chere, bądźże wreszcie realistką i przestań błędzić w chmurach złudzeń! – zawołał z irytacją małżonek. – Szale obdłużone tak strasznie, że poszły całkiem pod młotek. Przy tym drogi nasz hrabia – dorzucił ironicznie – wdał się w jakieś podejrzanym kombinacje finansowe z łódzkimi geszefciarzami, chociaż go przestrzegałem... Ćwileccy są teraz bez grosza podobnie jak my... Z tą różnicą, że nam zrabowali wszystko bolszewicy, a ich Żydzi puścili z torbami. Może nawet tatko twojego, Melu, wielbiciela... – dokończył z pewnym wahaniem, spoglądając bystro na córkę.

Melania rzuciła się na kanapie niczym zmija tknięta rozpalonym żelazem. Twarz jej, ciągle piękna, choć nieco przekwitła, nie rozświetlana bowiem szlachetnością ducha, skrzywiła się groźnie. Nieco zbyt jaskrawo pomalowane usteczka wygięły się w płaczliwy łuk, oczy ciskały błyskawicami złości, wyszczypane w cieniutkie kreseczki brwi zbiegły się na czole pionową zmarszczką. Hrabianka Barska i eks-księżna Zaniecka wyglądała teraz wręcz odpychająco, choć każdy mógłby przyznać, że ciągle była powabna, dzięki wielkiej dbałości o siebie, stosowaniu do wymogów nowej mody i szwedzkiej gimnastyce. Drżącymi palcami sięgnęła po papierośnicę i wydobyła z niej

długiego, egipskiego papierosa. Po chwili, gdy już zaciągnęła się głęboko dymem, wyrzekła tonem pełnym urazy:

–Bardzo proszę, aby papa nie rzucił tak łatwych oskarżeń w mojej obecności! Ojciec mego... jak to papa był się laskaw wyrazić... wielbiciela ma dosyć milionów, aby jeszcze musiał okradać osoby z naszej sfery... Zresztą prawie nie ma już z czego! – syknęła z prawdziwą złością i zaciągnęła się znowu chciwie, kryjąc twarz za obłokiem dymu.

–Boże mój – jęknęła pani Idalia, podnosząc chustkę do oczu – jakich strasznych czasów dożyliśmy! Byle kupczyk, byle fabrykant nas teraz we wszystkim wyprzedza! Jacyś chłopci głosują za reformą rolną... W salonach pełno parweniuszy nie wiedzieć skąd... I to ma być wolna Polska?! Czy takiej oczekiwaliśmy?! To przecież nie kraj tylko koszmar!

–No, kto czekał tej Polski, ten się doczekał – zauważył złośliwie Barski.

–Ach, znowu to samo, hélas! – krzyknęła boleśnie jego małżonka, chwytając się za rozbolała (przynajmniej we własnym mniemaniu) skroń – Migrena! To już moja prawdziwa Golgota!

–Prawdziwa Golgota zacznie się, gdy nas zjedzą wierzyciele – odrzekł posepnie.

–Ja sama widzę, że czeka nas katastrofa – wołała Idalia, miotając się na poduszkach otomany w najwyższej rozpacz. – Nie ma na nowe suknie, nie ma na Riwierę, Melania nie ma posagu... Przecież nie pójdę teraz żebrac u własnej córki o kęs chleba! A może mam się poniżyć przed tym dziwakiem Waldemarem? Bo dochody ze Słodkowic na wszystko... – zaniósła się szlochem – nie wystarczą!

–Niech ciocia przestanie tragizować – rozległ się teraz przytłumiony, jakby zmatowiały głos Melanii. – Nowych toalet na ten sezon mam jeszcze dość, a co do mnie... sam papa laskawie zauważył, że mam jeszcze jednego wielbiciela – powiedziała z łatwo uchwytną goryczą.

Słowa ojca i przybranej matki, do której jak się utarło mówiła „ciociu”, sprawiły jej wyraźną przykrość. Dotychczas dumna hrabianka nie chciała

dopuścić do świadomości faktu, że odkąd zniknęła rodowa fortuna,wo-kół niej samej, tak dotychczas otoczonej adoratorami, stała się zupełna pustka. Nagle ten śmieszny młodzik, poznany w Szwajcarii, który był dla niej nikim, choć zauważyła, że doskonale tangował, kiedy raz jeden pozwoliła się poprosić do tańca, wyrastał na jedyne go poważnego konkurenta do jej ręki. Teraz, kiedy zaczął ją zasypywać kwiatami, listami i kosztownymi podarkami, zaczęła nawet zauważać, że był i młody i przystojny, a przy tym w zachowaniu całkiem comme U faut. Gdyby nie to, że był Izraelitą, gdyby nie to, że nosił zupełnie niestosowne nazwisko, kto wie czy nie byłby najlepszym wyjściem z sytuacji...

–Ależ dziecko moje, chyba rozum ci się pomieszał! – zawołała pani Idalia, patrząc na Melanię z pewnym strachem. – Wiesz przecież dobrze, że taki mezalians splamiłby twój ród na wieki, nie mówiąc już o różnicach kultury i rasy! Jest wszak jeszcze książę Szcerbiec... Zdaje się, że masz z nim jutro partię tenisa?

–Cóż po świetnym nazwisku – wtrącił cierpko hrabia – kiedy także bankrut. Co zaś do tego... do tego pana -ciągnął dalej z wyraźnym zakłopotaniem, mrużąc oczy i pochrzając – to wprawdzie ojciec jego jest zupełnie niemożliwym, ale na ile mogłem stwierdzić, on sam wyróżnia się na tle swoich niezwykle dodatnio. Zdaje się być rozsądnym i dobrze ułożonym młodzieńcem, a przy tym posiada zrozumienie dla spraw ducha... Ponoć jest nawet zdolnym artystą, malarzem amatorem. Przyznaję, że w tej sferze upodobanie to może dziwaczne, a jednak mnie... sam papa łaskawie zauważył, że mam jeszcze jednego wielbiciela – powiedziała z łatwo uchwytną goryczą.

Słowa ojca i przybranej matki, do której jak się utarło mówiła „ciociu”, sprawiły jej wyraźną przykrość. Dotychczas dumna hrabianka nie chciała dopuścić do świadomości faktu, że odkąd zniknęła rodowa fortuna,wo-kół niej samej, tak dotychczas otoczonej adoratorami, stała się zupełna pustka. Nagle ten śmieszny młodzik, poznany w Szwajcarii, który był dla niej nikim, choć zauważyła, że doskonale tangował, kiedy raz jeden pozwoliła się poprosić do tańca, wyrastał na jedyne go poważnego konkurenta do jej ręki. Teraz, kiedy

zaczął ją zasypywać kwiatami, listami i kosztownymi podarkami, zaczęła nawet zauważać, że był i młody i przystojny, a przy tym w zachowaniu całkiem comme U faut. Gdyby nie to, że był Izraelitą, gdyby nie to, że nosił zupełnie niestosowne nazwisko, kto wie czy nie byłby najlepszym wyjściem z sytuacji...

–Ależ dziecko moje, chyba rozum ci się pomieszał! – zawołała pani Idalia, patrząc na Melanię z pewnym strachem. – Wiesz przecież dobrze, że taki mezalians splamiałby twój ród na wieki, nie mówiąc już o różnicach kultury i rasy! Jest wszak jeszcze książę Szcerbiec... Zdaje się, że masz z nim jutro partię tenisa?

–Cóż po świetnym nazwisku – wtrącił cierpko hrabia – kiedy także bankrut. Co zaś do tego... do tego pana -ciągnął dalej z wyraźnym zakłopotaniem, mrużąc oczy i pochrzając – to wprawdzie ojciec jego jest zupełnie niemożliwym, ale na ile mogłem stwierdzić, on sam wyróżnia się na tle swoich niezwykle dodatnio. Zdaje się być rozsądnym i dobrze ułożonym młodzieńcem, a przy tym posiada zrozumienie dla spraw ducha... Ponoć jest nawet zdolnym artystą, malarzem amatorem. Przyznaję, że w tej sferze upodobanie to może dziwaczne, a jednak nie przynosi ujmy panu Jakubowi. Sądzę też, iż rozumie jak wielkim zaszczytem jest dla niego dopuszczenie do prawdziwego towarzystwa... Melania poderwała się nagle z otomany i stanęła na wprost ojca, mierząc go roziskrzonymi oczyma. Gwałtownym ruchem rozduła papierosa w popielnicze.

–Nie poznaję papy – rzekła ze szczerym zdumieniem. – To przecież ojciec przed wielką wojną był największym wrogiem małżeństwa Waldiego... ordynata Michorowskiego,któremu ja byłam przeznaczona... z niejaką panną Rudecką... Zrobiliśmy wszystko, aby owe plany zniszczyć. A teraz widzę, że jest gotów sprzedać mnie pierwszemu lepszemu Żydowi, byleby miał miliony... a ściślej mówiąc, trzymając się dzisiejszej taksy, miliardy!

Pod bezlitosnym wzrokiem córki, dawny wielki pan pełen pychy sferowej, którą się ongi niczym paw nadymał, teraz stał stropiony i zmieszany jak żak przyłapany na jakiejś psocie. Chwilę trwało milczenie, przerywane tylko

ciężkimi westchnieniami pani Idalii.

–Córeczko droga – powiedział wreszcie głosem cichym i przerywanym – wiesz, że najważniejszą dla mnie rzeczą było zawsze twoje szczęście jedynie... Tutaj tylko twoja wola się liczy. Jeśli pan... M. – nie zdobył się na wymówienie pełnego nazwiska – nie jest twoim zdaniem odpowiednim dla ciebie kandydatem, choć, jak już mówiłem, jest całkiem poprawny i chyba szalenie zakochany, nikt cię zmusić do mariażu nie może i nie chce. Ach, gdyby nie różnica wiar i okropne nazwisko! – zakrzyknął z głębokim smutkiem i zerknął na córkę bezradnie.

Melania popatrzyła na starego hrabiego z odcieniem niemal pogardy. Wzruszyła ramionami.

–To akurat najmniejsza przeszkoda. Jakub przejdzie na katolicyzm, gdy mu każę, a papcio dzięki swoim stosunkom załatwi w Rzymie dekret dający dzieciom z tego związku nasze nazwisko i jego majątek. Bo będzie mnie musiał drogo kupować... Melania Barska za żonę to luksusowa przyjemność!

Hrabia opadł na fotel, zdruzgotany. Teraz on ścisnął rozbolale jakoby nagle skronie. Cynizm córki przeraził go - Ależ, Melanio, przestań, na Boga żywego! Czy nie masz litości dla starego ojca?! Mówisz jak jakaś...

–Kurtyzana, to chciał papa powiedzieć? – nie ustępowała hrabianka. – A czymże innym były dotychczas małżeństwa w naszej sferze? Kupowało się żonę za tytuł albo majątek... Ten i ów czyhał na jej posag... Istne targowisko! Ten, jak to ciocia powiada, mezalians przynajmniej będzie z miłości... Cóż z tego, że jednostronnej... Jego jednego nic nie obchodzi mój posag. Jeśli więc dla papy nie będzie to zbyt wielkim nieszczęściem, wyjdę za tego Żyda – zakończyła z mocą.

–Ależ to będzie terrible scandall – zawołała pani Idalia zalewając się łzami. – Jak ja się ludziom na oczy pokażę?! Hrabianka Barska panią Mandelbaumową! Toż to horrendum niesłychane, jakiego jeszcze świat nie widział! Przyjdzie mi chyba zagrzebać się w Słodko wicach i ukryć w zupełnej samotni! Chcecie mnie do grobu wpędzić?! O, już czuję się chorą!

Opadła bezwładnie na poduszki. Szykował się poważny atak spazmów. Barski i jego córka spoglądali na to z pobłażaniem, przyzwyczajeni widocznie do hysterii baronowej. Zresztą słowa Melanii podziały zaraz jak zimny prysznic.

–Przecież nie ciocia wychodzi za Żyda, tylko ja -rzekła sucho hrabianka. – A honoru naszego rodu będzie strzegł mój ojciec i pierworodny syn z tego związku splodzony. Nie będzie on żadnym Mośkiem, ale hrabiczem Barskim. Już my go odpowiednio wychowamy... Zresztą młody Brochwicz nie ma tych skrupułów żeniąc się z siostrą Jakuba...

–To całkiem autre chose! – płakała dalej macocha. – Brochwicz daje jej nazwisko, podciąga ją do naszej sfery... ty zaś się niżasz...

–Nic nigdy nie poniży Barskiej! – odparła z wyższością Melania – Gardzę przesadami! Zresztą czasy powojenne są ciągłą wylęgarnią nierównych małżeństw. Trzeba iść z duchem epoki!

–Przy tym – dodał teraz hrabia, który widząc niezłomną postawę córki odzyskał już kontenans – osoba tak przez ciebie ceniona, baronessa de Mildi, nie wahała się przecież przestawać z owym rodzeństwem i wprowadzić ich do najlepszego towarzystwa! Jeśli więc mogła tak wielka dama... dlaczego nie możemy i my?...

–Sprzedać się jako nędzarze?! – wpadła mu w słowo Idalia. – Dobry Boże, czego doczekałam?... Mój mąż stręczy córkę Żydowi, a ta przyjmuje to jak rzecz naturalną... Czyńcie co chcecie! Dzisiejsze czasy nie na moje nerwy! Wyjadę na czas ślubu do siebie. Co zaś się tyczy baronessy, ona jest bogatą wdową i może przestawać z kim chce. W dodatku w jej kraju takie stosunki nie są uważane za kompromitujące...

–A widzi ciocia – pochwyciła zjadliwie hrabianka. – Czy więc nie pora także, abyśmy i my odrzucili dawne przesady? Tradycje feudalne uniemożliwiają nam stanie się ludźmi nowoczesnymi...

–I czym byśmy się stali bez tradycji i obyczajów? – zawodziła hrabina Barska żałośnie. – Uwierzyłabym wam może, gdyby nie żądza złota wyzierająca spoza owych górnołotnych frazesów o odrzucaniu przestarzałych przesądów!

Zapredaliście się złotemu cielcowi!

Wyciągnęła ku nim palec oskarży cielsko. Hrabia i jego córka nie zdobyli się na żadną odpowiedź. Cios był wymierzony zbyt celnie.

Dłuższą chwilę trwała nieznośna, ciężąca wszystkim, duszna cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara na kominku, nieubłagane odmierzającego czas. Z przykrego położenia wybawiło całą trójkę pukanie do drzwi.

–Wejść! – zawołała hrabia.

Wszedł lokaj i podał na tacy bilet wizytowy. Barski spojrzął na biały kartonik z zachłanną ciekawością, od dłuższego już bowiem czasu nikt z prawdziwego mondeu nie odwiedzał hrabiostwa, jakkolwiek przyjmowano ich nadal wszędzie, choćby dla splendoru nazwiska, ogólnie bowiem nie byli zbyt lubiani. Twarz starego magnata rozjaśniła się, gdy odczytał nazwisko niespodziewanego gościa. Odwrócił się w stronę żony i córki i wykrzyknął radośnie:

–Przybyła baronessa de Mildi! Ależ to widomy znak Opatrzności! I pewnie dobry omen! Prosić, prosić – rzekł spiesźnie do lokaja.

Pani Idalia czym prędzej otarła zapłakane oczy. Melania sięgnęła po kolejnego papierosa, a potem, zapomniawszy go zapalić, wpatrzyła się w drzwi salonu w niemym oczekiwaniu.

III

Po krótkiej chwili do apartamentu weszła zamaszystym krokiem gibka, wysoka kobieta, której idealne, klasyczne kształty uwydatniał wdzięcznie elegancki, skórzany strój automobilowy. Zmierzyła zebrane w salonie towarzystwo zimnym, na poły ironicznym spojrzeniem, które jednak zręcznie maskował miły uśmiech. Ominęła hrabiego, który nie panując nad sobą wybiegł na jej spotkanie i zbliżyła się do Idalii, aby się z nią czule przywitać. –Witam panią, liebe Grafin – zawołała wesoło, całując policzek Idalii. – Guten Tag, Herr Graf – wycedziła w stronę Barskiego, który wpatrywał się w nią wyczekująco, poczerwieniały z emocji.

Melanię uściskała w milczeniu. Potem, nim gospodarz salonu zdążył ją zaprosić, by usiadła, uczyniła to sama, opadając na najbliższej stojący fotel.

–Proszę mi wybaczyć mój strój oraz może nieco zbyt swobodne zachowanie – powiedziała – ale pędziłam tutaj z Łodzi co najmniej sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, aby zdążyć do państwa jeszcze przed wieczorem. Mam nadzieję, że mi to kochani państwo wybaczą... Leciałam jakby unoszona skrzydłami miłości...

Zmierzyła wiele mówiącym spojrzeniem Melanię, która wzdrygnęła się odruchowo.

–Ależ skąd, jesteśmy zachwyceni pani wizytą, baronesso – zakwilila słodziutko Idalia. – Toż to urocza siurpryza!

–Właśnie, właśnie – zawtórował jej małżonek – to samo chciałem rzec! Charmante surprise, madame la baronessel Skoro pani zdrożona, to może koniaczku? Kawusi? – zatroskał się i już sięgał do dzwonka na służbę.

Baronessa potrząsnęła przecząco głową.

–Nein, danke, Herr Graf... Najchętniej przeplukałabym gardło waszym znakomitym piwem, za którym przepadam, jakkolwiek jestem Niemką. O tak!

Szklankę chłodnego piwa...

–Piwa?! – zakrzyknęła ze zdumieniem Idalia, na której zarówno życzenie Stefanii, jak i określenie „przeplukać gardło” zrobiły piorunujące wrażenie. – Pani gustujesz w napoju tak gminnym? Cest impossible!

–Ależ, droga hrabino – odparła Stefania z odcieniem zniecierpliwienia – to napój starożytny, zdrowy i demokratyczny- wypowiedziała ostatnie słowo z naciskiem – a niegdyś nie wahali się go pić również i wasi książęta. Najwyższy czas zerwać z konwenansami, które w dzisiejszych warunkach stają się coraz bardziej absurdalne.

–Właśnie to samo mówiłam cioci – wtrąciła triumfalnie Melania. – Cieszę się, że przychodzi mi pani w sukurs, pani baronesso. Wiele osób z naszej sfery nie chce w ogóle dostrzec jak bardzo świat się zmienił. Sądzę, że powinniśmy iść z postępem, albo zginiemy...

–Tak, to prawda, nasz świat zmienił się, ale czy na lepsze? – westchnęła hrabina.

–Nie nam o tym sądzić – rzekła hrabianka twardo -ale pani Stefania słusznie i jakże subtelnie zwraca nam uwagę, że powinniśmy się koniecznie zmodernizować, jeśli nie chcemy doczekać losu mamutów i dinozaurów. Ja również poproszę o piwo – dodała ostentacyjnie.

–A to i ja sobie pozwolę na łyk demokracji! – zawołał rozpromieniony Barski. – Ten ustrój jest zresztą całkiem znośny w tak uroczym towarzystwie – zwrócił się do baronessy – i kto wie, czy nie przekonam się do jego idealów! A ty, czego się napijesz, ma chere? – zapytał z atencją małżonki. Najwyraźniej nie zapominał, że w dłoniach pani Idalii spoczywała posiadłość, mogąca uratować jeszcze na czas jakiś egzystencję rodziny. Było to tak oczywiste, że aż spowodowało wymianę ironiczných uśmieszków między hrabianką i baronessą de Mildi.

–No cóż, ja może... un aperitif – wyszeptała ledwie dosłyszalnie hrabina Barska, tocząc wokół spojrzeniem zaszczutej przez gończe psy łani.

Hrabia wydał dyspozycje lokajowi, który przyjął niespodziane życzenie

Barskich i niemieckiej baronessy z nieporuszoną obliczem. Ot, pańskie zachcianki!

–I cóż, jeśli wolno zapytać, panią do nas sprowadza, droga przyjaciółko? – zadał pytanie magnat, gdy sączył już szklanice piwa, bardzo się zresztą przy tym krzywiąc.

–Wspomniałam już, że jestem gońcem miłości – odpowiedziała Stefania, znów przeszywając Melanię znaczącym spojrzeniem – i nie były to ciche słowa. Przyjechałam tutaj z młodzieżą... Sara i Jakub Mandelbaumowie zajęli apartament na tym samym piętrze.

–Ach, więc Jakub jest w Warszawie?! – zawołała hrabianka Barska z nieukrywaną satysfakcją. – To wspaniała wiadomość. Dlaczego jednak nie przyszedł z panią do nas?

–Ależ Melu – syknęła karcąco pani Idalia, odzyskawszy już spokój ducha przy swoim „apero”.

–Mówmy sobie po imieniu, tak będzie łatwiej – zaproponowała ciepło baronessą. – Jesteśmy przecież rówieśnicami... – zauważyła z ledwie uchwytną złośliwością. – Będzie mi bardzo miło, Melanio, jeśli nazwiesz mnie po prostu „Steffi”...

–Ach, z radością! – wykrzyknęła Melania, ujmując dłonie nowej przyjaciółki. – Dlaczego więc nie ma tu z nami Jakuba?

Stary magnat sapnął z zadowoleniem. Nie zamierzał bynajmniej karcieć córki za jej nieco nieopanowane zachowanie, chociaż jego małżonka przyglądała się temu ze zgrozą.

–Znasz przecież, Melu, Jakuba – tłumaczyła łagodnie Stefania. – To jeszcze bardzo naiwny młodzik, który nie śmie zbliżyć się do ukochanej, jakby była jakimś bóstwem... Błagał mnie jednak usilnie, abym w jego imieniu uprosiła cię, byś zgodziła się wybrać dzisiejszego wieczoru na dancing. Będę tam również ja, a także Sarcia z Brochwiczem. Pragnie ci przypomnieć jak się stawia kroki pewnego tańca...

–Na dancing? – nie wytrzymała pani Idalia. – Ależ... to chyba nie

wypada... Jeśli ten pan ma względem Melanii poważne zamiary... Cóż świat powie na takie spotkanie?

–Ciociu! – odparła szybko Melania głosem nieco drżącym. – Może kiedyś młoda dziewczyna nie mogła się spotkać poza domem ze swoim przyszłym narzeczonym i mężem, ale teraz... Nie żyjemy przecież w średniowieczu! Papa pozwoli, prawda? – zwróciła się do ojca z taką pewnością siebie, że pytanie brzmiało jak rozkaz.

–Hm, no cóż – odparł z zakłopotaniem hrabia – jestem przekonany, że osoba naszej drogiej baronessy gwarantuje całkowitą stosowność tej eskapady. Zresztą, będziecie oboje w większym gronie... Przy tym hrabia Brochwicz z narzeczoną... Cóż bardziej naturalnego, że i ty spotkasz się ze swoim wielbicielem?

Hrabina Idalia już otwierała usta aby zaproponować, lecz pod okiem małżonka szczęśliwie zrezygnowała z dalszych protestów. Melania była oszołomiona i podniecona. Ten wypad do nocnego lokalu miał dla niej posmak czegoś nowego, jakby zakazanej przygody.

–A zatem załatwione – powiedziała Stefania, śmiejąc się przy tym radośnie. – Bądź gotowa, Melu, na dziesiątą wieczór.

–Ach, oczywiście, że będę, Steffi...

Uśmiech Stefanii teraz jakby stężał. Wesolość z jej twarzy zniknęła. Pozostała tajemniczość i coś niby ukryta groźba.

Poprzez gwar zadymionej sali przebijał się krzyk jazzbandu. Oстрым piskiem trąbek i wizgiem saksofonów uderzał rezonansowo w obrzeża pucharów szampana zanim doniesiono je do ust. Klekotem klawiszowym pianina powodował orgię brzdąknięć wśród kryształów zwieszających się kandelabrow. Masą miedzi i mosiądzów odbijał się ukośnie od luster, jakby chciał je roztrzaskać na drobne kawałki i lądował chaotycznym zgiełkiem w uszach oszołomionych słuchaczy i danserów. Była w tym dzikim hałasie, jakby wyrwanym z afrykańskich puszczy i ucywilizowanym naprędce w amerykańskich spelunkach, jakaś szaleńcza metoda -ten pozorny zamęt, ten wrzask oddawał w

pełni szaleństwo nowej epoki, która upoiła się nowoczesnością i możliwościami, jakie ona daje, a przy tym pragnęła jak najprędzej zapomnieć o okropnościach wielkiej wojny i rewolucji oraz nowych, nadciągających już zagrożeniach. Tak więc krzyk jazzbandu z jednej strony odsłaniał zamęt panujący w duszy wszystkich na pozór beztrzesko rozbawionych ludzi, z drugiej zaś otumaniał i dawał zapomnienie jak narkotyk, lub mocny alkohol, który też lał się strumieniami.

Sala była mroczna, tylko na stolikach płonęły niewielkie lampki, przypominające znicze nagrobne. Ze ścian straszły ledwo widoczne płomieniste zygzaki i okropnie wykrzywione maski – owoc perwersji szalonego artysty. Tylko krąg taneczny oświetlala srebrzysta kula, zalewając tańczących zimnym, księżycowym blaskiem. Skąpani w owym świetle wyglądali nierzeczy-wiście, jak blade widma lub ćmy.

Kiedy na progu sali pojawiła się Melania Barska, wyglądała również jak księżycowa kobieta. Miała na sobie sukienkę ze srebrnej lamy, pelerynkę z lisów polarnych, a we włosach wpiętą pyszną egretę z pękiem śnieżnobiałych strusich piór. W dłoniach ścisnęła nerwowo takiż wachlarz. Nawet jej zawsze wielkie, wyraziste oczy przypominały tego wieczoru migotliwe sierpy, gdy zwężała źrenice, aby dostrzec cokolwiek w dancingowej otchłani. Spojrzała niepewnie na stojącą obok baronesę de Mildi. Jej spokój i pogodny uśmiech dodawały hrabiance otuchy.

–Tu tylko na początku straszno – rzekła cicho Stefania, ujmując Melanię pod ramię. – Potem może być już tylko wspaniale, a jeszcze potem... czasami śmiertelnie nudno. Tak jak nudne w końcu okazują się zło i grzech, albowiem są jałowe. Nie wie o tym tylko ten, kto tego nie zaznał.

Melania popatrzyła na przyjaciółkę z ogromnym podziwem, a potem już śmielej powiodła wzrokiem po sali. Było tu sporo osób z najwyższego towarzystwa, między innymi książe Aleksander Szczerbiec, który zresztą skłonił się jej skwapliwie, siedzący przy stoliku w towarzystwie zupełnie nieznanego młodzieńca. Ale oprócz osób wyróżniających się rasą, wykwintnym strojem i

obejściem, widać było także dużo nuworyszów, ufnych w siłę zdobytego dopiero co pieniądza, a co gorsza także zwykłych hochsztaplerów, najgorszego gatunku aferzystów. Widać to było z twarzy i z manier i nie umknęło bynajmniej bacznemu, trzeźwemu spojrzeniu hrabianki. Poczula pewien lęk przed tym nie znanym sobie światem... Zadrżała... I z prawdziwą radością dostrzegła wreszcie znajomych sobie ludzi – doprawdy ludzi prawdziwych, co teraz zaczęła sobie uświadamiać niejasno – kiwających do niej i baronessy ze swojej łoży. Jerzy Brochwicz aż krzyknął ze zdumienia, ujrzawszy metamorfozę, jaka się dokonała w zapamiętanej z łódzkiego lazaretu Stefanii. Tę słodką, płowowłosą istotę, bardziej do anioła niż do żywej niewiasty podobną, zastąpiła teraz krótko ostrzyżona, łącząca rudawy połysk fryzury z krwistopurpurową satyną sukni wytworna w każdym calu kobieta, podobna do jakiegoś egzotycznego ptaka czy kwiatu. Także jej karminowe, pełne usta i oczy lśniące jak topazy stanowiły pokusę i niebezpieczne wyzwanie. Jakiż kontrast z tymi dwiema tygrysicami stanowiła jego kochana Sarcia w swojej skromnej, choć eleganckiej białej sukience, zdobnej naiwnymi bufami i falbankami! Skromność Sarci miała, oczywiście swój urok, ale nie mogła równać się z przytłaczającą wszystko i wszystkich opiumową lubieżnością tamtych kobiet. Jakub wpatrywał się w swoją ukochaną jak młody Indianin zanoszący modły do księżycy. „Biedny smyk – pomyślał ze współczuciem Brochwicz -nie ma nawet pojęcia, że wpadł po uszy w uczucie do wyjątkowo złej kobiety... Dlaczego jednak pani Stefania podsyca to uczucie?” Zastanawiało go to już od dłuższego czasu i nie potrafił rozwikłać owej zagadki, zresztą zanadto był ostatnio zajęty przygotowaniem do ślubu z Sarą.

Baronessa czule uściskała Sarę. Melania uczyniła to nieco mniej serdecznie, myśląc z pewną niechęcią o swojej przyszłej szwagierce. Uważała ją bowiem za parweniuszkę, która dzięki protekcji baronessy i wojennej zawierusze zdobyła uczucie lekkomyślnego hrabiego. Nie mogła, myśląc o Żydach, pozbyć się tradycyjnych uprzedzeń, które przypisywały owej rasie takie cechy jak prymitywną chciwość, spryt, brak honoru i kultury, wreszcie snobizm.

Tak właśnie z góry osądziła Sarcie, nie zadawszy sobie nawet trudu, aby bliżej się jej przyjrzeć i poznać ją lepiej. Również karesy zachwyconego Jakuba rozdrażniły ją, toteż przyjęła je chłodno. W myślach błąkało się własne jej zdanie: „Będzie mnie musiał drogo kupować!..” Kiedy wreszcie usiedli, trzeba było jednak prowadzić jakąś konwersację.

–Jakże się czują pani rodzice, księżno? – zapytał po chwili milczenia Brochwicz z satyrycznym ognikiem w oku.

Melania odczuła owo pytanie jak smagnięcie batem. Wszystko w nim było afrontem – aluzja do sytuacji jej rodziny i przydany tytuł księżnej, nawiązujący do nieudanego małżeństwa z Zanieckim. Potrafiła jednak zapanować nad sobą.

–Mógłby się pan łatwo o tym przekonać, panie hrabio – odrzekła spokojnie – gdyby zechciał nas pan kiedy odwiedzić. Ale spostrzegam, że ostatnio woli się pan zagłębiać w tereny... comment diraisje... dziewicze, cha! cha!

Ten jej końcowy śmieszek zabrzmiał wybitnie nieprzyjemnie. Potoczyła po zebranych zwycięskim, dumnym spojrzeniem, pod którym Jakub skulił się odruchowo. Mimo to właśnie on postanowił ratować sytuację.

–Pragnąłbym odwiedzić jutro, jeśli to tylko możliwe, drogich rodziców pani i złożyć im swe uszanowanie... Tym bardziej, że jutro przybędzie do stolicy mój ojciec -dodał lekko speszony.

–I chcielibyście omówić wraz z moim papą małżeński kontrakt? – spytała Melania arogancko, niemal z jawnym wstrętem.

–Ależ, Melanio, cóż tu ma do rzeczy kontrakt, gdy w grę wchodzi prawdziwe, wielkie uczucie? – rzekła strofująco Stefania, przychodząc na pomoc stropionemu Mandelbaumowi.

–Toteż ja nie neguję uczucia – wycofała się szybko hrabianka, orientując się już, że zapędziła się trochę zbyt daleko. – Chciałam tylko zaznaczyć, że uważam za śmieszne dawne formy starania się o pannę. Po cóż te uroczyste spotkania rodziców i nie kończące się narady? Wystarczy przecież chyba, że narzeczony odpowiada mi pozycją społeczną, inteligencją, aparycją, rozumem i

wykształceniem, majątkiem i ostatecznie dobrymi manierami, abym to ja go wybrała. A cóż ma do tego familia? Nie pojmuję...

–Jak to się jednak ludzie zmieniają, a nawet kobiety! – zauważył Brochwicz znów z przekąsem. – Przypominam sobie pewną rozmowę pani i Waldemara na balu w Głębowiczach, której byłem mimowolnym świadkiem...

–Pan podsłuchiwał?! – zaatakowała Barska.

–O nie, rozmawialiście wystarczająco głośno... Otóż wówczas mówiła pani, że to niemożliwe, aby poświęciła pani swoją sferę, choćby dla człowieka najbardziej ukochanego.

–Mój panie – osadziła go szybko Melania – nie muszę chyba przypominać, że głośne opowiadanie rzeczy dawno niebyłych należy do wyjątkowych nietaktów. A poza tym... czasy się zmieniają i my razem z nimi – zacytowała znane łacińskie przysłowie.

–Proszę mi wybaczyć, hrabianko – dał za wygraną. – Zadziwia mnie ostatnio tyle nowości niezwykłych i czasami wspaniałych...

Mimowolnie spojrzał na Sarę, która zarumieniła się. Poczula się najwyraźniej zobowiązana, aby coś powiedzieć, gdyż zaszemrała nieco nieśmiało:

–Ja sędzę, że wszystkie owe cechy, jakie wymieniła hrabianka Barska nie mają żadnego znaczenia, jeśli pomiędzy małżonkami nie ma prawdziwej miłości. Zgadzam się tutaj z panią Stefanią. Baronessa de Mildi uśmiechnęła się do niej z macierzyńską niemal czułością. Trzeba przyznać, że Sara Mandelbaumówna wyglądała w tym wylaniu swoich uczuć szczególnie pięknie. Hrabia Jerzy ujął jej drobną, wąską, rasową dłoń, która niegdyś tyle razy opatrywała jego rany, i długo pieścił ją i całował w milczeniu. Jakub już od dłuższego czasu wiercił się na swoim krześle niecierpliwie, wreszcie zdobył się na odwagę, ośmielony widać postawą siostry:

–Gdyby udało się rozwikłać zagadkę miłości, żylibyśmy może jak w raju – powiedział sentencjonalnie, wpatrując się intensywnie w uwielbianą kobietę.

–Czyż piekło nie jest ciekawsze? – odparła kokieteryjnie hrabianka.

–Myślę, że w nas samych jest piekło i raj – powiedział bez wahania.

–I tylko od nas samych zależy, co sobie tu, na Ziemi, stworzymy – wstawiła mocnym głosem Stefania, obserwująca już od dłuższego czasu z uwagą tych dwoje.

Melania nagle spłoszyła się, tak jakby sprawy zaszły trochę zbyt daleko... Poczula się wciągana wbrew własnej woli w jakąś niezrozumiałą dla niej do końca intrygę. Czy aby na pewno nie ma innego wyjścia, czy rzeczywiście musi wyjść za tego przystojnego i bogatego Żyda? Z niedalekiej łoży uśmiechał się do niej książę Aleksander... Swoją drogą, kim jest ten jego tajemniczy towarzysz?

–Steffi wspomniała mi, że namalował pan mój portret – rzekła pospiesznie, aby pokryć zmieszanie. – Chciałabym go zobaczyć. Mam nadzieję, że nie przedstawia mnie pan tam jako poczwarę w modernistycznym stylu?

–Nawet pędzel Cranacha i farby Tycjana, piorun natchnienia El Greca czy kolorystyka Matisse'a nie oddałyby w pełni pani piękności – odrzekł z westchnieniem młodzieniec.

–Więc przyniesie mi pan jutro płótno do hotelu czy też ma pan również tutaj, w Warszawie, jakąś pracownię? Chętnie odwiedziłabym tam pana... Sama, późnym popołudniem...

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem. Zastanawiali się, czy hrabianka mówi to wszystko poważnie, czy też kpi w żywe oczy z zakochanego młokosa. On sam był najbardziej niepewny, lecz postanowił znieść mężnie swoją sytuację.

–Późnym popołudniem mam w swojej pracowni nienajlepsze światło... Chyba że... chyba że zdecydowałaby się pani pozować do aktu -dokończył z wysiłkiem.

Przy stoliku rozległy się śmiechy trójki słuchających tej dziwnej wymiany zdań. Melania postanowiła nie ustępować bez względu na kompromitację.

–Więc popołudniowe słońce jest odpowiednie do malowania aktów? – spytała, jakby istotnie chciała się dowiedzieć.

–O tak – rzekł Jakub z przekonaniem – wówczas bardzo pięknie wyzłaca wszystkie linie nagiego ciała...

Melania uśmiechnęła się cynicznie.

–Czy doprawdy wszystkie? – Owszem...

–A zatem odwiedzę pana. To będzie znacznie ciekawsze niż rodzinne wizyty w „Bristolu”. Niech nasi ojcowie omawiają nudne kwestie finansowe... A pan chce mnie zobaczyć naga przed ślubem, zmierzyć i ocenić, jak dawnymi czasy na targu niewolnic?! – prowokowała dalej.

–Grają tango... Zatańczy pani? – wybrnął z trudnego położenia młody Mandelbaum. Powstał i skłonił się szarmancko. Melania popatrzyła zdezorientowana na baronesę de Mildi, która skinęła głową zachęcająco.

–Właściwie to mnie pan był winien pierwszy taniec, panie Jakubie – powiedziała z żartobliwą wymówką Stefania. – Przecież jestem dawniejszą pańską przyjaciółką niż Mela... Cóż, rozumiem, serce nie sługa – dodała z naciskiem.

Hrabianka podała dłoń swemu partnerowi. Ten schwycił ją gwałtownie w talii i przyciągnął do siebie. Jego palce dotknęły nagich pleców w wycięciu... Melania drgnęła nerwowo. Ten dotyk był bardzo podniecający... Dotychczas nikt tak na nią nie działał...

Już po chwili rytm namiętnego tanga niósł ich opętanych, szalonych. Jakub włożył w stawiane kroki i kolejne figury cały swój talent, ale z jego partnerką stało się coś dziwnego, co też on sam i wszyscy zaraz zauważyli. Początkowo sztywna i oziębła nagle zachowała się tak, jakby taniec rozgrzał jej krew i obalił w duszy wszystkie tamy światowego konwenansu. Zapragnęła być dzika, wolna, oddana swemu tancerzowi bez reszty jak prosta, zakochana dziewczyna. Melania zawsze tańczyła dobrze, ale teraz przeszła samą siebie, gnąc się wężowymi ruchami w ramionach młodzieńca i fruując lekko na parkiecie z poszumem sukni i piór. Aż dziwiło wszystkich, że jej partner ma na sobie zwyczajny, czarny frak-powinien być być raczej tak samo półnagi jak ona, obwieszony klejnotami i zdobny w pióra. Cóż bowiem zrobiła kultura europejska z naturą, każąc samcowi – jakże niesłusznie! – być płcią brzydszą! Jakub istotnie w tańcu stał się niebywale pięknym i pociągającym, co Melania

chłonęła, zdawałoby się, całym rozognionym ciałem. Gdy pochylał się nad nią, czuła żar przelewający się z jego piersi do swojej. Stali się jednym ciałem i duszą... No, może duszą jeszcze nie, lecz ciała ich odszukały się na pewno wcześniej...

Inni danserzy tworzyli wokół owej pary krąg i obserwowali pełnymi podziwu oczyma monarchów tego wieczoru. Jakub mimowiednie, gdy już kończył się utwór, poprowadził Melanię w ciemny załom ściany, za czarną kotarę z kubistycznymi aplikacjami, które migwały w oczach kobiety jak okruchy kolorowych, kalejdoskopowych szkiełek. Kiedy wpił się w jej usta, smukły i gorący, przepelniło ją szczęście całą, od stóp do głów. Wygięła się w spazmatyczny łuk, gdy ją całował jak wariat... Obejmował ją tak samo jak tam, na sali, a jednak, jakże inny był ten uścisk... Po raz pierwszy w życiu hrabianka Barska znalazła się w mocy kogoś, spod którego władzy nie miała najmniejszej ochoty się wyzwolić... Wszelako świadomość, że oto stała się bohaterką publicznego skandalu, zwyciężyła w końcu. Oderwała się z trudem.

–Pijmy... szampana! – szepnęła dysząc ciężko.

Otworzył swoje wielkie, migdałowe oczy i spojrzał na nią nieco przytomniej. Odsunął się nieco, ale nie puszczał dłoni z parzącego uścisku.

–Kocham panią... – wyrzęził przez zaciśnięte zęby.

Uwolniła prawą dłoń i położyła końce palców na jego wydatnych, rozczzerwionych pocałunkiem wargach.

–Nie, po co... – wymamrotała obłądnie. – Proszę nic takiego nie mówić, bo oszaleję! To może tylko niepotrzebne kłamstwo! Ja nie chcę!.. Jutro nasi ojcowie naradzą się, a ja... przyjdę do pana... jak niewolnica do namiotu zdobywcy... Ach, jak nam przeszkadzają te stroje i wszyscy ci ludzie! – zawołała nagle boleśnie.

–Wracajmy do stolika – rzekł młodzieniec, który także z trudem próbował ochłonąć.

–Nie! – krzyknęła Melania prawie z rozpaczą. – Chodźmy najpierw do baru. Chcę być jeszcze przez chwilę z panem... sama. Spleceni w myślach

zmysłowym uściskiem, a w rzeczywistości utrzymujący między sobą dopuszczalną w towarzystwie odległość, pomknęli oboje do baru. Tam otwierano już dla nich, nie pytając, butelkę najlepszego szampana. Widać było po ich oczach i ruchach, czego im trzeba naprawdę, jakby rzeczywiście byli parą drapieżników w dżungli. Wszyscy goście, w tym również Sara i Brochwicz, przyglądali się im z lęklwym, holdowniczym podziwem, taki blask i potęga były od nich, jak luna. Była to luna wielkiej miłości i szczęścia.

Stefania baronessa de Mildi obserwowała ich przez cały ten czas, zwracając swój kameowy profil za każdym poruszeniem się dwojga kochanków. Bo tutaj, na parkiecie, Melania i Jakub stali się kochankami i wszyscy już o tym wiedzieli... a zwłaszcza Steffi, która od dłuższego już czasu na to czekała. Teraz patrzyła na nich z nieukrywaną satysfakcją i nieodgadnionym, sfinksowym uśmiechem Giocondy.

Do pijących łapczywie szampana zbliżyli się teraz dwaj wyfraczeni młodzieńcy, stając obok w nonszalanckich pozach. Jednego z nich znano powszechnie, był to książę Szczerbiec, o którym cała Warszawa wiedziała, że przepuścił resztki swego majątku na gry i hulanki. Drugi był zupełną nowością. Uderzała jego niezwykła uroda – przypominał nieomal któregoś z aniołów Botticellego lub Dantego Gabriela Rossettiego. Twarz jego miała chorobliwy, przeduchowiony, mdlejący urok, co uwydatniały jeszcze wijące się wokół niej w złotych puklach, od dawna nie tknięte fryzjerskimi nożycami włosy. Jednak przesadne gesty i wyraz przedwczesnego znużenia na twarzy, nadawały tej postaci piętno zblazowania. Stanowił w każdym razie ciekawy kontrast z węgiersko-włoskim typem Szczerbca. Ten ostatni skierował swój monokl na Melanię i młodego Mandelbauma, zmierzył ich oboje nieprzyjaznym spojrzeniem, po czym rzekł impertynencko: –Bon soir, ma cousine... Nikt mi nie powiedział, że mam tak groźnego rywala do twojej ręki. Gratuluje. Doskonale pan tańczy. Czy wolno znać pańskie nazwisko, jeśli oczywiście nie jest pan tutaj fordanserem?

Jakub zachnął się. Awantura zdawała się wisieć na włosku. Melania

poczuła się, jakby nagle ktoś chlusnął na nią pomyjami. Ileż upokorzeń musiała teraz znosić w imię miłości!

Na szczęście przyszła z pomocą obojgu Stefania, która przysłuchiwała się tej niezbyt milej wypowiedzi, a teraz postanowiła interweniować i pozostawiając Sarcie z narzeczonym przy stoliku, podeszła energicznie do baru.

–Dziwię się panu doprawdy, drogi książę, że można się zapomnieć do tego stopnia! – rzekła surowo. – Pan łamiesz formy! Najpierw pan powinienes przedstawić swojego przyjaciela, a dopiero wówczas wypadaloby przedstawić panu narzeczonego Melanii... Czy właśnie panu, jednemu z najpierwszych nazwisk w kraju, trzeba to przypominać?

–Ach, proszę mi wybaczyć, baronesso – odparł skonfundowany Szczerbiec. – Istotnie, dałem się ponieść emocjom... Mój przyjaciel przebywał od dziecka za granicą i dopiero od niedawna bawi w ojczyźnie, choć pochodzi z równie starego i zasłużonego rodu, co ja. Pozwolą państwo... książę Paweł Ostalski.

Wymokły młodzian uklonił się wszystkim niedbale i bąknął coś po francusku. Stefania nie mogła powstrzymać odruchu zdumienia. „Ostalski?!.. Jakże to?!.. Przecież...” – przebiegło jej przez głowę. Stała przed oczyma jej duszy kaplica grobowa z cmentarza w Ruczaje-wie... Postanowiła jednak odłożyć rozwiązanie tej zagadki na inny czas, teraz bowiem usłyszała, jak książę Aleksander zwraca się do Melanii:

–Czy i moja ciekawość mogłaby teraz zostać zaspokojona?

–Oczywiście, kuzynie – syknęła hrabianka z ledwie skrywaną złością. – Przedstawiam ci mojego narzeczonego... Pan Jakub Mandelbaum.

–A zatem pojedynek wykluczony! – wykrzyknął z prawdziwym czy może udawanym żalem książę. – Przepisy towarzyskie zabraniają mi przecież bić się z człowiekiem z innej sfery, a już tym bardziej innej rasy.

–A czy zabrania to również księciu być obitym? – rzekł gromko Jakub, doprowadzony zachowaniem arystokratycznego głupca do ostateczności.

–Jakubie, proszę cię – szepnęła Melania, chwytając młodzieńca pod rękę,

jakby w obawie, że spełni zaraz swoją groźbę. – Nie daj się sprowokować tym utytułowanym balwanom! Chodźmy stąd!

Pociągnęła Jakuba za sobą w kierunku stolika, gdzie oczekiwali na nich Sara i Brochwicz. Wstrząśnięty książę Szcherbiec odprowadzał ich zdumionym wzrokiem.

–Ach! – jęknął nagle. – Zupełnie zapomniałem zapytać moją zwariowaną kuzynkę, czy jutrzejszy tenis nadal aktualny... – powiedział na poły do Stefanii, na poły do przyjaciela, który całą sytuację przyjmował z zimną obojętnością.

–Nie sędzę, aby jutro Melania pamiętała w ogóle o pańskim istnieniu, cher prince – odpowiedziała baronessa de Mildi. – W jej życiu pojawił się ktoś znacznie lepszy od pana, dla którego zarezerwowała wszystkie następne tańce i partie tenisa... A pewnie i coś więcej -dokończyła znacząco.

Książę Aleksander patrzył na Stefanię ze szczerym zdumieniem.

–Więc to nie rodzina zmusza ją do tego kroku, aby ratować swoją zagrożoną egzystencję? Więc ona nie jest małżeństwu z tym... Dawidem przeciwną? Świat się kończy! –Dla jednych koniec, dla innych początek – skwitowała baronessa pozornie beznamiętnie.

IV

W ciągu owych letnich miesięcy Warszawa była oniemiałym świadkiem rzeczy doprawdy dziwnych i niezwykłych, Najpierw plotkowano wiele o zapowiedzianym małżeństwie hrabiego Brochwicza z Sarą. To jednak mieściło się jeszcze – choć miało posmak sensacji – w powszechnych wyobrażeniach. Ostatecznie nie po raz pierwszy i zapewne również nie ostatni arystokrata żenił się z bogatą Izrealitką dla ratowania swego herbu i finansowej pozycji. Wszelkie jednak złośliwości musiały się w danym wypadku rozbić o niezaprzeczalny fakt, o którym wszyscy wiedzieli – ten mianowicie, że hrabia był bardzo zamożny i nawet wielka wojna nie zdołała nadwerężyć poważnie jego majątku. Pozostawała więc romantyczna historia wielkiej miłości i taką też opowiadano sobie, głośno lub szeptem, w czym zwłaszcza celowały panny z burżuazji, upajające się poświęceniem Sary, gdy była siostrą miłosierdzia w łódzkim lazarecie. Każda z nich także pragnęła wyjść za mąż za jakiegoś księcia (lub ostatecznie hrabiego) z bajki i widziała siebie na miejscu Mandelbaumówny przewiązującej bandażem i szarpie na ranach ukochanego. Panny z arystokracji krzywiły się jednak na owe sentymenty i nazywały w swoim kółku Sarę „żydowską czarownicą”. Trudno było im się dziwić – wszak zabrała im pretendenta do ręki. Mężczyźni, którzy obserwowali rozkochaną w sobie parę znajdowali, że owa „czarownica” jest skądinąd „niczego sobie”, zatem trudno się dziwić Jerzemu, iż dał rzucić na siebie urok, zwłaszcza w szczególnych, wojennych warunkach. Jeden tylko księżę Aleksander Szczerbiec miał się wyrazić, że „wprawdzie ta róża Saronu jest istotnie niebrzydka, ale nawet perfumy Guerlaina ani też 'Houbigan' nie zatrą odoru czosnku i cebuli”. Nie było to jednak, na szczęście, zdanie zbyt popularne.

Lecz oto gruchnęła po stolicy inna, niebywała wieść. Hrabianka Melania Barska wychodzi za Jakuba Mandelbauma! W to już doprawdy trudno było uwierzyć. Lecz publiczne pojawienie się Melanii w towarzystwie narzeczonego

na dancingu, a przy tym jej skandaliczne, graniczące z ekshibicjonizmem zachowanie, mówiły same za siebie. Sądono początkowo, że jest nieszczęsną ofiarą własnej rodziny, którą pragnie ocalić przed ostatecznym upadkiem i ruiną – tymczasem okazało się, że w rzeczywistości jest kobietą świadomą czego pragnie, gotową rzucić wyzwanie całemu światu. Współczucie zastąpiła więc teraz źle skrywana niechęć, towarzysząca zwykle osobom wyrastającym ponad pospolitość swego otoczenia, którą Melania odczuła dość silnie, zwłaszcza ze strony osób starszej daty. Młodzież jednak garnęła się do niej tłumnie i rozpoczęła się nowa, zupełnie niespodziewana konkieta arystokratki i jej żydowskiego narzeczonego, w niektórych bowiem, bardziej postępowych salonach przyjmowano ich oboje. Dla panien ze swojej sfery stała się hrabianka symbolem wyzwolenia z okowów dawnych przesądów i uprzedzeń, dla mężczyzn zaś postać owej kobiety nabrała nowego uroku, który zapewne miał coś wspólnego z czarem upadłych aniołów. I znów jeden tylko Szczerbiec wypowiadał się o owym mariażu nieprzychylnie, ale nikt nie chciał go słuchać, toteż właśnie on czuł się nagle osamotnionym.

Idalia znosiła „swoją tragiczny los” nadzwyczaj godnie. Indagowana przez wielkie damy, swoje przyjaciółki, odpowiadała zwykle: „Ostatecznie ta biedna dziewczyna miała sama prawo zdecydować o swoim losie i szczęściu”, po czym umiejętnie zmieniała temat rozmowy. Hrabia Barski, przeciwnie, rozповідаł głośno o planowanym ślubie z odcieniem pańskiej dumy, która nie musi liczyć się z niczym zdaniem. Posuwał się nawet do stwierdzeń, że „narzeczonego Meli nie ma wprawdzie rodowego klejnotu i tytułu, ale pod wieloma względami więcej jest wart niż niejeden wymuskany bubek!”, czym zresztą wprawiał w niebotyczne zdumienie tych, którzy znali go takim, jakim był dawniej. Melania była niewątpliwie najodważniejsza z całej rodziny. Osobom, które chciały jej słuchać, mówiła bez żenady o wielkiej miłości, jaka połączyła ją z jej przyszłym małżonkiem, a ponadto cytowała słowa z utworu swego dalekiego kuzyna Zygmunta o „próżnym brzuku tarczy herbowej”, nadając im pogardliwe brzmienie.

Niewątpliwie cała Warszawa miała o czym mówić. Najbardziej intrygową rolę, jaką odegrała w skojarzeniu tych dwóch małżeństw baronessa de Mildi. Jakież właściwie interes miała ta niemiecko-włoska arystokratka we wprowadzaniu Żydów na polskie salony? Bo w to, że bezinteresownie chciała pomóc dwóm zakochanym w sobie parom, jakoś mało kto wierzył. Dziwiło także wszystkich, że odnoszący się tak nieprzychylnie do całej sprawy książę Aleksander, na temat pani Stefanii milczał jak głaz i tylko uśmiechał się tajemniczo. Czyżby był jej kochankiem? Lecz tutaj nawet najbardziej wścibscy intryganci nie mogli niczego dowieść. Prowadzenie się baronessy, mimo dużej swobody w zachowaniu, było nienagane, a choć jej fagon d'etre był nieco wyzywający, to jednak stosunki jej z mężczyznami, jakkolwiek bezpośrednie i naturalne, nie wykaczały nigdy poza dopuszczalną granicę towarzyskiego flirtu.

Rozpuszczano więc o Stefanii najfantastyczniejsze opowieści – że jest na przykład, międzynarodowym szpiegiem i agentką Mędrców Syjonu, lecz były tak niepodobne do prawdy, że tylko głupcy mogli w nie uwierzyć. Pozostawała więc dla wszystkich Steffi baronowa de Mildi nieodgadnioną cudzoziemką, choć wielu przeczuwało, że w rozgrywających się wypadkach była jak zwornik sklepienia gotyckiej katedry, albo raczej jak pajęczycza – „czarna wdowa”, którą przecież była w istocie – czyhająca w swej sieci, aby zadać ostateczny cios.

Mimo więc tylu plotek, złych słów i złośliwych myśli, intryg i sensacji, a może właśnie dlatego, wiele osób z towarzystwa postanowiło pojawić się na podwójnym ślubie w kaplicy Pań Kanoniczek. Tegoż dnia, rankiem, odbył się tamże chrzest Sary i Jakuba. Wielu ciekawskich i dowcipnisiów pragnęło być obecnymi również i przy tej, jakże niezwyklej ceremonii, ale nikt nie został dopuszczony. Toteż musiano zadowolić się uroczystością wyznaczoną na wieczór.

Już na godzinę przed uroczystością zebrał się przed kaplicą tłumek gapiów, łączący zgodnie wszystkie chyba sfery, oprócz tej najwyższej. Zgodnie stali obok siebie fabrykant i sklepikarz, inżynier i subiekt, nauczycielka i

posługaczka. Podświadomie wyczuwali w owych ślubach, o których szeroko rozpisywały się poważne i brukowe gazety, stygmat nowych czasów. Dodatkowo interesujące było dla owych wszystkich ludzi zobaczenie naraz tylu sławnych, wielkich arystokratów. Wiedziano, że na ślubie zjawi się nie tylko warszawska socjeta, ale mają być obecni także zaproszeni przez Brochwicza hrabiostwo Rita i Edward Trestkowie, a także Lucia i Bohdan Michorowscy, może również sam legendarny Waldemar ordynat Michorowski. Ze strony Barskich zaproszeni zostali hrabiostwo Ćwileccy, co Jerzy, a także, o dziwo, Melania, przyjęli z niechętnym wzruszeniem ramion. –Papa zaprasza te osoby na własny rachunek –oświadczyła hrabianka.

Pragnęła najwidoczniej zapomnieć o swojej roli we wspólnej z Ćwileckimi intrydze przeciwko śp. pannie Stefanii Rudeckiej...

–Pan hrabia z pewnością wie kogo należy zaprosić. Mam pełne zaufanie do jego taktu i doświadczenia –rzekł tylko zimno Brochwicz.

Tuż przed oznaczoną godziną zaczęły wtaczać się przed kaplicę pańskie landa i kabriolety, a także wspaniałe automobile. Ćwileccy byli jak zwykle nadęci, pomimo swej trudnej sytuacji i patrzyli na wszystkich z góry. Widać było, że uważają dzisiejsze śluby za skandal, a zjawili się tu tylko przez szacunek dla starego Barskiego. Lucia i Bohdan przyjechali wspólnym autem z Trestkami. Młodszy małżonkowie sprawiali wrażenie ciągle bardzo szczęśliwych i tworzyli przez to ciekawy kontrast z drugą parą. Trestka co i rusz witając się ze znajomymi poprawiał nerwowo binokle oraz spoglądał na zgromadzony tłum z przerażeniem, jakby obawiając się zamachu na swoje życie – snąc nie zapominał jeszcze wypadków rewolucyjnych w swoim Ożarowie i każde większe zgromadzenie budziło w nim lęk. Rita sprawiała wrażenie smutnej i zmęczonej. Wiedzieli wszyscy, że małżeństwa ich niebo nie pobłogosławiło potomstwem, być może więc tutaj kryła się przyczyna osmętu dawniej tak żywej i wesołej Szeliżanki? Obie nowo przybyte pary witały się z Ćwileckimi z wyraźnym przymusem, co także nie uszło uwagi bystrych obserwatorów.

Wkrótce zarył przed kaplicą kołami słynny zielony bugatti baronessy de

Mildi, a za nim – jak za heroldem królewskiego orszaku – nadjechał ogromny rolls-royce Mandelbauma, prezentu ślubny dla córki, jak szeptali dobrze poinformowani, a jeszcze później przybył dostojnie zaprzężony w piękne gniadosze powóz Barskich. Istotnie, nie dość się było napatrzeć wspaniałości toalet kobiecych i elegancji mężczyzn! Wszystkie przymiotniki zdawały się w ustach ludzi stopniować na poziomie najwyższym i rozpoczynać od „naj”... Spostrzeżono, że Lucia przywitała się z matką i ojczymem nieco serdeczniej niż dawniej. Powszechnie pytano gdzie jest i czy przybędzie Waldemar, ale ani Michorowscy, ani Trestkowie nie potrafili najwidoczniej udzielić jednoznacznej, sensownej odpowiedzi, albowiem zagadka nieobecności ordynata pozostała nie wyjaśniona. Kiedy zagrały potężne organy i obie pary ruszyły przez kościół do ołtarza wszyscy nie mogli się oprzeć wrażeniu, że ta czwórka ludzi doskonale się ze sobą dobrała. Stanowili istotnie piękne grono. Najpierw szedł Jerzy Brochwicz z Sarą. O nim można byłoby rzec, iż rasa szła przed nim i za nim, kładła się na jego oczach rozumnych i wargach wąskich, i całej w ogóle sylwetce, która emanowała przy tym męską siłą. Obok niego szeleściła muślinami sukni i welonu jego oblubienica, widocznie przejęta i tak blada, że raczej do anielicy rudowłosej z secesyjnego obrazu podobna. Tuż za nimi szli Melania i Jakub. Ta panna młoda stanowiła kontrast z poprzednią. Jeśli tamta była samą delikatnością i wdziękiem, ta dumną postawą i śmiałym spojrzeniem, toczonym po obserwujących ją ludziach, zdawała się mówić: „Robię to, co chcę! Mam prawo walczyć o swoje szczęście!” I widać je było w spojrzeniach Jakuba, który szedł obok swojej przyszłej żony jakby chyłkiem, jakby nie ufał jeszcze do końca własnemu szczęściu, chociaż było tuż obok, tak bardzo realne!

Stefania usłyszała cichy szept starego Mandelbauma, który skrywał się w bocznej nawie, nie chcąc się widocznie narzucać ze swoją osobą nowej rodzinie i wiernym, a mówił na ucho jakiejś pękatej burżujce, obwieszanej klejnotami jak cała wystawa jubilera:

–I pomyśleć, moja pani, że się zawsze tak o dzieci martwiłem! A tutaj, proszę, do czego dochodzi! Istne cuda! Sarcia zostaje polską hrabiną i to

porządną hrabiną, bo żoną pana z panów, nie jakiegoś przerabianego, jakich namnożyło się teraz po wojnie! Jaśnie wielmożny pan hrabia Jerzy Brochwicz, przyjaciel innych hrabiów i książąt, w tym samego ordynata Michorowskiego! Aj, aj! Że też moja Rachel tego nie doczekała! A jeszcze nie dość na tym: mojego Jakuba, którego zawsze miałem za nicponia, wybrała taka pyszna hrabianka, że proszę siadać! Dzieciom dają tytuł i nazwisko... No, ja daję fabryki, ale to nie to samo! I w dodatku jego bohomazy jacyś tam krytycy uznali za wartościowe i wystawiają w „Zachęcie”... Czyż to nie są wszystko, moja pani, najlepsze dowody, że potężny Jehowa ukochał sobie ród Mandelbaumów? Aj, płakać mi się chce z radości!

„Zawsze tan sam pocziwiec” – pomyślała z rozczeniem Stefania. Oglądała toczące się przed jej oczami ceremonie jakby zza szklanej szyby. Chociaż cieszyła się, że oto jej wysiłki zostały nagrodzone, to jednak prześladowała ją dziwna myśl, że w kaplicy Pań Kanoniczek brakuje jeszcze kogoś (lecz kogo?!) i że ktoś inny (lecz kto?!) powinien stać przed owym wspaniałym, tonącym w powodzi kwiatów ołtarzem. I czyżże to ślub wolałaby oglądać, lub może być jego uczestniczką? Nie mogła sobie przypomnieć, tyle rzeczy naraz przykuwało jej uwagę. Patrzała zamglonymi oczami na Sarę i Jerzego, radując się wraz z nimi. Potem wpatrzyła się z natężeniem w Melanię Barską -już po kilku chwilach panią Jakubową Mandelbaumową. Do niedawna jeszcze sądziła, że kojarząc dumną hrabiankę z człowiekiem innej sfery i rasy, dopełnia dzieła zemsty – niech i ona odczuje trud położenia, jakiego niegdyś zaznała dzięki niej przed laty nieszczęsna Stefcia Rudecka! Lecz ostatnio baronessa de Mildi musiała przyznać, że podobnie jak demon, którego kiedyś cytował jej za Goethem jej duchowy i oficjalny brat, baron Johann von Hohenlohe-Liebenstein de Mildi, chcąc wyrządzić komuś zło, była najwyraźniej skazana na czynienie dobra, nawet niekiedy wbrew własnej woli!... Melania dzięki miłości do Jakuba stała się dojrzałą kobietą, z pustej lalki zmieniła się w myślącego i czującego człowieka. I to było prawdziwe zwycięstwo Stefanii! Teraz to rozumiała. Oczy jej przypadkowo padły na wyrytą na jednym z ołtarzów

chrystusową maksymę: „Zło dobrem zwyciężaj”. W pełni odczuła głęboką mądrość tych słów. Ceremonie ślubne dobiegły końca i obie pary świeżych małżonków ruszyły ku wyjściu, przyjmując po drodze gratulacje i powinszowania. Trestce, gdy się ścisnął z Brochwiczem, spadły, jak zwykle, binokle, co wywołało powszechną weselość. Rita płakała. Płakała także, co ciekawsze, pani Idalia. Najbardziej naturalnie zachowali się Bohdan i Lucia, od razu wchodząc z całą czwórką na przyjacielską stopę. Widać było, że zwłaszcza Lucia gotowa jest zapomnieć i wybaczyć Melanii jej dawne przewiny.

Wtem w drzwiach kaplicy stanął ktoś potężnej i władczej postury, na widok którego Melania zadrżała silnie, jakby ujrzała widmo. Wsparła się na ramieniu Jakuba... Na wprost nich stał Waldemar ordynat Michorowski. Uplywające lata nie zdołały zniszczyć jego męskiej urody ani pięknej postawy. Choć na skroniach przybyło siwizny, trzymał się wciąż doskonale.

Podszedł zdecydowanym krokiem do Jakuba i Melanii. Głosem sprzed lat rzekł poważnie:

–Gratuluje pani, hrabianko, szczęśliwego wyboru... A i panu również... Zdobyłeś pan skarb, którego inni nie potrafili właściwie ocenić. –Inni nie kochali i nie byli kochani – odpowiedziała wzruszonym głosem Melania.

–O tak! Doskonale to wyraziłaś, najdroższa! – zawołał pijany szczęściem Jakub, nie do końca pojmujący znaczenie tej sceny.

–I ja tak myślę – mruknął ordynat w odpowiedzi.

–Waldy. Stary niedźwiedziu!... Jednak przyjechałeś! – wołał uradowany Brochwicz, rzucając się przyjacielowi na szyję.

Po sprezentowaniu mu swej uroczej małżonki zaraz powiedział, rozglądając się niespokojnie:

–Musisz teraz poznać koniecznie niezwykłą osobę, której wszyscy czworo zawdzięczamy nasze wielkie szczęście! Lecz gdzież ona? Gdzie jest baronessa de Mil-di? – zwrócił się do Barskiego.

–Właśnie, gdzie pani Stefania? – zdziwił się szczerze hrabia, również się rozglądając.

–Franciszku – zwrócił się magnat do postępującego za nim krok w krok lokaja – niech Franciszek obiegnie kościół i odszuka zaraz panią baronesę. Duchem!

Po kilku chwilach lokal zbliżył się do zaciekawionego i nieco zdumionego towarzystwa z nieprzeniknioną twarzą.

–I cóż?! – spytał niecierpliwie Brochwicz, obserwując spod oka twarz Waldemara, który zdawał się być nieobecnością Stefanii bardzo przejęty. „To dla niej przyjechał” – pomyślał hrabia Jerzy.

–Właśnie pani baronowa odjechała już swoim automobilem – odpowiedział flegmatycznie stary lokaj.

–Odjechała?! – zakrzyknął teraz Barski – Ależ... dlaczego?!... I dokąd?!..

–Tego nie raczyła wyjaśnić – informował poważnie Franciszek.

Na wystawie obrazów Jakuba Mandelbauma zebrała się cała warszawska socjeta. Salony „Zachęty” zapelniał tłum pięknych, wytwornie odzianych dam i eleganckich mężczyzn. Niektórzy przybyli tu tylko po to, aby zaświadczyć swoją obecnością przynależność do kasty osób zawsze będących en vogue i ciekawych nowych kierunków w sztuce. Było więc sporo snobów arystokratycznych i tych z plutokracji – w tym, oczywiście, większość pochodzenia semickiego. Ci najgłośniej wyrażali swój zachwyt i unosili się nad każdym, najmniejszym nawet szkicem. Byli jednak także obecni prawdziwi znawcy, którzy zachowywali się znacznie ciszej i w skupieniu kontemplowali kolejne obrazy, jednak publiczność na nich właśnie najbardziej zwracała uwagę, uważając każdy ich gest, skrzywienie ust czy nawet mrugnięcie powieką. Ponieważ najczęściej spostrzegano w wyrazie tamtych twarzy uznanie, pozostali natychmiast dostosowali się do owego tonu.

Było powszechnie wiadomym, że artysta tworzył swoje dzieła wyłącznie dla siebie, obrazy bowiem nie miały być wystawione na sprzedaż, lecz ozdobić apartamenty Melanii i Jakuba oraz po części salony łódzkiego palazzo Mandelbaum. Mimo to wśród odwiedzających wystawę byli i tacy, którzy pragnęliby ofiarować doprawdy wielkie sumy za zdobycie choćby jednego płótna do swojej kolekcji. Kiedy jednak nagabywali, niekiedy dość natarczywie, artystę, słyszeli w odpowiedzi zdecydowane „nie!” i zmuszeni byli odejść, wielce zawiedzeni.

Powszechny aplauz budził zwłaszcza naturalnych rozmiarów portret żony artysty, choć jeszcze w czasie gdy powstawał, Jakub malował nieosiągalne marzenie. Przedstawił Melanię Barską jako wcieloną tajemnicę, nieomal jako Madonnę w koronie gwiazd, całą w mgłach i domysłach. Wynurzała się ze skłębionych, sinych obłoków, zawieszona jakby w nieokreślonej przestrzeni wbrew prawom natury, jak jakaś nadludzka, nieziemska istota. Okrywała ją szata z eterycznych wyziewów utkana, wszelako nie pozwalająca dojrzeć oku

profana niczego, ku czemu skłaniałaby go niezdrowa ciekawość. Twarz Melanii, oddana znakomicie i po arcymistrzowsku, tchnęła niebiańską zadumą i rozmarzeniem. Wszyscy, którzy znali hrabiankę, zupełnie dotąd inną, przystawali zdumieni. Nie zdziwiłoby nikogo, gdyby malarz oddał na płaszczyźnie obrazu rodową dumę Melanii, jej wyniosłość i wielkopańskie obejście. Ale owa natchniona wizja emanowała genialnym przecuciem artysty, stawała się niemal prorocstwem rzeczy przyszłych, zwłaszcza dla tych, którzy byli świadkami niedawnej przemiany hrabianki Barskiej.

Przed tym właśnie arcydziełem przystanąła Stefania. Nie po raz pierwszy je oglądała, gdyż Jakub pokazał jej już dawniej, w wielkiej oczywiście tajemnicy. Była jednak ciekawa wrażeń i reakcji innych. Uznała, że ten właśnie portret winien obnażyć całą prawdę o zwiedzających i obserwatorach, i stanie się za chwilę kamieniem probierczym dla wszelkich ocen, bardziej niżli florenckie czy szwajcarskie pejzaże.

Podeszli do niej Rita i Edward Trestkowie, widocznie całą wystawą poruszeni i zachwyceni. Hrabia wpatrzył się w malowane na płótnie oblicze. Po chwili począł ruszać ze zdziwieniem brwiami i krzywić się przy tym komicznie. Stefania obserwowała to z prawdziwym rozbawieniem, natomiast Rita z ledwie skrywaną irytacją.

–I jakże pan znajduje ten obraz, drogi hrabio? – zapytała w końcu Stefania. – Czy podobizna Melanii dobrze uchwycona?

–Obraz?! Formidable! – zapiał Trestka, nerwowo poprawiając niesforne binokle. – Ależ to chyba nie jest prawdziwa Melania! Toż to jakaś nimfa!.. Bezcielesna anielica!

–Edwardzie... -syknęła niecierpliwie jego małżonka. – Przecież nie potrzeba nawet twoich szkieł, aby dostrzec gołym okiem zadziwiające podobieństwo...

–I ja tak myślę – powiedziała baronessa de Mildi z wyrazem zadumy na twarzy. – Jakub ukazał nam taką Melanię, jakiej nikt nie spodziewał się nigdy ujrzeć. Jak każdy wielki artysta, spojrzął głębiej niż wszyscy, poza życia

teatrum... Dostrzegł w jej duszy skarby, jakich ona może nawet sama nie podejrzewała, ani tym bardziej inni.

–Więc przeczuł, że ona może stać się wielką, gdy uczyni z siebie ofiarę na ołtarzu miłości? – spytała cicho Rita z wyrazem jakiegoś bolesnego skupienia na twarzy.

–Zapewne... – odparła Stefania z uśmiechem. – Cóż zresztą może bardziej uwzniościć kobietę niż taka właśnie ofiara?

Rita Trestkowa pochwyciła baronessę za urękawiczoną dłoń w wybuchu naglej egzaltacji, która zadziwiła zwłaszcza jej męża.

–Ach, jak pani wszystko doskonale czuje i rozumie, Stefanio... Znałam kiedyś tylko jedną osobę tak piękną, dobrą i mądrą jak pani... Nosiła zresztą to samo imię. Czy wiesz pani, że jesteś niezwykle do niej podobna?!

W tejże chwili pomiędzy rozmawiających wślizgnął się niczym wąż jadowity głosik hrabiny Ćwileckiej, która widocznie już od dłuższego czasu stała w pobliżu i słuchała wszystkiego. Chociaż nie było to zbyt miłe, jednak wybawiło Stefanię z kłopotliwego położenia.

–Ce tableau est magnifique, madame la baronesse... Vous avez raison... Czy jednak pierwszym zadaniem portrecisty nie jest oddanie prawdy szczegółu?

Wypowiedziawszy owo zdanie nadęła się jak purchawka, dając do zrozumienia swoją miną, że wypowiedziała przed chwilą niezwykle zupełnie mądrość.

–Jestem pewna, że każda artystyczna wizja ma prawo bytu, pod warunkiem, że jest doskonale wykonana. Tylko zaś ludzie płytcy sądzą wszystko po błahych i nieistotnych pozorach -odparła ze spokojną godnością Stefania.

–Ależ oczywiście, oczywiście... – szczebiotała hrabina pozornie niefrasobliwie, starając się utrzymać ton niezobowiązującej, salonowej konwersacji. – Gdzież bym śmiała kwestionować zdanie tak wielkiej znawczyni i opiekunki artystów...

Uśmiechnęła się, mówiąc to, dwuznacznie. Insynuacja zawarta w tych słowach i uśmieszku dotknęła Stefcię do żywego. Wiedziała, że już od dłuższego

czasu ktoś rozpusza po Warszawie plotki, jakoby młody Mandelbaum był wcześniej, nim poznał Melanię, kochankiem jej właśnie, baronessy de Mildi, którego potem oddała hrabiance Barskiej, jak zużytą zabawkę. Teraz знаła źródło tych perfidnych potwarzy. Mogła z całą pewnością stwierdzić, że hrabina Cwilecka, mimo swe obecne ciężkie położenie, nie zmieniła charakteru ani na jotę. Postanowiła być jednak wyższą ponad tego rodzaju brudne oszczerstwa, toteż zbyła niestosowną uwagę Ćwileckiej zupełnym milczeniem.

–A propos, kochana baronesso – mówiła dalej tamta, zupełnie nie zrażona brakiem reakcji – czy nie zechciałaby nas pani odwiedzić jutro w „Bristolu”? Mój mąż byłby niezwykle uradowany... Ostatnio trochę niedomaga...

–Nic dziwnego – mruknęła Rita Trestkowa pod nosem, która również niecierpliwil fałsz wyczuwalny w słowach powszechnie nielubianej hrabiny.

–Och, naturalnie, będzie mi bardzo miło odwiedzić państwa – odpowiedziała z konwencjonalną uprzejmością Stefania, jednak w tonie jej słów bystrzejszy słuchacz mógłby z łatwością dosłuchać się lodowatego chłodu pogardy.

–To cudownie! – zakrzyknęła z udawaną radością Ćwilecka, choć widać było równocześnie, że pierś jej falowała w nerwowych podrygach. – A zatem oczekujemy na panią jutro... Około szóstej...

Odeszła wreszcie, pozostawiając za sobą woń ciężkich perfum i niemile wrażenie.

–Ach, mój Boże – odezwała się po chwili milczenia Rita – czemuż niektórzy ludzie (jeśli w ogóle wolno ich zwać ludźmi) istnieją na tym świecie jedynie po to, aby innym zatruwać życie.

–Osoby takie są jak skorpiony – powiedziała sentencjonalnie Stefania. – W końcu same zatruwają się swoim jadem.

Trestka patrzył ze zdumieniem na obie kobiety.

–Nie pojmuję, o co wam chodzi... Ta biedna kobiecina zawsze była trochę narwana i niezupełnie comme U faut, ale ostatecznie dzisiaj starała się być całkiem miła.

–Biedna! – rzuciła z niechęcią Trestkowa. – Istotnie, teraz jest biedna i to całkiem zasłużenie. Podczas gdy nawet ty nauczyłeś się gospodarować i dogadywać z chłopami, oni tymczasem rujnowali swój majątek i powodowani chciwością wdawali się w niepewne interesa. Pomimo to nadal zadzierają nosa w sposób całkiem niestosowny.

Do skupionej pod portretem grupki zbliżyło się tymczasem dwóch eleganckich młodzieńców z najwyższej arystokracji – księżęta Szczerbiec i Ostalski. Ten ostatni już od dłuższego czasu intrygował nie tylko Stefanię, którą zadziwiło to nagle zmartwychwstanie potomka dawno wygasłego rodu, ale także wiele osób z towarzystwa. Popularny wśród śmietanki „Pawełek” szastał bowiem nieumiarkowanie pieniędzmi, jakby popisywał się swoim bogactwem, co naturalnie przysparzało mu wielu zwolenników, zwłaszcza w osobie splekanego doszczętnie Aleksandra. Jednak wielu zastanawiało się, skąd właściwie pojawił się tak nagle w Polsce ów książę z bajki, jego bowiem opowieści na ten temat były dość mętne i często, wobec różnych słuchaczy, rozbieżne w szczegółach. Tak więc czasem opowiadał, że jego przodek przetrwał odwrót Wielkiej Armii napoleońskiej spod Moskwy, ale ślubował nie wracać do ojczyzny, dopóki nie będzie całkowicie wolna. W Paryżu zakochał się w księżniczce d'Ornano, oświadczył się i został przyjęty. Po „stu dniach” Napoleona i Waterloo zmuszony był wraz z małżonką wyemigrować do Belgii. Po jego śmierci rodzina Ostalskich-d'Ornano przeniosła się do księstwa Monaco i tam też, jako ostatni potomek rodu, przyszedł na świat Paweł, który wczesną młodość spędził w kasynach Monte Carlo, ale gdy osiągnął wiek dojrzały, postanowił powrócić do cudem odrodzonej Polski, zgodnie z rodzinną tradycją. Historia ta była wprawdzie wzruszająca, ale z pewnością niezbyt wiarygodna. Przede wszystkim mniej naiwni słuchacze dziwili się, dlaczego do tej pory nikt z podróżujących po Europie nie natrafił na choćby najmniejszy fakt mogący ją potwierdzić. Skoro przodek Pawła ożenił się z księżniczką d'Ornano, musiano by o tym rozmawiać w paryskich salonach, tym bardziej że Maria Walewska, która zmarła jako generalowa tegoż nazwiska, wypadalaby mu szwagierką, a dla tego młodzieńca

byłaby cioteczną prababką. Dlaczego nikt do tej pory o tym nie słyszał? – zadawano pytanie i nie znajdowano odpowiedzi. Inni znowu dowiedzieli się, iż rodzina Pawła przebywała w Meksyku, że ów legendarny przodek brał udział w walkach na San Domingo, że posiadają w Ameryce Południowej kopalnię diamentów, a on sam, zanim przybył do kraju, zwiedził niemal cały świat, był w Afryce i na Dalekim Wschodzie. Trudno było, doprawdy, pogodzić te dwie, tak różniące się między sobą wersje. Toteż, chociaż dla wieku Paweł Ostalski był postacią tajemniczą i przez to fascynującą, to jednak dla ludzi rozsądnych był on osobą wielce podejrzaną, może nawet oszustem. Jednak wszelkie podejrzenia i oskarżenia rozbijały się o fakt, że ostatecznie nic nie można było zarzucić temu popularnemu salonowemu lwiątku – poza pewną nonszalancją, którą uznawano za bardzo dystygowaną, jego zachowanie było jak najbardziej poprawne, a przy tym aż nazbyt widoczna finansowa niezależność tworzyła złoty puklerz, w dość oczywisty sposób nienaruszalny.

–Ach, książę Olo, witamy! – ucieszył się na widok Szczerbca Trestka, który zawsze miał słabość do starych rodów, nawet jeśli ich potomkowie nie przynosili im chluby.

–Przyprowadził pan, jak widzę, swojego słynnego już w całej Warszawie przyjaciela? – powiedziała Rita, patrząc z ciekawością na Ostalskiego.

–Owszem, chciałem mu pokazać upadek polskiej sztuki, do której wkradły się elementy obce – odparł Aleksander, spoglądając z ironią na Stefanię.

Kobieta zachnęła się w oburzeniu. Na jej twarzy pojawił się rumieniec gniewu. Zmierzyła młodzieńca ostrym spojrzeniem.

–Co pan nazywasz obcymi elementami? – spytała głosem nieco drżącym. – Czy może moją tutaj obecność? Mój mąż, jak zapewne wiadomo księciu, zginął walcząc za ojczyznę i dzięki niemu stałam się Polką, może lepszą nawet niż niejedna warszawska dama, spędzająca większość czasu za granicą i rozczytująca się we francuskich romansach... Jeśli zaś chodzi o opiekę, jaką od początku otaczałam młodego pana Mandelbauma, jest chyba rzeczą zupełnie naturalną, iż popieram ludzi zdolnych i wartościowych... Nie zawsze bowiem

samo pochodzenie jest powodem do traktowania innych z szacunkiem -dodała znacząco.

–O, choćby nawet niejaki Mandelbaum był kosmicznym geniuszem, nie stanie się jeszcze przez to jednym z nas – oświadczył wyniośle książę. – Nie ma w nim tych naturalnych wartości, jakie każdy prawdziwy Polak wyssał z mlekiem matki. Gdzież jego więzy krwi z naszą rasą czy związek z ojczystą ziemią? Za żadne pieniądze nie można też kupić honoru rodowego, ani szlacheckiego pochodzenia... Pan Mandelbaum ze swoimi milionami i talentem skazany jest na kosmopolityzm – zakończył tyradę, krzywiąc się pogardliwie.

–Przemawia przez pana przesąd kastowy, dlatego też nie jest pan zdolny do racjonalnego myślenia – odrzekła spokojnie Stefania. – Być może kiedyś pożałuje pan owych słów... Proszę zastanowić się, kimby pan sam stał się, gdyby odebrać panu z taką dumą noszone tytuł i nazwisko? Bo o więzach z ziemią szkoda nawet mówić, skoro utratę majątku zawdzięcza książę sobie samemu. Mam jednak nadzieję, że właśnie talentu pan nie jest w stanie odmówić Jakubowi?

Mimo, iż zachowała na zewnątrz spokój, w jej duszę wkradło się coś na kształt niejasnej jeszcze obawy... wyrażenie użyte przez Szczerbca w stosunku do Jakuba, jakkolwiek w kontekście ironicznym, było Stefanii doskonale znane... „Kosmiczny geniusz”? Tak przecież mawiał jej „brat” duchowy i oficjalny, baron Johan von Hohenlohe-Liebenstein de Mildt! Oczywiście mogło to być zwykłym przypadkiem, a jednak... Od czasów wielkiej wojny baron nie dawał znaku życia, co dziwiło nieco kobietę. Otrzymywała z jego majątku ogromną pensję, która przekraczała jej potrzeby, ale o swoim tajemniczym wielbicielu i ofiarodawcy niczego się nie mogła dowiedzieć. Przypuszczała, że może jak zawsze gna go po świecie niespokojny duch, albo nawet zginął, co z sobie tylko znanych powodów nakazał, być może zataić w swoim testamencie. W każdym razie, to z nagłą obudzone wspomnienie dotknęło ją nieprzyjemnie, jakby na jej łabędziej szyi zacisnęła się trupa, lodowata dłoń lęku...

–Książę na długo w kraju? – pytała tymczasem Rita Ostalskiego.

–To zależy od dużo rzeczy – odpowiedział jej Paweł, straszliwie kalecząc polskie wyrazy, ale uśmiechając się przy tym czarująco. – Tutaj mnie bardzo podoba się... Ale tu trochę mało miejsca dla mnie... Ciasno... Cest la province. Prowincja!

–Czy doprawdy wszystko wydaje się panu takie marne i prowincjonalne?
– indagowała dalej Rita z nieco posmutniałą miną.

–O nie! – zaprzeczył żywo. – Nie wszystki... Piękni ludzie – zerknął przelotnie na zatopionego w dyskusji ze Stefania Szczerbca – dobre przyjaciele... i piękna kobieta! Polska kobieta bardzo charmantel Tylko czasem nie bardzo szczęśliwa... Kiedy ma niedobry mąż...

Spojrzał na nią przenikliwym i zdobywczym spojrzeniem, które niczym prąd elektryczny przebiegło przez jej ciało od stóp do głów. Jego piękna twarz emanowała teraz kuszącym blaskiem... Rita poczuła, że zaczyna tracić głowę dla tego młodzieńca... Po raz pierwszy od wielu lat uczyła w sercu to samo bolesne ukłucie, jakiego niegdyś doznawała jedynie w obecności Waldemara Michorowskiego. Lecz tamta miłość dawno już została pogrzebana, grób owych uczuć porosła trawa, a teraz budziła się w jej sercu nowa, płomienna namiętność. Płomienna i grzeszna, budząca zachwyt i przerażenie. Stefania, mimo iż skupiona na rozmowie ze Szczerbcem, nie mogła nie dostrzec przemiany, jaka się dokonała w jej dawnej przyjaciółce. Krwawy rumieniec okraszył twarz Rity, a oczy pały pożarem zmysłów. Na szczęście Trestka nie mógł tego widzieć, gdyż właśnie poszedł podziwiać jeden z włoskich pejzaży. Baronessa de Mildi popatrzyła na Ritę z ogromnym współczuciem i niepokojem. „A więc znowu zakochałaś się, biedna, w kimś, kogo mieć nie możesz?” – pomyślała z wielką troską.

Rita na nic już nie zważała. Przybliżyła się do mężczyzny, przekraczając dozwolony konwenansami towarzyskimi dystans i zaszeptala łamiącym się głosem:

–Więc pan rozumie... wszystko?!

–Wszystko – powiedział Ostalski z ogromną pewnością siebie. – A nawet

coś więcej... Wiem, czego pani pragnie.

–A czego pragnie księżę?! – Ciebie!

–Och!!!...

Rita jęknęła boleśnie czując, że grunt usuwa się jej spod nóg. Ciemniało jej w oczach... Przecież w końcu przyszło opamiętanie.

–Edwardzie – zwróciła się do męża głosem możliwie opanowanym – niezbyt dobrze się czuję. Wracajmy do hotelu...

Trestka, lekko przestraszony, podbiegł do niej. I on ujrzał teraz zmianę na jej twarzy, ale wytłumaczył ją sobie całkiem opacznie.

–Cóż się z tobą dzieje, kochanie... – wołał, podtrzymując ją troskliwie ramieniem. – Wyjdźmy stąd czym prędzej, tutaj tyle ludzi, tak duszno... Na powietrzu poczujesz się lepiej. A może to już nadeszła upragniona przez nas chwila?! Wszystkim było wiadome, że nieszczęsny hrabia od lat oczekiwał potomka, które to jednak marzenie nie mogło się spełnić, dlatego też między innymi małżeństwo Trestków nie należało do udanych, ani szczęśliwych.

–Po prostu brak mi powietrza – odparła Rita z ledwie hamowaną niechęcią. – Chodźmy stąd. Prędzej! – dodała niemal w popłochu.

–Proszę wreszcie wyprowadzić żonę, hrabio – powiedziała naprawdę zaniepokojona Sterania. – Widzi pan przecież, jak cierpi. I proszę dobrze się nią opiekować...

–Naturalnie, naturalnie – rzekł Trestka z zafrasowaną miną, który oczywiście nawet nie zauważył subtelnej aluzji baronessy.

Ujął mocniej ramię małżonki i niemal pociągnął ją ku wyjściu.

–Czy wolno mi będzie odwiedzić panią? – zawołał za nią Ostalski głosem, w którym przebijała beczelność.

Bystre ucho Stefanii nie mogło nie usłyszeć, że gdzieś podziały się nagle jego cudzoziemski akcent i śmieszna wymowa...

–Tak... może... niech pan przyjdzie... – odpowiedziała nieprzytomnie Rita, nie odwracając głowy.

Stefania najchętniej pobiegłaby za nią, aby natychmiast rozmówić się z nią

i przestrzec nieszczęśliwą kobietę, ale nie mogła przerwać rozmowy z księciem Aleksandrem, który jakby specjalnie kontynuował:

–Wracając do kwestii talentu naszego dzisiejszego wystawcy... Nie przeczę wcale, iż posiada on pewną biegłość we władaniu pędzlem, a nawet indywidualny styl. Ale taki zdolności niepojęta Opatrzność rozdaje ludziom różnych klas i ras... Tymczasem ja chciałem powiedzieć, że nawet te cechy nie dają owemu panu patentu do wdzierania się między nas... i odbierania nam siłą swoich milionów naszych kobiet – dokończył nieco ciszej.

–I jakież to ma znaczenie wobec tego arcydzieła, przed którym stoimy -powiedziała teraz już naprawdę zirytowana Stefania. – Pan powołuje się na wyższe duchowe wartości, więc dlaczego nie chce pan dostrzec ich tutaj? Proszę spojrzeć na Melanię... Jakub uczynił ją taką, jaką sobie wymarzył tworząc...

Istotnie, Melania, stojąca pośrodku sali i przyjmująca wspólnie z Jakubem gratulacje zwiedzających wystawę, miała na licach wyraz szczęśliwości nadziemskiej, taki sam jak na portrecie. Dotyczyło to zresztą obojga małżonków. Oboje jaśnieli jak para gwiazd zawieszonych na firmamencie miodowego miesiąca, albo jak dwa czystej wody brylanty. Wkrótce mieli udać się w podróż poślubną do Wenecji, aby tam dalej przeżywać rozkoszne chwile swoich pierwszych dni. Stefcia patrzyła na nich z rozczeniem. „I jakże mam nie dziękować Bogu za tyle radości, jakie od Niego otrzymałam? – pomyślała. – Udało mi się zrobić ze złej, zepsutej kobiety uczciwą żonę i zapewne matkę w niedalekiej przyszłości, która gotowa jest bronić swojego małżeństwa przed światem całym... Co więcej, przekonana jest, że zawdzięcza tę przemianę tylko sobie...” – uśmiechnęła się do swoich myśli Stefania.

Książe Szczerbiec zmierzył tamtych nienawistnym spojrzeniem. Pragnął doszukać się jakiejś skazy na doskonałym monumencie, a nie znalazłszy jej, stał się jeszcze bardziej zły – jak pokonany demon. Powiedział z uśmiechem szyderyczym:

–Moim zdaniem Melania stała się teraz banalna... Mierzi mnie ta jej mdło-karmelkowa sytość zadowolenia. Nie może być już teraz niczym innym,

jak tylko nudną żoną i matką, nawet jeśli w zgodzie ze swymi nowymi przekonaniami będzie żoną i matką „nowoczesną”. Jednak nic jej nie pomogą bicze wodne, gimnastyka szwedzka, palenie opiumowanych papierosów czy prowadzenie samochodu, utraciła bowiem coś nieodwracalnie... utraciła, powiadam, ten pikantny pieprzyk, jakim zawsze działała na mężczyzn, z wyjątkiem chyba tylko najdziwniejszego z ordynatów, Waldemara Michorowskiego. Moja kuzynka ma teraz jedyną szansę ratunku. Musi szybko wziąć sobie kochanka... Ja w każdym razie woląłem ją jako demona w spódnicy...

–Raczej w satynowym dессou – wtrącił ze znaczącym akcentem Ostalski.

Nim zdążyła odparować ten perfidnie wymierzony cios, całą trójkę zaskoczył poważny, głęboki w tonie, męski głos, który sprawił, że Stefania uczuła gwałtowne wstrząśnienie wszystkich fibrów swego ciała, ale równocześnie stał się dla niej jakby tarczą, za którą mogła być zupełnie bezpieczna od wszelkich złych mocy.

–Dostyc tego, panowie... Z jakąż to czelnością śmiecie znieważać tamtą kobietę w obecności jej przyjaciółki, baronessy de Mildi? Nie macie do tego prawa, choćby nawet była bez czci... Czyżbyście uważali, że jesteście ponad przyzwoitością i prawem? Pamiętajcie zatem, że nawet nadczłowieka można zabić w pojedynku i nawet książęta mogą utracić imię gentlemana.

Stefania odwróciła powoli głowę w kierunku mówiącego z radością i lękiem. Jakże silnie zabiło jej serce! Miała wrażenie, że słycać je w rozgwarze sali. A więc to on, jej wymarzony, wytęskniony! Przybył jej w sukurs jak opiekuńczy anioł! Był o krok, zawsze piękny, mądry i dobry!...

Stał przed nią Waldemar ordynat Michorowski.

Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy po tylu latach w kościele, uciekła spłoszona. To się stało dla niej zbyt nagle, zbyt niespodzianie. Zabrakło jej wtedy^jł duchowych, aby sprostać sytuacji, bała się, że nie zdoła powstrzymać wybuchu uczuć w obecności tylu ludzi, co z pewnością mogłoby ją zdemaskować, teraz była znacznie pewniejsza siebie i spokojniejsza. Spodziewała się jego

obecności tutaj, była na nią przygotowana. Mimo to nie mogła zupełnie powstrzymać drżenia kolan i głosu, kiedy szepnęła cichutko:

–Merci, monsieur... Vous etez vraiment tres gentil...

Księżę Szczerbiec pochylił głowę, zawstydzony. Zmiażdżyła go reprimenda, dana mu przez jednego z najpierwszych w Polsce magnatów. Siwa skroń Waldemara żądała szacunku. Stefania pomyślała w tej chwili, że młodzieniec ów nie jest może z gruntu zły, choć z pewnością zepsuło go światowe życie i nieodpowiednie towarzystwo.

–Mam nadzieję, że wybaczy pan chwilę zapomnienia nierozważnemu chłopcu, jakim z pewnością jestem... Przy tym dochodzi tu jeszcze zawiedziona miłość. Szacunek pański jest ostatnią rzeczą, jaką chciałbym utracić.

W jego głosie przebijała szczerłość, która ujęła Waldemara. Spojrzał na Aleksandra łaskawiej i odpowiedział tonem już łagodniejszym:

–Istotnie, usprawiedliwia pana w pewnym stopniu jego młody wiek. Proszę jednak zapamiętać sobie na przyszłość, że to, co można wybaczyć jakiemuś niedowarzonemu studentowi... tego nie wybacza się księciu.

–Pozostaje mi jedynie przeprosić i pożegnać państwa – rzekł cicho Szczerbiec.

–Czy odwiedził już księżę mogiłę swoich przodków? – spytała Stefania odchodzącego Ostalskiego.

Od dłuższego już czasu zamierzała zadać mu to pytanie, ale jakoś nigdy nie znajdowała po temu okazji. Paweł zatrzymał się w pół kroku. Jego twarz, na której odbiło się wyraźne zmieszanie, pokraśniała aż po nasadę złotych pukli.

–Tak, zamierzam to uczynić... bez wątpienia... Warszawka schwyciła mnie w swoje szpony i nie chce puścić. Ale zdaje się, że trasa lwowskiego rajdu automobilowego wiedzie przez...comment ce appelle... Rouchayeff, n'est-cepas?

Stefcia spostrzegła ze zdziwieniem, że księżę Paweł, dopiero co mówiący gładką polszczyzną, teraz z trudem wymawia polską nazwę, a przy tym powrócił jego cudzoziemski akcent.

–Mam nadzieję, że i pani uświetni ten rajd swoją osobą, baronesso – wtrącił kurtuazyjnie książe Aleksander, pragnący najwyraźniej zatrzeć niemile wrażenie, jakie mógłby pozostawić.– Impreza ma cel dobroczynny i bierze w niej udział wiele osób z najlepszego towarzystwa... Sądzę, że nie może tam zabraknąć pani słynnego, zielonego bugatti...

–Właściwie mówiąc, to Polacy czynią mi zaszczyt, zapraszając mnie do udziału w krajowej imprezie – odrzekła z uśmiechem Stefania. – Zapewne więc nie odmówię tak miłemu zaproszeniu...

Młodzieńcy wreszcie odeszli. Stefania i Waldemar, choć nadal w obserwującym ich tłumie, zostali sami i mogli teraz rozpocząć rozmowę.

–Jak długo zabawi pani jeszcze w Warszawie, baronesso? – zapytał Waldemar z widocznym wahaniem.

Spojrzenie jego zdawało się ogarniać ją całą. Stefania zebrała wszystkie siły ducha, aby nie okazać wzruszenia.

–Sądzę, że zostanę tutaj jeszcze przez pewien czas... – odpowiedziała wieloznacznie. – Ogromnie polubiłam wasz kraj. Poprzez nieboszczyka męża mojego stał się bliski mojemu sercu...

–Więc pochodzenie pani jest niemiecko-włoskie, czy tak? – przerwał jej nagłym zapytaniem. –Jakże się panu spodobała wystawa? – odpowiedziała pytaniem, unikając odpowiedzi.

–Obrazy, nawet te najwspanialsze, nie są tak porywające jak żywe istoty – odpowiedział ze znaczącym przyciskiem. – Właściwie przyszedłem tylko zobaczyć jeden mały szkic, który wisi tam... skromnie w rogu sali. Może podejdziemy doń wspólnie? – zaproponował.

Stefania uczuła lęk. Wiedziała, jaki szkic ordynat ma na myśli. Był to zaczątek nigdy nie ukończonego przez Jakuba portretu madame Stefanii Bujnowskiej. Przedstawiał ją w czarnej sukni Poireta i kapeluszu z rajerem -w tym samym stroju, w jakim ukazała się Fredowi Rozdolskiemu w łódzkiej kawiarni „Esplanada”. W oczach jej bajecznych i świetnie oddanym wykroju usteczek tkwił wyraz piękna i bezbrzeżnego smutku. Całość, mimo szkicowej

roboty, robiła wrażenie, dzięki doskonałemu prowadzeniu ołówka i prześwitującej z każdej linii koncepcji artysty, skończonego dzieła.

Stanęli więc przed tym obrazkiem, tak niepozornym, a tak wiele mówiącym...

–Taka była pani przed wielką wojną... – rzekł w zadumie Waldemar. – Anielsko piękna w tajemnicy swego cierpienia. Gdy patrzę teraz na panią, pani... Stefano -zadrzał i skrzywił się boleśnie, wypowiadając to imię -nie mogę wyjść z podziwu, jak czasy powojenne zmieniły kobiety... Dały im swobodę stroju, pozbawiły ciasnoty gorsetów, odkryły nogi, bezlitośnie ścięły sploty włosów, dozwoliły kryć twarze pod warstwami pudru i szminki, ale pozbawiły jednego – zastanowił się chwilę – nieodgadnionego uroku, który czynił je tak pociągającymi dla mężczyzny... Dzisiejsza moda uczyniła kobiety Sfinksami bez tajemnic.

–Czy istotnie tak bardzo zbrzydłam? – zapytała z mimowolną kokieterią.

–O nie, twierdzenie takie byłoby bluźnierstwem! – zaprzeczył z ożywieniem. – Wtedy byłaś pani jeszcze niewinnie dziewczęca i wiośnianie słodka, mimo żeś już, jak sądzę, poznała gorycz ludzkiego żywota... a teraz jesteś jak oszlifowany pięknie brylant, jednak zupełnie niepodobny do tamtego wspaniałego diamentu, który czekał w jakiejś grocie skalnej na swego odkrywcę. Wtedy byłaś ludzako podobna do pewnego najwspanialszego na świecie dziewczęcia, z którym los nie pozwolił mi się połączyć... Ach, jaka szkoda, żeś cię nie spotkał wtedy! – zakrzyknął z bólem prawdziwym.

–I cóż się z owym dziewczęciem stało? – spytała cicho, z trudem wstrzymując łzy.

–Niestety! – głucho wyrzęził. – Umarła, zatruta niechęcią i fanatyzmem mojej sfery. Od tyłu już lat spoczywa na ruczajewskim cmentarzu! – chwycił się za skroń z wyrazem prawie szaleństwa na twarzy. – I przez te wszystkie lata modliłem się do Boga, aby zesłał mi wybawienie... A oto zjawiłaś się pani, tak bardzo do tamtej podobna, a jednak inna zupełnie...

Wparł w nią wzrok tak pełen udręki, że musiała umknąć spojrzeniem.

Bała się, że za chwilę sama wybuchnie płaczem i rzuciwszy się w ramiona ukochanego, wyzna mu wszystko. Lecz nie nadszedł jeszcze czas. Nie była jeszcze do tego gotowa... To spotkanie niesło w sobie zbyt wiele, jak na pierwszy raz. Uczuła znowu gwałtowną potrzebę ucieczki, jak wtedy, w kaplicy Pań Kanoniczek, jednak wzrok ordynata przykuwał ją do ziemi ołowianym ciężarem uczuć.

–Błagam, niech pan przestanie... -jęknęła. – Pańskie cierpienie staje się również moim i przejmuję mnie głęboko...

–Serce rozdarte nie może milczeć! – krzyknął w nieopanowaniu Waldy tak głośno, że aż ściągnął na siebie wiele zadziwionych spojrzeń. – Los przykuł mnie do ciebie, pani, bez względu na to, kim jesteś! Będę snuł się odtąd za tobą jak cień, jak wierny pies. Nie uwolnisz się już ode mnie i od mojej... miłości – dokończył zdanie z wyraźnym wysiłkiem. – Te perły, które wróciły na ołtarz kościoła w Ruczajewie, natchnęły mnie wariacką nadzieją, żeś wstała z grobu... Stefciu... – zakończył z wyrazem prawdziwego szaleństwa na twarzy.

Wyciągnął ku niej dłonie, jakby chciał pochwycić ulotne widmo. Ona cofnęła się z pewnym strachem. Nie wiedziała już co zrobić, sama była jak w pomieszaniu zmysłów... „Uciekać! Uciekać jak najszybciej!” – tłukło się w jej biednej, skolatanej głowie. Zebrała na powrót wszelkie siły, jakie jej jeszcze pozostały. Ozwała się głosem rozpacznie spokojnym:

–Pan się omylił co do mnie... Nie jestem tym, kim pan sądzi. Nawet nie jestem już tą kobietą, którą malował Jakub... Dawna Stefcia umarła 'istotnie. Czy więc może pan pokochać baronessę de Mildi?

–Kocham w pani cień tamtej i taką, jaką jesteś teraz -odrzekł nieprzytomnie, obrzucając ją wzrokiem błędnym. – Jesteś pani doskonałym amalgamatem wszelkich cudów, jakie skrywa w sobie kobieta. Nawet, jeśli miotają tobą czasem złe jakieś instynkty... Różnie bowiem powiada się o baronessie de Mildi... ale dla mnie (głęboko w to wierzę) staniesz się aniołem pocieszenia. Mogę mieć taką nadzieję?!

–Nadzieję odczytasz łatwo w moim sercu – odparła z uczuciem. – A teraz

proszę pozwolić mi odejść. Nie mam siły na dalszą rozmowę... – westchnęła. – Muszę zebrać myśli... uczucie pańskie spadło na mnie zbyt nagle, zbyt niespodziewanie... A więc... Auf wiedersehen, na razie... Waldy...

Odeszła prędko, kryjąc twarz w dłoniach. On patrzył za nią wzrokiem dzikim, nie zważając wcale na innych ludzi.

–Stefciu... – poruszały się jego wargi bezgłośnie – tylko ty jedna potrafiłaś wymawiać tak moje imię... Więc kochasz mnie jeszcze?! Wiem, że tak jest... Stefciu...

Po chwili jednak otrząsnął się z mar przeszłości. Sztywnym, automatycznym krokiem, jakby drewnianej kukły, skierował się do drzwi wyjściowych, w których zniknął przed chwilą największy ideał jego życia... lub może tylko jego odbicie lustrzane... Księżyc wobec Słońca? Tego jeszcze nie wiedział, lecz był już pewien absolutnie, że dowie się na pewno. „To cud prawdziwy -myślał bez przerwy. – Ta kobieta jest cudem zesłanym od Boga... Nie może być inaczej...”

A tymczasem całe szatańskie zło tego świata szykowało już swój podstępny atak...

VI

Chociaż słońce nie skończyło jeszcze swej dziennej wędrówki, w garsonierze księcia Pawła Ostalskiego panował tajemniczy półmrok. Krwistopurpurowa kula abażuru wydobywała zeń jedynie niewielkie fragmenty pomieszczenia. Ciężkie i, zdawało się, groźne jak odległa luna pożaru, światło ukazywało więc, jakby niechętnie, najpierw kryty precudnej roboty intarsjami z różnych gatunków drzew i masy perłowej japoński stolik, na którym stała lampa. Dalej można było dostrzec fragment olśniewającego perskiego dywanu, potem dwa modernistycznie powyginane fotele, zarzucone w nieładzie fragmentami kobiecej i męskiej garderoby w jakimś szalonym, obłędnym wirze... – ktoś cisnął na nie, widocznie w wielkim pośpiechu, kapelusz, torebkę, rękawiczki, krawat, kołnierzyk, spinki do mankietów, boa... Mieszało się to wszystko ze sobą, plątało i gniotło, podobnie jak unoszące się w powietrzu wonie perfum Guerlaina i męskiej wody kolońskiej. Dalej, gdyby ktoś podglądający całą scenę z ukrycia wyteżył nieco wzrok, mógłby dojrzeć niski, podobny do poprzedniego, stoliczek, na którego ozdobnym blacie piętrzyły się ze złotej patery banany i winne grona, napęczniałe życiodajnym sokiem; obok, na talerzach ze starej majoliki, widać było boleśnie rozdarte skorupy ostryg i rozgrzebane srebrnymi łyżeczkami grudki czarnego kawioru. Filiżanki z saskiej porcelany dymily jeszcze niedopitą kawą, podobnie w kryształowych kielichach pienił się szampan. W ustawionej wprost na dywanie popielniczce tlił się nie zgaszony, zapewne przez zapomnienie, papieros. W pobliżu stojącej nieopodal kanapy spoczywał niedbale i bezwładnie smutniutki pierrot-poduszka. W jego szklanych oczach migotał przestach... Najwidoczniej nie mógł pojąć, co się też w owym wnętrzu stało i dlaczego źli ludzie obeszli się z nim tak nielitościwie. Ze ściany patrzyły na wszystko oczy zimne i bezlitosne gwiazdy filmowej z plakatu. Boska Marlena zdawała uśmiechać się ironicznie grymasem upadłego anioła. „Jestem od stóp do

głów stworzona do miłości..." – szeptały jej umalowane ciemnym karminem wargi. Może zresztą było to tylko złudzenie wynikające z gry światła i cieni. Zapewne w tym salonie nie działo się nic szczególnie niezwykłego ani niecodziennego, a samo mieszkanie było typową garsonierą młodzieńca z towarzystwa.

Patefon skończył grać upojnego bostona i zaskrzypiał złowieszczo. Z niicy, mimo że okna były szczelnie zasłonięte, dobiegały miejskie hałasy -turkot dorożek, trąbienie aut, zgrzyty tramwajów, gwar przechodniów. Może te właśnie odgłosy zbudziły ze słodkiego oszołomienia parę kochanków.

Kobieta poderwała się z kanapy tak gwałtownie, że sprawiła, iż zwieszające się z abażuru lampy kryształki zabrzęczały alarmująco. Oczy jej zaćmione były mgłą występnej rozkoszy.

–O ty... – wydyszała namiętnie – miły mój!..

Księżę Paweł patrzył na Ritę Trestkową wzrokiem zwycięskiego wodza, oceniającego dopiero co sprowadzoną branke. Nie było w tym spojrzeniu miłości, jeno dzika radość odniesionego triumfu. Ale nieszczęsna, rozkochana kobieta dostrzec tego nie mogła ani też nie chciała. Ostalski rozparł się wygodniej na poduszkach i sięgnął po kielich szampana, którego począł pić wielkimi haustami. Nasycony, stał się teraz obojętny wobec czułości tulącej się doń niewiasty. Ona ciągle jeszcze pragnęła przedłużyć chwile radości zakazanej. Zwisła na ciele mężczyzny niczym słaby powój, oplatający mocarne drzewo. Nie wiedziała jednak o tym, że pień, na którym pragnęła zbudować sens swego nowego życia, był już z dawna od wewnątrz spróchniały, choć tak, z pozoru, zdrowy i młodzieńczy.

–Ofiarowałaś mi, pani, cudowny podwieczorek dzisiejszego popołudnia – ozwał się Paweł głosem cynicznym. – Wszak nie ma lepszych konfitur niż piękna kobieta, oddająca się na tacy własnej zmysłowości, dało mi to doznanie niemal mistyczne. Wdzięczny ci za to jestem i dziękuję ci... Rito.

Na twarzy hrabiny odbiło się niejaki zdumienie, a nawet przykrość. Nie takich słów się spodziewała. Odsunęła się odruchowo od kochanka i spojrzała na

niego wzrokiem nieco przytomniejszym, a przy tym bardziej uważnym. Na jedno mgnienie Paweł wydał jej się obcym, a nawet wrogiem. Gdybyż posłuchała w owej chwili głosu swej intuicji!

–Co też mówisz... Pawle – wyjąkała ze zdziwieniem. – Sądysz może, że dla mnie to tylko przygoda?! Wszak zdradziłam dla ciebie Edwarda i choć wyszłam za niego bez miłości, to jednak bluźniłabym, gdybym nie uznawała w nim dobrego, szlachetnego człowieka!

–I najgłupszego na świecie, jak zresztą większość zdradzanych mężów – mruknął pod nosem książe.

–Toteż teraz nie chcę z nim być -oświadczyła stanowczo Rita. – Pragnę zacząć życie na nowo, u twego, Pawle, boku. Jakże to będzie wspaniale! – krzyknęła z histeryczną niemal egzaltacją. – Tyś życie mi wrócił! Nauczyłeś mnie na nowo oddychać, patrzeć, słuchać, myśleć, smakować. Koniec męki niedobranego małżeństwa! Rozwiodeę się z Trestką i będziemy żyć razem... Prawda? Przytuliła się do swego wybrańca. Nie dostrzegła więc na jego twarzy niepokoju i popłochu w oczach. Ogarnął ją wprawdzie ramieniem, ale z ust jego wybiegły słowa zimne:

–To wszystko nie takie proste, najdroższa... Z pewnych względów nie mogę zawrzeć związku małżeńskiego zanim nie ukończylem trzydziestego roku życia, albowiem zmarły ojciec, znając dobrze mój charakter, uczynił taką właśnie klauzulę w swym testamencie. Pragnął zapewne, abym nie żenił się w sposób nieprzemyślany. Gdybym to teraz uczynił, straciłbym wszelkie środki utrzymania. My oboje zaś nie jesteśmy stworzeni do życia w nędzy. Pragnąłbym ci stworzyć odpowiednie warunki, dać mojemu klejnotowi oprawę, na jaką zasługuje.. Dziwię się też, że ty, taka dobra i uczuciowa, chcesz z czystym 'sumieniem skrzywdzić, jak sama powiedziałaś, porządnego i uczciwego człowieka.

Uśmiechnął się niemal złośliwie, czego ona znów nie spostrzegła. Niemniej spytała płaczliwie:

–Mamy zatem czekać pięć lat, aby móc oficjalnie się z sobą połączyć? To

strasznie długo... I chociaż ty nie wspominaj teraz o Trestce! Mimo iż rzeczywiście starał się być zawsze dobrym, dla mnie był tylko wstrętnym dręczycielem! – zawołała, zakrywając dłońią oczy. – O środki do życia nie musisz się martwić, połowa majątku do mnie należy. W razie rozwodu Edward będzie musiał wypłacić mi sumy posagowe, jakie otrzymał od świętej pamięci księżnej Podhoreckiej...

–Jak wielkie? – przerwał jej z żywym zainteresowaniem.

–Ach, nie pamiętam... W każdym razie starczyłoby na życie godziwe.

–Nigdy nie zgodziłbym się być utrzymywanym przez ukochaną przeze mnie kobietę – oświadczył stanowczo. – Tobie mi uwłaczało. –Czy jednak nie możemy wziąć ślubu w tajemnicy? – usiłowała znaleźć wyjście z trudnej sytuacji.

Pokręcił głową przecząco, wbijając sztylet w krwawiące już i tak serce Rity.

–Wykluczone – oświadczył z ledwie powstrzymanym zniecierpliwieniem. – Szpiedzy mojej kuzynki, która jest następną w kolejności do spadku, tylko czyhają na podobny krok z mojej strony. Oznaczałoby to dla mnie klęskę zupełną... Widzisz więc, ukochana, że dla naszego wspólnego dobra wszystko musi pozostać jak dotychczas.

–A może wstydzisz się żyć ze starszą od siebie kobietą? – spytała cicho, z trudem wydobywając poszczególne wyrazy..

–Co mówisz, jedyna! – krzyknął z udawanym uniesieniem. – Prawdziwa miłość nie uznaje takich granic! Dla mnie jesteś najwspanialsza, najcudowniejsza na świecie!

–Więc nie jestem tylko przelotną miłością? – chciała wiedzieć.

Objął ją znów i całował długo, przeciągle. Ona czepiała się go, jak tonący ostatniej deski ratunku. Pocałunki te znowu napęłniły ją zgubną ufnością.

–Kocham cię, jak nikogo dotychczas – zapewnił, gdy tylko oderwał usta od ust Rity – ale musimy ten stosunek utrzymywać w tajemnicy, jeśli chcemy nadal cieszyć się naszym szczęściem...

–Ty mi mówisz o szczęściu – przerwała z goryczą w głosie – i każesz mi żyć u boku człowieka, który zawsze był mi obojętnym, a teraz może zacznę go nienawidzić. Każesz mi prowadzić życie podwójne, a zatem nieuczciwe. Ukrywać naszą miłość, jakby była przestępstwem... O, ja tak żyć nie potrafię!

–Musisz – rzekł z mocą. – Nie mamy innego wyjścia. Szkoda, swoją drogą, że nie jesteś już wdową. Wtedy przynajmniej ten problemat nie nękałby nas... Czy zgodziłabyś się dla mnie uczynić pewną drobnostkę? – dorzucił od niechcienia.

Spojrzała na niego z prawdziwym przerażeniem. Przez chwilę błysnęła jej w głowie myśl szalona, że Paweł chce ją namówić, aby zgładziła własnego męża. Ostalski zaśmiał się, widząc jej przestrasz.

–Ależ nie, Rito, nie o to mi chodzi... – rzekł, jakby czytał w jej myślach. – Nie chcę bynajmniej, abyś stała się Lukrecją Borgia! Trestka niewart takiego poświęcenia z twojej strony... Dla nas najważniejszym jest, aby nadal pozostawał ślepy i głuchy, co zresztą przy jego, nazwijmy to delikatnie, naiwności, nie będzie zbyt trudne. Mam do ciebie prośbę zupełnie z naszymi sprawami nie związaną.

–O cóż więc prosisz? – zapytała, już uspokojona.

–Och, nic takiego... – odparł bagatelizujące – Martwię się tylko o naszego wspólnego przyjaciela, biednego Ola Szczerbca. Jest kompletnie zrujnowany, a jego rodzina nie chce go wspomagać, mają mu bowiem za złe (być może słusznie) grzechy jego młodości. Ja oczywiście starałem się ulżyć mu w jego ciężkiej sytuacji, jednakże nawet moje dochody nie wystarczą na potrzeby nas obu... Myślę, że dobrze by mu zrobiło, gdyby dostał jakąś godną jego zdolności posiadłość. Czy mogłabyś w tym dopomóc? – zawiesił wyczekująco głos.

–Ależ naturalnie – powiedziała Rita z niejakim zdziwieniem. – Nie wiem tylko, w czym mogłabym być pomocną. Książę Szczerbiec nie umie, zdaje się, robić nic... prawda?

–Ma wystarczająco oglady, stylu i dobrych manier, aby powiększyć grono pracowników choćby waszego MSZ – tłumaczył jej z przekonaniem. – Tam

wylądowało zresztą sporo młodzieńców z dobrych rodzin, nieprawdaż? Więc jak będzie? Zgoda? – spytał obcesowo.

Rita zastanawiała się przez chwilę. Prośba Pawła, mimo iż miała wszelkie cechy zupełnie naturalnej, budziła w niej trudny do wytłumaczenia niepokój. Dlaczego księciu Ostalskiemu zależało właśnie na Ministerstwie Spraw Zagranicznych? Czyżby wiedział o jej powiązaniach rodzinnych? Dotychczas nie dał tego po sobie poznać... Coś w tym wszystkim było podejrzanego, jednak zaćmiony nieco umysł zakochanej kobiety nie mógł rozeznaczyć, co. Odpowiedziała więc, wzdychając z rezygnacją:

–Cóż, skoro nalegasz, zaproteguję go... Mam jednak nadzieję, iż jesteś absolutnie pewien, że twój przyjaciel istotnie pragnie się ustatkować. Nie mogłabym bowiem w żadnym razie polecić kogoś kompromitującego... Rozumiesz chyba, co mam na myśli...

–Ależ możesz być zupełnie spokojną! – zawołał uradowany. – Nie prosiłbym cię o to, gdybym nie znał go lepiej niż wszyscy! Olo pragnie porzucić gry i hulanki, zakończyć puste, jałowe życie, jakie dotąd prowadził. Przyszedł na niego wiek męski, wiek czynu. I ty możesz uczynić dla niego wiele dobrego, dając mu tę szansę!

–A zatem załatwione – przerwała mu wesóło. – Ten twój Olo dostanie posadę. Czy książe zadowolony ze swojej Rity? – spytała pieszczotliwie.

Znów ją przyciągnął do siebie.

–Książe uważa, że jego Rita jest boska i anielska! – mruknął przymilnie.

Zegar ze ściany wydzwonił ósmą. Rita poderwała się w popłochu. Poczęła zbierać nerwowo swoje rzeczy z fotela, rzuciła wreszcie kochankowi, mnąc zamsz rękawiczek:

–Jak już późno! Miałam się spotkać z Edwardem u Brochwiczów. Powiedziałam mu, że idę do krawcowej... Jak wstrętne jest życie w kłamstwie! – zakrzyknęła z wyrazem tragicznym.

–Musimy ponosić te ofiary, kochanie – szepnęła sugestywnie Ostalski. – Wszystko dla naszej miłości... Idź więc i bądź dzielna.

–Będę! O!... Będę! – zawołała w uniesieniu, osuwając się raz jeszcze w jego ramiona. – Myśl o Pawelku doda Ritce otuchy... I Pawelek będzie myślał o swojej Ritce. Czy tak?

–Czy mógłbym zapomnieć o tej, która stała się dla mnie światem całym? – mówił z przesadną emfazą. – Tyś mi droższa nad życie!

–Cudzie mój! – jęknęła kobieta.

Przytulila się po raz ostatni do ukochanego i już po chwili nie było jej w pomieszczeniu. Tylko woń perfum świadczyła jeszcze o niedawnej bytności. Książę Paweł Ostalski wciągnął zapach Guerlaina głęboko, potem uśmiechnął się ironicznie, a następnie sięgnął po czarną tubkę telefonu.

Małe oczka hrabiny Ćwileckiej świdrowały przenikliwie całą postać siedzącej naprzeciw niej niewiasty. Kiedy Stefania przekroczyła próg hotelowego apartamentu, od razu wyczuła, że jej wizyta związana będzie z jakąś nieprzyjemną sytuacją. Przede wszystkim mąż hrabiny był nieobecny w salonie – ponoć istotnie zaniemógł obłożnie. Mogło to być, oczywiście, prawdą, jednakże ta rozmowa sam na sam od początku nasunęła podejrzenie, że oto wciągnąć tu się pragnie pięknego gościa w jakąś przemyślnie zastawioną pułapkę.

–Cieszę się, że zdecydowała się pani dotrzymać słowa, Stefano – wycedziła Ćwilecka na przywitanie kłamliwie słodkim głosikiem. – To jest, chciałam powiedzieć, baronesso... wszak jest pani baronessą, n'est-ce pas?

Wparła w nią badawcze, złowrogie spojrzenie, które omal nie odbiło się na twarzy Stefci zmieszaniem.

–Znamy się już czas jakiś, więc możemy być chyba nieco mniej oficjalnie ze sobą – odpowiedziała Stefania, siląc się na spokój. – U nas, w Berlinie, nie przywiązuje się takiej wagi do tytułów. Może więc mogłybyśmy mówić sobie po imieniu, droga Lauro? – zaproponowała śmiało, co zrobiło na jej rozmówczyni pewne wrażenie.

–Och, czemużby nie... – rzekła od niechcienia hrabina. – Jeśli jednak mamy zostać przyjaciółkami, lubiłabym wiedzieć, z kim tak naprawdę mam do czynienia... A propos Berlina – zmieniła niespodziewanie temat. – Gdzie

właściwie brat pani ma apartament? Przy Kurfurstendamm? A może w Alei pod Lipami?

Stefania poczęła odczuwać prawdziwy niepokój. Zrozumiała w owej chwili, że żmija uruchomiła już gruczoły jadowe i szykuje się do ukąszenia, jeśli tylko' jej ofiara pozwoli sobie na chwilę nieuwagi. Postanowiła być czujna. Ściągnęła wodze swoich nerwów najsilniej jak tylko mogła. Odparła beznamiętnie:

–Brat mój, baron Johann Friedrich von Hohenlohe-Liebenstein de Mildi nie lubi zbytnio stolicy. Zazwyczaj przebywa w naszym rodowym zamku w pobliżu Szczecina, albo też jeździ po świecie, jest bowiem zapalonym podróżnikiem.

–Och, słyszeliśmy wiele o słynnych wozach barona! – zawołała Ćwilecka, mrugając i przewracając oczami, uśmiechnięta przy tym dwuznacznie. – Ostatnio bawił w Berlinie mój wieloletni przyjaciel, hrabia Morteński... Wszak zna go pani, Stefanie?

Znowu przeszły Stefanię dwie zimne klingi. Zaprzeczyła ruchem głowy.

–Ach, prawda, zapomniałam! – zakrzyknęła, niby przypominając coś sobie, hrabina. – Przecież nie mieliście okazji się spotkać... Otóż, jak już wspomniałam, przyjaciel mój przebywał niedawno w niemieckiej stolicy. I... tenez... napisał mi, że kiedy pytał wśród tamtejszego towarzystwa o panią, wszyscy szeroko otwierali oczy ze zdumienia. Nikt bowiem nigdy nie słyszał o siostrze barona de Mildi... Sam zaś baron opinię ma, powiedzmy, nie najlepszą... Mówi się o nim doprawdy rzeczy straszne! Ponoć ocierał się o satanizm, najdziwsze perwersje, narkotyki, a nawet szpiegostwo... – dokończyła dramatycznym szeptem.

Zapadła chwila wielce niemilego milczenia. Stefania zaczęła się już domyślać ku czemu zmierza wyrefinowana intrygantka – która przecież niegdyś podłością swoją jej samej omal nie pozbawiła życia – lecz tymczasem postanowiła odparować cios bezpośrednio zadany.

–Sądziłam, że arystokracja polska jest wystarczająco szlachetna, aby nie

powtarzać plotek – oświadczyła z godnością. – Nie wiem, w jakich salonach bywał przyjaciel pani, skoro rzucano tam na brata mego podobne potwarze... Johann istotnie jest może nieco ekscentrycznym, lecz z pewnością nie uczynił nigdy nic takiego, co mogłoby odebrać mu dobre imię. Co się zaś tyczy osoby mojej, to zapewne wiadomo pani... Lauro... że od wielu lat przebywam już w waszym kraju, toteż ten i ów mógł o mnie zapomnieć... Niektórzy mieli mi też za złe małżeństwo z Polakiem...

–Z dyrektorem Rozdolskim?! – pochwyciła Ćwilecka. – Oczywiście, podobne mezalianse w naszej sferze nigdy nie były dobrze widziane -zasyczała zjadliwie.

–Przynajmniej Polacy winni go czcić jako bohatera -odrzekła z mocą Stefcia. – Nie wstydzę się związku z człowiekiem, dzięki któremu pokochałam również wasz piękny kraj i ludzi...

–Niektórych aż zanadto – przerwała jej niemal niegrzecznie hrabina. – Po ostatniej wystawie w „Zachęcie” wiele się mówiło o związkach pani z pewnym semickim młodzieńcem. Niektórzy zauważyli także, jak kokietowała pani w sposób zupełnie nieprzyzwoity ordynata Michorowskiego... Czego pani chce od nas, baronesso?! – zadała z nagłą pytanie prokuratorskim tonem. – Czy nie pora wracać tam, skąd pani przybyła?!

Stefania powstała z krzesła, wzburzona do głębi. Odrzekła drżącym głosem:

–Insynuacje, jakie usłyszałam, są tego rzędu, iż jedyną odpowiedzią może być tylko przerwanie rozmowy! Pragnę jednak ja sama zadać ostatnie pytanie: czego pani chce ode mnie... hrabino?!

Mierzyły się wzrokiem dłuższą chwilę. Nagle Ćwilecka, jakby w załamaniu nerwowym, opuściła wzrok i zakrywszy dłońmi oblicze jęła łkać rzewnie:

–Ach, czemu nie możemy rozmawiać ze sobą szczerze, jak dwie prawdziwe przyjaciółki?! O tym, co tutaj mówimy, nie powiedziałam jeszcze nikomu. Przysięgam! Wiem, że brat twój i ty sama, Steffi, jesteście finansowo niezależni, bogaci... Nas tymczasem wielka wojna i łódzcy geszefciarze ograbili literalnie do

ostatniej koszuli! Szale zlicytowane, nawet córki moje w nędzy! – wołała rozpaczliwie, unosząc dramatycznie w górę rączki zdobne kosztownymi pierścionkami i bransoletami. – Niedługo skończy się nasz kredyt w „Bristolu”, a wtedy przyjdzie nam chyba pójść z chorym mężem żebrac na ulicy o kęs chleba!... Może więc ty, nieodgadniona cudzoziemko, pospieszysz nam z pomocą w niedoli?!

Wzrok jej był tym razem niemal błagalny, choć przesycony chytryością. Stefania od dłuższego już czasu zdawała sobie sprawę, że jest w najordynarniejszy sposób szantażowana przez podłą kobietę, na której warunki będzie musiała przystać. Miała wielką ochotę przerwać ową męczącą i odrażającą pod każdym względem rozmowę, chciała się jednak dowiedzieć, co jeszcze zdołała wywęszyć – sama, lub zapewne przez najętych detektywów.

Równocześnie wspomniała słowa swego „brata”, wypowiedziane już bardzo dawno, jeszcze przed wojną... „Będą musieli żebrac pod obcym płotem o kęs chleba...” Taki był jego wyrok wydany proroczo na polską arystokrację. Nie mogła w owej chwili odmówić baronowi Johannowi bystrości osądu, ani przenikliwości. Wyrok losu wypełnił się dla Stefanii, choć znowu inaczej niż tego się spodziewała.

–Mogę wprawdzie korzystać bez ograniczeń z mojej części majątku – powiedziała wyjaśniająco, z trudem znosząc na sobie uważny wzrok Cwileckiej, jakby szczypiący ją rozpalonymi kleszczami – jednak do wypłaty naprawdę dużych sum potrzebna jest zgoda mojego brata. Ponieważ nie wiem, gdzie obecnie przebywa, może trochę potrwać zanim odszukają go nasi agenci bankowi. Proszę być jednak cierpliwą...

–O, żebrak nigdy nie jest cierpliwy! – przerwała jej znowu hrabina. – Wszak pani sama musiałaś doznać nędzy za młodu, skoro zmuszona byłaś prowadzić w Łodzi sklep pod przybranym nazwiskiem. Zdaje się, że nazywałaś się wtedy madame Bujnowska... n'estce pas, ma chere baronesse?

Uśmiechnęła się teraz zwycięsko pewna, że zadała cios ostateczny. Ku jej zdumieniu Stefania uspokoiła się widomie, choć na pięknych licach wciąż trwał

ślad świeżo doznanej przykrości.

–Powiedziała już, że obecnie gotówki nie posiadam – rzekła ze zniecierpliwieniem. – Ale postaram się porozmawiać z Johannem jak najprędzej. Myślę, że milion marek, oczywiście niemieckich, zaspokoi wasze apetyty?

Ćwilecka, która widocznie spodziewała się dłuższych targów i klótni, kiwnęła głową z zachwytem.

–Ja bym i dziesięć fenigów z twoich dłoni szlachetnych... duszo anielska! Przebacz mi, jeśli cię zraniła!

Chciała się rzucić całować dłonie Stefcy. Ta cofnęła się z odrazą.

–Zatem suma owa przekazana zostanie z Berlina na wasze konto w Warszawie najszybciej, jak to tylko możliwe... Sądzę, że kupiłam sobie właśnie również luksus niewidywania więcej pani hrabiny. Zegnam.

Wyszła, pozostawiając Cwilecką w osłupieniu.

W duszy Stefanii, która przeszła już przez wiele tortur zetknięcia się z ludzką podłością, była tylko lodowata złość przemieszana z pogardą. Oto, mogła sobie rzec, rozprawiała się ostatecznie ze swymi wrogami. Upokorzona arystokracja leżała u jej stóp, była od niej zależną... Ale jakąż goryczą zaprawne było owo zwycięstwo! Przez jakież piekło, stwarzane przez ludzi samym sobie, musiała przejść, nieszczęsna, aby dopiąć celu! Słusznie przestrzegał ją baron...

Miała także złowróżbne przeczucie, że prawdziwe kłopoty dopiero się dla niej zaczną. W dłoniach ścisnęła torebkę, gdzie ukryty był liścik o następującym brzmieniu:

Meine liebe Steffi!

Wybacz, że tak długo nie odzywałem się do Ciebie, lecz skłoniły mnie do tego arcyważne powody. Proszę Cię, abyś wpłynęła na swoje dawną – i obecną, jak mi wiadomo – przyjaciółkę, hrabinę Ritę Trestkową w sprawie posady dla księcia Aleksandra Szczerbca w MSZ. Obecny minister, Wilhelm Szeliga, jest jej rodzonym bratem, toteż owa protekcja nie powinna nastęrczać jej szczególnych

trudności. A los tego miłego chłopca leży mi szczególnie na sercu... z powodów, o których nie mam ochoty teraz pisać. Bądź też miłą publicznie dla księcia Pawła. To także rzecz wielkiej wagi.

Moi ludzie donieśli mi, że owa alte Dirne, Lora Ćwilecka, zaczęła przez detektywów prowadzić śledztwo w twojej sprawie. Nie przejmuj się nią zbytnio, potrafię ją unieszkodliwić i pozbawić tę nędzną gadzinę jakichkolwiek możliwości szkodzenia Ci. Wkrótce zresztą zjawię się osobiście i wyjaśnię wszelkie wątpliwości. Quand meme, pragnę zaznaczyć, że jestem wielce z Ciebie zadowolony. Do zobaczenia wkrótce.

Twój zawsze J.deM.

Oto więc nadchodził dla Stefanii czas zapłacenia rachunków za życie wypożyczone... Stawał przed nią, niczym przed doktorem Faustusem z legendy, Mefistofeles, dzierżący w kosmatych łapach cyrograf, przypominający warunki umowy i okazujący podpis wykonany krwią serdeczną... „Czymże się to skończy?!” – pytała Stefda sama siebie z najwyższą obawą. Bała się ciągle, mimo tylu lat niewidzenia, barona i jego szalonych pomysłów. Jedyne ratunek widziała w nowo obudzonej miłości Waldemara. Czy jednak zechce ją taką, jaką stała się obecnie? Międzynarodową oszustkę, szpiega tajemniczego barona? Jakże może oddać się z ufnością ukochanemu, skoro nawet sama dobrze nie wie, kim jest teraz i kim jeszcze się stanie?

Dokąd uciec przed dręczącymi wątpliwościami? Może tam, gdzie dużo ludzi, gdzie będzie zawsze widoczna... Wspomniała zaproszenie na rajd automobilowy. Wiedziała już, dokąd trzeba jechać. Do Lwowa!

VII

Minister Szeliga przetarł dłonią zaczerwienione zmęczeniem i niewyspaniem oczy, potem długo i starannie czyścił grube szkła okularów. Mimo znużenia i późnej pory, był przecież zadowolony z zakończenia ciężkiej pracy. Powiół wzrokiem po sprzętach gabinetu, po stosach papierów piętrzących się na biurku, po fachowych książkach, współczesnych i historycznych, zalegających każdy niemal skrawek pomieszczenia. Nie wystarczało dla nich szaf, toteż leżały tworząc wymyślne kolumny i piramidy na stolikach i fotelach, nawet na dywanie. Wokół nich kłębiło się wzburzone morze gazet i czasopism, krajowych i zagranicznych, niektórych pożółkłych już ze starości, innych pachnących świeżą farbą drukarską. Zza półprzymkniętych drzwi salonu posłyszał brzęk porcelanowej filiżanki. „Ach, prawda! Tam przecież Rita... czeka na mnie już blisko godzinę” -uświadomił sobie. Spojrzał przychylnie na stojącego przed nim wyczekującego sekretarza. –Panie Aleksandrze – powiedział z sympatią w głosie – pragnę podziękować, że zechciał pan ze mną podzielić godziny nadliczbowe pracy, mimo iż wykracza to poza pańskie obowiązki... Sam pan jednak widzi, nie miałem innego wyjścia, jak tylko skorzystać z pańskiej wydatnej pomocy.

Ksiązę Aleksander Szczerbiec skłonił się z szacunkiem i odrzekł służbiście: – To raczej ja winienem wdzięczność panu ministrowi, że zechciał mnie dopuścić do tak ważnych dla naszej ojczyzny spraw. Jest to już zaszczytem samym w sobie.

–Będę miał jeszcze jedną prośbę do pana – powiedział minister. – Trzeba tę kopertę zawieźć niezwłocznie do Sztabu Generalnego. Czy zechce mi pan wyświadczyć tę jeszcze jedną, ostatnią dzisiaj, przysługę? Ja sam jestem już zanadto zmęczony.

–Ależ naturalnie! Z ochotą! To mi zresztą po drodze do domu! – wołał

młody ksiązę.

–A zatem proszę wziąć tę przesyłkę i zawieźć natychmiast do sztabu. Odbierze ją major Orlicki. Oczywiście już uwiadomiony o jest tym. Proszę pojechać taksówką na mój koszt i pod żadnym pozorem nie zatrzymywać się nigdzie ani też nie wstępować.

–Stanie się podług życzenia pana ministra – rzekł poważnie Szczerbiec i pochwywszy dużą, zalakowaną kopertę, schował ją czym prędzej do skórzanej teczki.

–Gdy znajdzie się pan już w sztabie, proszę zatelefonować czy wszystko jest w porządku – upominał go jeszcze Szeliga. – Tak jak zwykle zresztą...

–Oczywiście, panie ministrze – kiwał głową młodzieniec z pewnym zniecierpliwieniem. – Znam przecież przepisy.

–A zatem dobranoc, panie Aleksandrze. – Dobrej nocy życzę panu ministrowi!

Sekretarz okręcił się na pięcie i już po chwili nie było go w gabinecie. Wilhelm Szeliga trwał jeszcze chwilę w zamyśleniu, po czym, jakby ocknąwszy się, poderwał się sprężysto z fotela i rozprostował ciało, wyzbyte energii poprzez długie siedzenie za biurkiem. Teraz nadchodziła upragniona chwila wypoczynku, na którą minister mógł sobie pozwolić jedynie w późnych godzinach wieczornych, jakowa właśnie. Szybkim krokiem wszedł do salonu i ogarnąwszy czułym spojrzeniem siostrę, uściskał ją serdecznie.

–Przebacz, Ritko, że kazałem tak długo na siebie czekać, ale pojmujesz sama... Sprawy państwowe... Nie dają mi spokoju w dzień ani w nocy!

Rita pogładziła go po głowie.

–Ty wiecznie sprawami ważnymi zajęty... Przepracowujesz się, biedaku. Widzę u ciebie siwe włosy, choć jesteś przecież młodszy ode mnie. A jakże się miewa Lena i wasze dzieci?

–Wysłałem całą trójkę do Jastarni. Pewnie nie wiesz nawet, że właśnie skończył się rok szkolny – zauważył, nie spostrzegłszy nawet, że zrobił siostrze drobną przykrość, wypominając jej niechcący bezdzietność. – Cóż, ja od dawna

nie miałem wakacji – zasępił się przez chwilę. – Usiądźmy wreszcie tutaj razem na kanapie i pogadajmy jak za dawnych lat. Co u ciebie?

–Ach, zgnuśniałam w tym naszym Ożarowie -westchnęła. – Nawet już konno nie jeżdżę tyle co dawniej... Szczęściem Trestka nie ma nic przeciwko temu, abyśmy pobyli teraz trochę w stolicy. Tutaj przynajmniej jest ruch, życie prawdziwe! – zakrzyknęła w nagłym uniesieniu. – Nie to, co u nas, na wsi...

–Widzisz, siostrzyczko, jak dziwnie ten świat urządzony – uśmiechnął się Szeliga. – Każdy pragnie tego, czego akurat nie ma. Ileż bym dał za chwilę wytchnienia w jakimś leśnym ustroniu, z dala od wielkomięjskich hałasów! A ty właśnie od tego uciekasz.

–Jak się sprawuje mój protegowany? – spytała, jakby pragnąc zmiany tematu.

–Pan Szczerbicz – odpowiedział z powagą – jest bardzo zdolnym, sumiennym i obiecującym młodzieńcem. Mam w nim niezawodnego pomocnika. Ze swoich obowiązków wywiązuje się nadspodziewanie dobrze. Wiesz, że zawsze byłem przeciwny zapychaniu urzędów naszego ministerstwa bubkami z najwyższej sfery. Zjawia się taki panicz, który poza wysokim poparciem i salonowymi manierami nie posiada zazwyczaj żadnych innych cech dodatnich i z najbezcenniejszą w świecie miną żąda dla siebie ciepłej posadki z nieprawdopodobnie wysoką pensją... Ale, choć początkowo byłem pomysłowi zatrudnienia tegoż młodzieńca niechętny, obecnie muszę stwierdzić ze skruchą, że nie mam mu absolutnie nic do zarzucenia. Wręcz przeciwnie...

–Cieszę się, że ksiązę Olo przypadł ci do gustu -rzekła uradowana.

–Z pewnością daleko zajdzie – odparł z przekonaniem. – Widzę przed panem Szczerbicem otwierającą się drogę do wielkiej kariery.

Uparcie nie używał arystokratycznego tytułu swego podwładnego, nie przez snobizm a rebours bynajmniej, czy też kompleksy. Chociaż jego własna siostra wyszła za hrabiego, jej również nigdy nie nazywał hrabiną. Jako szczerzy demokrata nie mógł się bowiem pogodzić z trwaniem feudalnej, przestarzałej jego zdaniem tytułomanii, na którą wielce się zżymał. W ogóle arystokrację cenil

bardzo nisko, nie mogąc jej darować zawziętego trwania w Okopach Świętej Trójcy, mimo iż świat dookoła tak bardzo się zmienił. Musiał wszakże przyznać, że i w tej sferze zdarzały się pewne chlubne wyjątki. Usilnie namawiał w czasie ostatnich wyborów ordynata Michorowskiego, aby zechciał objąć tekę ministra spraw rolniczych, jednak musiał skapitulować wobec zdecydowanego oporu, który w tym wypadku potrafił zrozumieć. Śmierć Stefcii Rudeckiej, chociaż zdarzyła się przed wieloma laty, była wszak dla nich obu jednaką tragedią, choć może nie z jednakową mocą odczuta. Wilhelm, po ukończeniu studiów, rzucił się w wir pracy społecznej i politycznej. Wraz z wieloma innymi przygotowywał grunt dla odrodzenia się wolnej ojczyzny. Podczas jednego z konspiracyjnych zebrań poznał Helenę, dzielną i szlachetną niewiastę, z którą postanowił los swój związać. Bóg wynagrodził mu to udanym małżeństwem i dwójką dzieci. Tymczasem jednak zbierały się nad nim i jego towarzyszami ciężkie, czarne chmury. Aresztowany przez władze rosyjskie przesiedział rok w więzieniu, omal nie otarł się o Syberię. Udało mu się uciec z Petropawłowskiej turmy w połowie wielkiej wojny i w przebraniu przedrzeć się do polskich legionów. W szarym, prostym mundurze walczył dzielnie u boku najdzielniejszych. Dwukrotnie, ranny, został już w oswobodzonej Polsce odznaczony orderem Virtuti Militari. Dalsze swoje życie wypełnił także służbą krajowi, teraz już na niwie pokojowej. Od niedawna piastował stanowisko ministra spraw zagranicznych, a czynił to tak znakomicie, że nawet najbardziej zaprzysięgli wrogowie polityczni jego stronnictwa, nie mogli znaleźć w jego czynach ni słowach najdrobniejszej nawet plamki czy skazy.

–Mimo jego niezbyt zaszczytnej przeszłości – dodał Wilhelm po chwili wahania, jakby kontynuując nie wypowiedzianą głośno myśl – i dość wątpliwych przyjaźni...

–Co nazywasz wątpliwymi przyjaźniami? – spytała z niepokojem Rita.

–No cóż – zakłopotał się nagle – próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś bliższego o tym panu... panu Pawle Ostalskim, Otóż nasz ambasador w Paryżu zakomunikował mi niedawno, że człowiek niezwykle do tegoż pana podobny

często bawił w pewnym nieprzyzwoitym klubie, utrzymywanym przez... hm, ludzi społecznie bardzo źle widzianych. Było to kilka lat temu... człowiek ów nie był jeszcze wtedy jednak księciem polskim, ale zwykłym francuskim garsonem. Nazywał się wówczas Jean Violon. Rita spojrziała na brata z najwyższym zdumieniem i niedowierzaniem.

–Ależ to musi być jakaś omyłka... – wyjąkała zaskoczona. – Nie uwierzę, aby to było możliwe. W końcu rasę czyjąś zawsze potrafi się rozpoznać. Książę Paweł ma zbyt wiele dystynkcji i nienagannych manier. W żadnym razie nie może być oszustem! Jest przy tym bardzo bogaty... Skąd więc mógłby mieć to wszystko, jeśli nie z własnego domu?

–Tego jeszcze nie wiemy – oświadczył sucho minister. – Więc nie uważasz za konieczne, kochana Ritko, aby „prześwietlił” go nasz kontrwywiad? – zadał niespodziewane pytanie, przypatrując się siostrze uważnie.

–Ach, broń Boże! Nie!... – wzdrygnęła się, nieco przestraszona. – Już wszędzie zwęszycie jakieś zdrady lub szpiegowskie afery... I cóż wam zawinił Pawełek? Taki przemiły chłopiec...

–Dla niektórych chyba nazbyt przemiły – odparł Wilhelm znacząco. – Podobno to właśnie on namówił ciebie, abyś zaprotegowała młodego Szczerbca? Wydaje mi się, że pan Ostalski trochę zanadto interesuje się naszym ministerstwem...

–Mój drogi braciszku – rzekła Rita z irytacją – stajesz się doprawdy nieznośny z tą swoją podejrzliwością. Książę Paweł chciał dopomóc w biedzie swojemu przyjacielowi, ot i wszystko. Sam mówiłeś, że jesteś z pracy Ola bardzo zadowolony. Czy nie lepiej zwyczajnie na tym poprzestać, zamiast ciągle widzieć widma tajnych agentów i zamachowców? To chyba z przepracowania stałeś się taki rozdrażniony... Wierz mi, książę Ostalski to człowiek absolutnie correct.

–Hm, może... – mruknął minister, lecz w jego głosie nie było przekonania. – Opowiedz mi teraz jakieś najnowsze, warszawskie ploteczki – zaproponował nagle. – Przecież ja nie mam czasu nigdzie bywać, a na śmiertelnie nudnych rządowych rautach nie dowiesz się nigdy niczego naprawdę ciekawego ani

pikantnego...

–Nie sądziłam, że interesują cię takie rzeczy – zdumiała się nieco, ale też i uspokoiła przy tym. – Dużo się teraz mówi o nagłym zniknięciu tych niesympatycznych Ćwileckich. Wyobraź sobie, że ni stąd, ni zowąd, dosłownie z dnia na dzień, spakowali swoje kufry, zwolnili apartament w „Bristolu” i wyjechali za granicę, pozostawiając córkom dość dziwny, bezładny i chaotyczny list... Nie zostawili żadnego adresu. Mówi się, lecz nie wiem skąd ta informacja pochodzi, że wyjechali do Brazylii czy też Argentyny. Zdaje się, że niektórzy wymieniali nawet jako obecne miejsce ich pobytu Buenos Aires. Wszyscy jednak, włącznie z rodziną, głowią się skąd wzięła się ta ich niespodziewana decyzja. I, oczywiście, skąd zrujnowani kompletnie hrabiostwo wzięli pieniądze na tak daleką i kosztowną podróż. Tkwi w tym jakaś trudna do rozwikłania zagadka...

–Rzeczywiście, to dziwne – skinął głową Wilhelm. – Co prawda, Rzeczpospolita Polska nie poniosła na skutek ich wyjazdu zbyt wielkiej straty. Można chyba nawet powiedzieć, że wiele osób odetchnęło zapewne z ulgą. Ci państwo, gdziekolwiek się pojawili, zaraz psuli atmosferę swymi intrygami. To przecież właśnie Lora Ćwilecka zameczyła niegdyś do spółki z Barskimi tę nieszczęsną Stefcie...

–O tym, że Melania Barska wyszła niedawno za mąż za potomka łódzkiego magnata bawelnianego, zapewne wiesz – powiedziała siostra.

–Tak, owszem, słyszałem – odparł, uśmiechając się z lekką ironią. – Początkowo nie mogłem tego pojąć... Pamiętam przecie hrabiankę, jej dumę, nieprzystępność i fanatyzm sferowy jej ojca. Ale gdy usłyszałem, ile pan Mandelbaum dziedziczy milionów, zrozumiałem wszystko. Stało się dla mnie jasne, że zagrożona biedą ta harda osóbką gotowa jest sprzedać swoje wdzięki temu, kto najlepiej zapłaci i niewiele się w tym różni od zwykłej...

–Nie kończ! – przerwała mu z ożywieniem. – Otóż chcę ci powiedzieć, że w ocenie Melanii pomyliłeś się głęboko! Jak zresztą niemal wszyscy. Ja sama początkowo źle ją osądzałam. Kiedy jednak ujrzałam ich oboje razem, kiedy

zobaczyłam jak bardzo jest szczęśliwa, nabrałam pewności, że tutaj mogło wchodzić w grę jedynie prawdziwe uczucie. Zwróć uwagę, że niemal cała arystokracja starszej daty odwróciła się od niej. Ze musiała walczyć o swoją godność i prawo do miłości jak niegdyś Stefcia Rudecka... Jej własny kuzyn, książe Olo, co prawda zawiedziony w uczuciach, krytykował ją bardzo surowo, dopóki nie osadził go Waldy... To jest ordynat Michorowski... Na szczęście czasy się zmieniły – dodała pospiesznie oczywisty dość aforyzm, nie chcąc widocznie zatrać w rozmowie o przykry dla niej temat Waldemara.

–O tak, czasy się zmieniły – wtrącił jej brat. – Szkoda tylko, że nie wszyscy chcą przyjąć do wiadomości ten fakt. Czy to nie dziwne? – zastanowił się nagle. – Nam obojgu kontakty z rodem Michorowskich zdecydowanie nie wyszły na dobre, chociaż mimo ich woli... Ty zawiodłaś się w swoich uczuciach do ordynata, a ja przeżyłem rozczarowanie w związku ze Stefcia...

Zmarszczył z bolesnym skupieniem czoło. Wspomnienie niespełnionej miłości było dla niego widocznie nadal tragiczne. Chwilę trwało między rodzeństwem głuche milczenie. Rita najwyraźniej nie zamierzała podejmować tego wątku rozmowy.

–Przy tym pan Jakub Mandelbaum jest człowiekiem niezwykle inteligentnym, subtelnym i utalentowanym – powiedziała wreszcie, pragnąc jakby zapomnieć wyrzeczoną przed chwilą refleksję brata. – Przewyższa pod wieloma względami licznych mężczyzn z naszej sfery. Sądzę, że Melania dokonała właściwego wyboru i będzie z nim szczęśliwa. Z pewnością nie miałaś okazji widzieć obrazów Jakuba?

–Ach, oczywiście, przysłano mi zaproszenie na otwarcie wystawy – przypomniał sobie Szeliga. – Lecz jak zwykle nie miałem czasu... teraz ogromnie tego żałuję – dodał z prawdziwą skruchą.

–Ja również żałuję, że nie mogłeś przyjść. Poznałbyś wtedy najwspanialszą kobietę, jaką kiedykolwiek udało mi się spotkać w życiu, z wyjątkiem chyba jej imienniczki, Stefanii...

–Jak to?! – spytał zaskoczony Wilhelm, który mimowolnie zadrzał. – Ma

na imię Stefania?!

–Tak, i co najważniejsze, niezwykle do tamtej podobna – trzepała dalej, wyraźnie podniecona możliwością przekazania tych rewelacji bratu. – Niekiedy dzieją się takie cuda. Steffi wygląda po prostu jak wyglądałaby zapewne panna Rudecka, gdyby dane jej było dożyć pełni rozkwitu kobiecej urody... To doprawdy niezwykle!

–Dziwnie wymawiasz jej imię – zauważył. – Więc owa dama jest Niemką?

–Jej pochodzenie jest niemiecko-włoskie, zdaje się... Występuje obecnie pod panińskim nazwiskiem, jako baronessa de Mildi, chociaż jest wdową...

–De Mildi! Słyszałem już gdzieś to nazwisko... -Jest wdową po legionście, niejakim Alfredzie Rozdolskim, który był w Łodzi jakimś dyrektorem u starego Mandelbauma. Poznali się zresztą, o ile wiem, w pałacu tego starego Żyda i zaraz w sobie zakochali. Czy to nie cudowna historia? – ciągnęła dalej, nie zwracając uwagi na słowa Szeligi. – Tak więc baronessa od wielu lat mieszka w naszym kraju i po polsku mówi wybornie... Trzeba dodać, że to właśnie ona matkowała narodzinom miłości Sary Mandelbaumowny do Brochwicza, a potem Melanii i Jakuba. Można z czystym sumieniem stwierdzić, że obie pary swoje połączenie się właśnie jej staraniom i dobrym radom wiele zawdzięczają. Och, to naprawdę genialna osoba!

–To. co o niej opowiadasz, jest rzeczywiście bardzo ciekawe – rzekł zaintrygowany. – Chętnie poznałbym tę panią... Czy mogłabyś to jakoś urządzić?

–Niestety – zmartwiła się nagle. – Steffi dość niespodziewanie opuściła Warszawę i wyjechała, podobno do Lwowa, w jakichś sprawach rodzinnych. Kolejny tajemniczy wyjazd, którego wszakże przyczyny mogą być całkiem prozaiczne. O ile wiem, miała jednak szczerzy zamiar wziąć udział w rajdzie automobilowym, który odbędzie się za parę tygodni. Cóż bardziej naturalnego, jeśli wystąpisz na bankiecie otwierającym rajd? Wtedy będzie dobra okazja.

–Tak, to niezły pomysł – potwierdził. – Szkoda jednak, że nie mogę zobaczyć jej już teraz...

–Ależ możesz! – zawołała ze śmiechem. – Mam przypadkowo przy sobie jej fotografię! Kazałam się zdjąć razem z nią, chociaż się bardzo wzbraniała.

Sięgnęła do torebki i wydobyła niewielki kartonik, który wręczyła bratu.

–Oto ona...

Wilhelm Szeliga spojrział na fotografię i zadrzał po raz wtóry. Był widocznie wstrząśnięty.

–Ależ to niemożliwe! – zawołał, nie panując nad emocjami. – Podobieństwo, zaiste ludzace! To przecież żywy portret nieboszczki Rudeckiej! To chyba cud!

–Niesamowite, prawda? – przyznała jego siostra. – Waldy, gdy ją spotkał w „Zachęcie”, ponoć też przeżył szok, z którego nie otrząsnął się dotąd. Nie wrócił do Głębowicz, a tylko wynajął apartament na Marszałkowskiej, w którym się zaszył jak w swoim rodowym zamku... Zdaje się, że nie miał dotychczas odwagi ponownie ujrzeć baronessy, tylko codziennie posyłał jej kwiaty. Kiedy zaś wreszcie zdecydował się, ona gwałtownie wyjechała...

–Nieprawdopodobne! – wołał dalej Szeliga, nie słuchając Rity. – Myślałem, że takie rzeczy dzieją się tylko w powieściach i filmach!

Tknięty nagłą myślą, zerwał się i pobiegł do gabinetu. Przypomnił sobie, że w najtajniejszej szufladzie biurka przechowywał fotografię Stefci Rudeckiej z lat dawnych, zrobioną na wystawie krajowej. Kiedy znalazł się w miejscu cowieczornej pracy, przypomniał sobie o Szczerbcu. „Dlaczego ten smarkacz jeszcze nie zatelefonował? – przemknęła mu przez głowę niepokojąca myśl.–Już dawno powinien był dotrzeć do sztabu...”

Otworzył w tylnej ścianie mebla jakąś zapadkę i wydobył swój skarb, schowany tam na całe lata. Położył dwie fotografie obok siebie. Z jednej uśmiechała się Stefcia wiośniano dziewczęca, z drugiej płomiennie kobieca... Ale mimo wszystko to była ona!

–Jak można wątpić! – zawołał w jakimś obłądnym pomieszczeniu. – Przecież to Stefcia! Więc wcale nie umarła! Żyje... chociaż to zupełnie niemożliwe!!!

Nie miał czasu zastanawiać się nad tą zagadką, albowiem w tym samym

momencie zgasło światło w całej willi. Z salonu usłyszał okrzyk przestraszonej Rity. Minister zaklął, zirytowany niespodziewaną awarią. Po omacku zaczął szukać na biurku zapalek, co nie było łatwe w panującym tam bałaganie. Miał przy tym wrażenie, że obie, tak ważne przecież, fotografie spadły przy tym na podłogę, co jeszcze powiększyło jego zdenerwowanie.

–Czy wszystko w porządku, Rito? – zawołał w kierunku salonu.

–Ależ oczywiście, mój drogi – dobiegł jej głos z ciemności. – Zdaje się, że rozlałam trochę kawy na dywan... Z dołu słychać jakieś dziwne hałasy... Boję się trochę.

–To zapewne służba – starał się uspokoić siostrę. – Szukają świec...

Na wszelki jednak wypadek wydobyl z biurka rewolwer i tak uzbrojony, ze znalezionym tymczasem pudłem zapalek w drugiej ręce wkroczył do salonu, zawadzając po drodze dość boleśnie kolaniem jakąś komódkę. Dotarł nie bez trudności do kominka i zapaliwszy zapalną odzukał świecznik, zazwyczaj służący jego żonie jako ozdoba spirytystycznych seansów. Znajdowały się w nim tylko dwie, do połowy dopalone świece, które jednak w pewnym stopniu rozjaśniały mrok, lepiej niż to mogła uczynić księżycowa poświata czy też blask latarń z ulicy. Płomyki świec zapłonęły w rozszerzonych lękami oczach Rity. Wilhelm postanowił szybko zapanować nad sytuacją. Z przyzwyczajenia sięgnął do dzwonka na służbę zapominając, że w tej chwili nie może funkcjonować. Zreflektowawszy się po chwili, zawołał donośnym głosem:

–Maciej, Kaśka! Panie Kruczek! Co się z wami dzieje?! Odezwijcie się! Niech ktoś natychmiast tutaj przyjdzie!

Z dołu odpowiedziało zupełnie milczenie, chociaż nie umilkły tajemnicze hałasy. Do świadomości ministra zaczęło powoli docierać, że sytuacja jest może poważniejsza niż sądził na początku. Zwłaszcza milczenie Kruczka było wielce zagadkowe. Pan ów był bowiem etatowym pracownikiem Drugiego Oddziału i należał do osobistej ochrony Szeligi, a przesiadywał zazwyczaj w służbówce.

–Do licha – syknął Wilhelm – tam coś się dzieje... Trzeba wezwać pomoc...

Odwrócił się w kierunku siostry. Ta, szybko pojąwszy jego myśl, chwyciła za telefon. Chwilę nasłuchiwała, potem kilkakrotnie nerwowo nacisnęła widelki, wreszcie upuściła słuchawkę i popatrzyła na brata z przerażeniem.

–Telefon nie działa... – jęknęła. – Boże mój, co to będzie?!

Załamano rękę. Minister postanowił sam zbadać sytuację i chwytając jedną ze świec ruszył w kierunku drzwi prowadzących na schody. Rita zerwała się z kanapy i uczepliwszy się ramienia Wilhelma, przywarła doń po chwili drżącym ciałem.

–Błagam cię, nie idź – wybełkotała z najwyższym strachem. – Tam się dzieje coś złego... Proszę cię, nie zostawiaj mnie samej!...

–Ależ Rito... – zaczął, lecz nie dokończył, gdyż w owej- chwili dały się słyszeć ciężkie kroki wchodzących po schodach mężczyzn. Rodzeństwo trwało w niemym, osłupiałym oczekiwaniu. Rita przypominała sobie, że tak samo stali kiedyś pośrodku salonu w rodzicielskim domu, gdy jako dzieci wystraszyli się nocnej burzy.

Kroki zatrzymały się przed wejściem. Ktoś nacisnął klamkę, a kiedy ta nie ustąpiła, warknął cichym przekleństwem. Minister odetchnął z ulgą. Uświadomił sobie, że sam zamknął przed godziną te drzwi, nie chcąc, aby ktokolwiek ze służby przeszkadzał im w rozmowie. Zwłaszcza stary Maciej, ogromnie do swego państwa przywiązany, lecz nieco już sklerotyczny, miał naganny zwyczaj wchodzić bez uprzedzenia. Z dreszczem lęku pomyślał jednocześnie Wilhelm o osobnym wejściu do gabinetu, którego nie zamknął po wyjściu Szczerbca... Co będzie, jeśli „tamci” odkryją, że droga wolna? Na powrót do gabinetu i zamykanie drzwi nie było już przecież czasu...

–Kto tam?! – zapytał głośno Szeliga, możliwie opanowanym głosem. Przez moment trwało milczenie, wreszcie z tamtej strony odezwał się chrapliwy głos, mówiący z jakimś obcym akcentem:

–Otwórzcie, albo wywalimy drzwi!

–Jeśli nie odejdziecie stąd, strzelam! – zakrzyknął dzielnie minister.

Rita zatrzęsała się jak wiosenna leszczyna, zwłaszcza gdy odpowiedzią na

słowa jej brata były gromkie, ordynarne śmiechy.

–A strzelaj pan... My też mamy spluwy nie od parady... Che, che!

Równocześnie rozległo się chrobotanie w zamku. „Próbują przypasować klucze zabrane ze służbówki” -błysnęło w głowie Wilhelma. Bez namysłu wypalił z rewolweru, dbając wszelako o to, by przypadkiem nie przestrzelić zamka i nie ułatwić tym samym bandytom zadania.

Rodzeństwo usłyszało jęk i szczęk repetowanej broni.

–Na podłogę! – syknął Szeliga.

Ledwie zdążyli paść na dywan gdy rozległ się straszny huk wystrzałów i na ich głowy posypały się drzazgi oraz tynk ze ścian, uderzonych rykoszetem... Jedna z kul ugodziła w lustro, które rozpadło się z trzaskiem i brzękiem. Sytuacja była, zaiste, groźna. Jedynym szczęściem w niej było to, że w ferworze palby rozwścieczonym napastnikom nie udało się uszkodzić zamka, który pozostał nienaruszony. Zaczęli więc ze złością łomotać i napierać na solidne, dębowe odrzwia, które trzymały się mocno. Zachodziła jednak obawa, że długo nie wytrzymają.

–Ritko – szepnął Wilhelm – nic mi tu nie pomożesz, a gdybym zginął, znalazłabyś się w wielkim niebezpieczeństwie... Słuchaj uważnie. Biegnij czym prędzej na balkon i spróbuj zejść po sznurowej drabinie do ogrodu. Dzieciaki bawiły się w Indian i zostawiły... – dodał wyjaśniająco. – Z ogrodu dostaniesz się na ulicę, a stamtąd natychmiast wezwij policję... Pewnie słyszano strzały, ale nie wiemy, czy ktoś odważył się zrobić alarm. Biegnij! – zawołał rozkazująco. – Teraz!

Rita chciała protestować, mówić, że go tak przecież nie zostawi, ale wzrok brata zamknął jej usta. Czym prędzej wybiegła na balkon i odszukała drabinkę. Zrzuciwszy pantofelki na ziemię, zaczęła się spuszczać w dół. Nie było to łatwe ani przyjemne. Prawie na pewno poleciało jej przy tym oczko w pończoszcze. Z pierwszego piętra willi usłyszała jeszcze łoskot pękających zapewne drzwi, dwa strzały oddane chyba przez jej brata. Gdy znalazła się na ulicy, całkowicie pustej o tej porze, z prawdziwą ulgą spostrzegła nadbiegającego policjanta. Ten

przystanął, zdumiały, widząc elegancką kobietę z potarganym włosiem i w podartych pończochach.

–Co paniusia uważa? – zapytał podejrzliwie.

Rita gwałtownym gestem wskazała na willę brata i zdołała wyjąkać w pomieszczeniu:

–Tam... napad!!! Mój brat, minister Szeliga... pomóżcie!

Posterunkowy, nie czekając na dalsze wyjaśnienia podniósł do ust gwizdek i wydobył zeń świdrujący dźwięk. Odpowiedziały mu gwizdki z innych ulic. Wtedy funkcjonariusz zawołał:

–Niech paniusia biegnie do apteki i telefonuje po pomoc! My ruszamy do akcji!

Nie czekając na jej odpowiedź popędził w kierunku willi, odpinając po drodze kaburę rewolweru. Rita usłyszała też tupot podkutych butów z różnych stron. Teraz należało znaleźć telefon. W tym momencie rozejrzała się bezradnie. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się owa apteka, o której mówił posterunkowy. Ruszyła w kierunku najbliższego rogu ulicy i nagle spłynęło na nią olśnienie. Przecież tutaj niedaleko mieszka Paweł Ostalski! On z pewnością będzie potrafił jej pomóc.

Pobiegła ile sił w nogach. Dotarła wreszcie do znanej sobie bramy, dysząc ciężko ze zmęczenia. Zaczęła łomotać gwałtownie, aż obudziła wreszcie stróża, który nie był tym zachwycony, ale na szczęście rozpoznał ją szybko, często bowiem oplacała jego dyskrecję sutymi napiwkami. Widząc jej stan zmierzyl ją wszelako zdumionym spojrzeniem.

–Księżę w domu?! – spytała szybko, uprzedzając tym jego pytanie.

–A w domu, w domu – potwierdził skwapliwie. – Ale zdaje się, tera ma gości. Nie kazał nikogo wpuszczać...

Nie słuchając go dłużej, zaczęła wbiegać po schodach. Z pierwszego piętra dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi. Ktoś zaczął schodzić w dół.

„Chwała Bogu! – pomyślała. – Jednak będzie sam... Mam nadzieję, że nie odwiedza go inna kobieta?" – zakłóło jej serce niepokojem. Lecz właśnie zza

zakrętu schodów wyłonili się dwaj panowie o wyglądzie prawników, lub może urzędników pocztowych. Jeden z nich dźwigał aparat fotograficzny na statywie. Rita usłyszała zdanie wypowiedziane po niemiecku:

–Dobra robota, numer się zgadza...

Spostrzegłszy ją dwaj mężczyźni przeszli szybko na jakiś kompletnie niezrozumiały język. Znacznie później, po głębokim zastanowieniu się, Rita doszła do przekonania, że mógł to być język lotewski.

Znalazłszy się przed drzwiami apartamentu Pawelka stwierdziła, że jego dziwni goście nie domknęli za sobą drzwi. Tym lepiej. Zrobi ukochanemu niespodziankę. Starając się stąpać jak najciszej, weszła do przedpokoju, a potem do salonu.

Jakież było jej zdziwienie, kiedy ujrzała, że księżę Paweł bynajmniej nie jest sam. Stał przed nim, odwrócony tyłem do drzwi, młody, sądząc z sylwetki, mężczyzna o kruczoczarnych włosach. Ostalski mówił właśnie do niego po francusku: –Wkrótce otrzymasz nagrodę...

Przerwał w pół zdania, spostrzegł bowiem Ritę. Na jego twarzy odbiło się kompletne zaskoczenie, chociaż usiłował je pohamować. Wskazał swojemu towarzyszowi oczami nowego gościa, ten odwrócił się powoli.

Mężczyzną tym był... Aleksander Szczerbiec!

VIII

Gdyby przed księciem stało w tej chwili widmo któregoś z jego przodków, nie mogłoby się w oczach jego pojawić większe zdumienie i przerażenie, niż kiedy ujrzał Ritę Trestkową wkraczającą do salonu. Stał zmartwiał, jak przysłowiowy słup soli. W dłoniach ścisnął dużą, zalakowaną kopertę, tę samą, którą wręczył mu godzinę temu minister Szeliga, czego akurat hrabina wiedzieć nie mogła. Gdyby miała też chwilę na skupienie uwagi, zauważyłaby także z pewnością świeżo użytą laseczkę laku oraz imitację ministerialnej pieczęci, leżące na biurku księcia Pawła. Wszystko działo się jednak zbyt szybko, a biedna kobieta zbyt była roztrzęsiona, aby zwracać uwagę na podobne szczegóły. Ostalski pierwszy zapanował nad sobą i zawołał pozornie najnaturalniej w świecie:

–Rito, kochanie! Co się stało?!

Podbiegła do niego, wymijając wciąż stojącego nieruchomo Aleksandra i wtuliła się weń, jakby szukając pomocy i opieki.

–Mój brat, Wilhelm, w niebezpieczeństwie... Napadli nas bandyci! Przybiegłam po pomoc... Błagam cię, zrób coś! On może już nie żyje!!!

Zaniosła się gwałtownym szlochem. Paweł objął ją mocno. Porozumiał się wzrokiem ze Szczerbcem i syknął do niego ostro:

–Czego stoisz?! Jedź tam, dokąd miałeś jechać!...

–A pan co właściwie tu robi? – spytała Rita nieco przytomniejąc.

–Ja... – zająknął się książę Aleksander – ja wpadłem tu tylko na chwilę...

Przy ostatnim słowie wybiegł z garsoniery, jakby był ścigany. Paweł starał się nadal wpłynąć uspokajająco na Ritę.

–Powiadasz, że na dom twojego brata był napad? – zapytał, siląc się na spokój.

–Och, nie czas teraz na rozmowy! – krzyknęła rozgorączkowana. –

Biegnijmy tam! Proszę cię, weź rewolwer...

–Ależ oczywiście, natychmiast – zreflektował się szybko.

Podszedł do biurka i jedną ręką zgarniając do szuflady kompromitujące utensylia, co tym razem nie uszło uwagi Rity, drugą jednocześnie wydobyl swój wytworny, wykładany masą perłową browning.

–Rozumiem, że willa ministra Szeligi jest gdzieś niedaleko? – rzeczowo zadał pytanie z błakającym się w kącikach ust beczelnym uśmiezkiem.

–Tak, bardzo blisko – dyszała kobieta. – Chodźmy prędzej...

Niemal ciągnąc go za rękaw bonżurki wybiegła na klatkę schodową. Szybkim pędem pokonali schody, budząc zrozumiałe zdziwienie i przestrasz stróża. Musieli dziwacznie wyglądać, kiedy przemierzali co tchu ulicę -kobieta w eleganckim kostiumie, lecz z widomymi uszczupleniami nienaganności stroju i mężczyzna w domowym ubraniu z rewolwerem w dłoni.

–Proszę cię, abys nie mówiła swojemu bratu ani w ogóle nikomu o bytności u mnie Szczerbca. Biedak rzeczywiście wpadł do mnie tylko na chwilę zasięgnąć rady w sprawie dawnej kochanki, która szantażuje go jakimiś listami i żąda powrotu – tłumaczył kobiecie po drodze Ostalski. – Poradziłem mu, aby zezwolił tamtej flampie opublikować owe listy i posłał ją do wszystkich diabłów! To jednak moja wina, że przetrzymałem go u mnie tak długo... Teraz, gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, chłopak mógłby mieć poważne kłopoty. A chyba nie chcesz narazić na nie mojego najbliższego przyjaciela? – zawiesił głos znacząco.

–Ach, oczywiście, nie... – odparła w roztargnieniu. – Co prawda zaniedbał swoje obowiązki, ale jakież to ma znaczenie w obecnej sytuacji?

–No, jaka jest sytuacja, tego jeszcze właściwie nie wiemy -skonstatował trzeźwo Ostalski.

Jego spokój, zdecydowanie i pewność siebie zaczęły powoli udzielać się Rocie. Uczuła wielką wdzięczność dla tego człowieka, który tak odważnie, na jedno jej wezwanie, pospieszył jej z pomocą, a za chwilę być może będzie nawet narażał swoje życie. W jego towarzystwie nabierała zawsze ufności we własne

siły. Swoją drogą sama nie spodziewała się po sobie, że będzie zdolna schodzić nocą po sznurowej drabince pod gradem kul... Nadawałaby się z taką umiejętnością na bohaterkę sensacyjnego romansu. Te przyjemne rozważania na własny temat przyćmiewał jedynie lęk o brata.

Kiedy dotarli do willi Szeligi, okazało się, że wszelka pomoc jest już zbyt późna. Przed bramą wjazdową stało kilka karet policyjnych i pogotowie ratunkowe. Wszędzie kręciło się wielu policjantów, mundurowych i po cywilnemu. Nie zatrzymywani przez nikogo, Rita i Paweł, których schował tymczasem swój browning do kieszeni bonżurki, weszli do obszernego hallu na parterze.

U podnóża schodów, na pierwszym stopniu, siedział niepozorny, łysawy człowieczek, który trąc spoconą łysinkę dłońmi, powtarzał bez przerwy tonem najwyższej rozpaczki:

–Jak mogłem tak się dać podejść? Jak mogłem?!...

Człowiekiem tym był pan Kruczek, agent Drugiego Oddziału. W pobliskiej służbówce, przez półotwarte drzwi można było dostrzec płaczącą pokojówkę Kasię, której doktor aplikował jakieś środki uspokajające i starego Macieja, który głosem poważnym udzielał zeznań dwóm słuchającym go uważnie funkcjonariuszom. Opowiadał:

–No więc, jakeśmy posłyszeli w ćmoku, że pan Kruczek jęczy, tośmy go biegli ratować... Zanimemy służbówki dopadli, jęki ustali. To wbiegamy tutaj... A pan Kruczek leży na ziemi z jakimś tamponem na twarzy... O, panie, to fachowcy byli! Najpierwej psa kielbasą otruli... Więc oni zaraz do nas! W oczy nam świecą latarkami, podtykają nam lufy rewolwerów pod nos... Kasia mało nie zemdląła. To i nas związali, a potem na górę poszli. I tyle wiem. Tyle, że strzały słyszałem.

–Ilu ich było? – pytał przesłuchujący.

–Czy ja wiem... – zastanawiał się sługa. – Trzech, albo czterech... Tak, pewnikiem czterech, bo jeden to tylko stał i wydawał rozkazy... Jakby mówił nie z polska...

–Czy rozpoznalibyście któregoś?

–A gdzie tam, panie. Ciemno było i po oczach ciągle świecili. Chyba też mieli jakieś maski na gębach. Za Boga bym nie rozpoznał.

–Wspomnieliście, że jeden mówił z cudzoziemską? – zainteresował się funkcjonariusz. – Jaki to mógł być akcent? Może rosyjski?

–Nie, ruski chyba nie... Niemiecki raczej.

–Przepraszam państwa. Wolno spytać kim państwo są i co tutaj robią?

Rita i Paweł usłyszeli za sobą głęboki w tonie, przyjemnie brzmiący głos. Jak na komendę odwrócili się w kierunku skąd dochodził. Właśnie schodził po schodach jegomość w nieposzlakowanym tużurku, o twarzy i oczach gończego wyżła. Największe wrażenie robił starannie przystrzyżony, doskonale utrzymany wąsik. Przyglądał się naszej parze z przenikliwą ciekawością.

–Jestem siostrą ministra... – odpowiedziała Rita. – Margerita Trestkowa. A to mój przyjaciel, książę Paweł Ostalski. Sprowadziłam go tutaj na pomoc, jak widzę, już niepotrzebną. Co z Wilhelmem?

–Och, proszę być zupełnie spokojną, jego zdrowiu nic nie zagraża. Tylko drobny uraz głowy. Właśnie jest u niego lekarz... Za chwilę będzie go pani mogła odwiedzić. Komisarz Różga jestem – przedstawił się szarmancko. – Czy byliście państwo oboje świadkami przestępstwa?

–Tylko ja – odparła już zupełnie spokojna. – Udało mi się uciec z willi podczas strzelaniny i schronić u księcia Pawła, który niezwykle rycersko pospieszył na ratunek...

–Jakież to wspaniałe, że są jeszcze tacy gentlemani -powiedział komisarz, uśmiechając się z trudną do wytłumaczenia ironią.

–Myślę, że jestem już zbędny – skostatował niespodziewanie Ostalski. – Pozwolisz, Rito, że wrócę teraz do domu.

–Czy nie sądzisz, że to dobra okazja, abyś poznał Wilhelma?-spytała nieśmiało.

–Wybacz, ale nie czuję się usposobiony po tylu gwałtownych wypadkach – mruknął z niechęcią. – Myślę, że i on nie byłby zachwycony... Pan komisarz nie

ma nic przeciwko temu, że się oddalę?

–Ależ oczywiście, że nie – odrzekł swobodnie Rózga. – Pani hrabina złoży nam, myślę, za chwilę, zeznania, ale rozumiem, że wolałaby teraz zobaczyć brata... Coś jest w tym napadzie bardzo dziwnego – powiedział jakby mimochodem. – Gdyby ci panowie mieli na uwadze rabunek, z pewnością nie robiliby przy tym tyle huku i szumu. Nie wygląda to także na porachunki polityczne, jako że robota była przygotowana z wyraźną znajomością rzeczy i terenu. Odnoszę raczej wrażenie, że ten napad miał po prostu odwrócić uwagę mieszkańców willi od czegoś znacznie ważniejszego... To na razie tylko mój osobisty pogląd -dodał wyjaśniająco.

–Ma pan zupełną słuszość, panie komisarzu – rozległ się głos ze szczytu schodów. – Ten napad był rzeczywiście dosyć nietypowy. Co prawda, nie miałem dotychczas okazji uczestniczyć w „typowych” napadach, jest to więc jedynie zdanie laika...

Na galerijce stał minister Wilhelm Szeliga, w szlafroku, z głową obwiązaną bandażem. W tej śnieżnobiałej czapeczce było mu nawet do twarzy. Mimo niewątpliwego szoku, jaki przeżył, zdawał się być w dobrym nastroju, a może tylko nadrabiał miną.

–Braciszku! – zawołała Rita, biegnąc ku niemu. – Tyś ranny?!

–Och, głupstwo... – machnął ręką Szeliga. – Dostałem od napastników lekko po głowie. Najwidoczniej nie zamierzali mnie zamordować. Czego jednak chcieli, tego nie mogę pojąć...

–Bogu dzięki! – wołała jego siostra, ściskając go i całując. – Bogu dzięki, żeś cały i zdrowy!

–Ale teraz możesz udusić mnie w swoich objęciach -zaśmiał się. – Jeszcze trochę kręci mi się w głowie... – dodał usprawiedliwiająco. – Któż to przyszedł z tobą? – spytał, mierzając zaciekawionym spojrzeniem Ostalskiego

- Przyjaciel mój i Aleksandra Szczerbca... księżę Paweł Ostalski – przedstawiła Rita młodzieńca, który rad nierad musiał teraz pozostać. – Niezwykle szlachetnie i odważnie pospieszył ci na ratunek, wezwany przeze

mnie... Jestem mu niezmiernie wdzięczna za okazaną pomoc.

–Jestem również zobowiązany za opiekę nad moją siostrą – skłonił się z atencją minister. – Proszę was oboje do salonu, z góry uprzedzam tylko, że straszny bałagan. Pan komisarz Różga nie pozwolił niczego sprzątać na razie. Później przyślę panu siostrę, komisarzu – skinął w kierunku policjanta.

–Jak pan minister uważa – odpowiedział układnie Różga.

Weszli do salonu, który istotnie wyglądał jakby przeszedł przezeń orkan. Drzwi były wylamane, na podłodze wały się okruchy lustra, kawałki tynku i skorupy serwisu do kawy, przebiegając bowiem przez pokój bandyci wywrócili stolik. Przez pół pokoju, od schodów aż do drzwi balkonowych, biegła strużka krwawych śladów. Najwidoczniej jeden z napastników został trafiony. Rita, widząc ten obraz zniszczenia, zadrżała.

–Uszkodzili instalację elektryczną i telefoniczną, otruli psa, sterroryzowali służbę, a potem przybyli tutaj – opowiadał Wilhelm. – Kiedy wdarli się do salonu, przebiegli przezeń jak burza, ogłuszając mnie ciosem, chyba kastetu lub kolby rewolweru, po drodze. Co więcej tutaj czynili, tego nie umiem stwierdzić. Zbyt długo tu zabawić nie mogli, gdyż policja przybyła dość szybko. Uciekli chyba tą samą drogą co ty, Ritko... Któż zresztą rozpoczyna napad od tak wścieklej, rewolwerowej palby, którą słyhać pewnie było w całej okolicy? – zastanawiał się głośno. – Czy nie mam racji, panie Ostalski?

–Istotnie – odparł z niechęcią książę. – Zrobili wszystko, aby zwrócić na siebie uwagę... Zapewne amatorzy.

–Ale z drugiej strony, te staranne przygotowania? Coś się w tym wszystkim nie zgadza. No, ale to już ostatecznie sprawa policji. Trzeba przyznać, że zadbali o szybkie naprawienie instalacji... telefonowałem już do sztabu – zwrócił się do Rity. – Ten biedak, Szczerbiec, nie mógł się tutaj dodzwonić i był bardzo zdenerwowany. Teraz już wszystko w porządku.

W chwili kiedy padło nazwisko księcia Aleksandra, Paweł ścisnął wymownie łokieć Rity, w sposób niezauważalny dla ministra. Kobieta odpowiedziała mu nieznacznym skinieniem głowy.

–Siadajcie, fotele na szczęście ocalały – zaprosił ich Szeliga żartobliwym tonem.

–Więc nic nie zginęło? – spytała Rita ze zdziwieniem.

–Absolutnie nic – potwierdził. – Mimo, że w gabinecie miałem pieniądze i ważne papiery państwowe... Może wpadli w panikę? Któż to może wiedzieć... Któż bowiem poznał dobrze psychologię zbira. Ale dajmy już pokój nieprzyjemnym sprawom – urwał niespodziewanie własne rozważania. – Pan przebywał jako dziecko za granicą, prawda? – zwrócił się do księcia.

–Owszem, tak... Spędziłem dzieciństwo i wczesną młodość w księstwie Monaco – odpowiedział pewnym siebie tonem młodzieniec.

–Zazdroszczę panu – uśmiechnął się minister. – Piękne kobiety, bogaci przyjaciele, wytworne salony... to się nazywa creme de creme życia! Moja młodość była zupełnie inna, wypełniona walką i cierpieniem oraz ciężką pracą...

–To właśnie przynosi panu ministrowi zaszczyt –odparł Ostalski z akcentem.

–No cóż, widocznie ludzie dzielą się podobnie jak owady: na motyle, pszczoły, trutnie i mrówki.

–Chyba nie uważasz księcia Pawła za trutnia? – odezwała się Rita, śmiejąc się przy tym nerwowo.

–Ależ broń Boże – zaprzeczył szybko. – Wy oboje należycie oczywiście do gatunku motyli. Zresztą wszystkie owady mają swoją rolę w naturze. Pewien wyższy oficer przekonywał mnie kiedyś, że w rzeczywistości rządzą ulem trutnie, które mówią królowej matce i robotnicom, co mają robić i uczą je wszystkiego.

–Osobliwa teoria! – zakrzyknęła jego siostra.

–Być może nie pozbawiona słuszności – dodał książę Ostalski.

–Rozumiem, że rodzina pańska nadal przebywa w Monte Carlo? – zadał zniechęcające pytanie Szeliga. – Czy również wybierają się odwiedzić ojczyznę?

–O, nie... – odparł tamten z widocznym zmieszaniem. – Moi rodzice umarli, a dalsza rodzina pozbawiona jest uczuć narodowych. Przebywają

obecnie w Argentynie.

–Ach tak, w Argentynie...

Wilhelm pokiwał głową i zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiając. Naraz plasnął się w czoło, przy czym skrzywił się z bólu.

–Byłbym zapomniał...

Poderwał się z kanapy, zupełnie tak samo jak przed napadem i wybiegł do gabinetu. Dłuższą chwilę słychać było szelest papierów i inne tajemnicze odgłosy. Najwyraźniej Wilhelm szukał czegoś. Rita i książę Paweł, siedzący zresztą jak na rozżarzonych węglach, spoglądali na siebie zdumieni. Wreszcie z gabinetu dobiegło radosne:

–Mam!...

Minister Szeliga wrócił do salonu trzymając w dłoni dwie fotografie. Położył je przed siostrą.

–Spójrz – powiedział. – Czy rzeczywiście to podobieństwo jest przypadkowe? Zbyt mocno stoję nogami na ziemi, aby uwierzyć w takie cuda. Ta kobieta jest Stefanią, choć jednocześnie wiem, że to zupełnie niemożliwe. Muszę ją poznać! Jeśli trzeba, zrobię sobie kilka dni wolnych i pojedę do Lwowa. Nie spocznę, póki nie wyjaśnię tej zagadki.

–Więc sądzisz?... – zapytała, niepewna czy dobrze pojęła słowa brata.

–Że ta kobieta więcej ma wspólnego ze zmarłą panną Rudecką niż to się śniło naszym filozofom i więcej niż wszyscy przypuszczacie – wyjaśnił uroczystym tonem. – Pojadę do niej i niech się dzieje co chce!

IX

W biurze Miejskiej Pracowni Ulepszeń panowała cisza, pełna napięcia i skupienia, przerywana jedynie gwałtownymi westchnieniami. Wszyscy pracownicy -młodzi absolwenci studiów architektonicznych i politechnicznych, księgowi i stenotypistki – zgromadzili się w skromnym, ciasnym gabinecie szefa pracowni, inżyniera Jerzego Rudeckiego. W niemym oczekiwaniu wsłuchiwali się w toczoną przez niego rozmowę telefoniczną, łowiąc nie tylko wypowiedane przez niego słowa, ale również każdy dźwięk wydobywający się ze słuchawki.

–Więc naprawdę nie można zrobić nic więcej, panie prezydencie? Może by tak dobrowolna składka Wśród obywateli miasta?... Pan nie wierzy w jej powodzenie? To znaczy, że zdaniem pana prezydenta lwowianom nie zależy na upiększeniu swojego miasta ani ukochanego parku?... Rozumiem, że panuje drożyzna, ale dla dobra ogółu... Moi ludzie pracowali nad tym projektem całymi nocami... Panie prezydencie, nie chodzi nam wcale o gratyfikację, tylko o urzeczywistnienie projektu... Tak?! I jakież to pilniejsze potrzeby?! Nie jestem zdenerwowany, raczej rozczarowany... Warszawa też nie chce nam pomóc?... Rozumiem. Dziękuję za słowa otuchy, panie prezydencie – zakończył z zimną ironią.

Cisnął z rozmachem słuchawkę na widelki i powiódł po zebranych wzrokiem, który mówił im wszystko. Tylko obecność kobiet powstrzymywała go, aby nie wybuchnąć potokiem przekleństw. Nalał sobie szklankę wody z karafki i wychylił duszkiem. Gorączce jego uczuć towarzyszył panujący za oknami duszny, nieznośny upał. To także, z całą pewnością, nie mogło poprawić samopoczucia inżyniera ani nikogo z obecnych.

–No i koniec wszystkiemu – oświadczył wreszcie po długiej chwili milczenia. – Tyle pracowitych dni i nieprzespanych nocy... Stalowe kolumny, kryształowe szyby, fontanny, kaskady... – mówił dalej z goryczą. – Wszystko pozostanie na papierze. Prezydent miasta Mohylewicz oświadczył mi właśnie, że

nie ma pieniędzy na budowę, a rada miejska nie ma odwagi podjąć się namawiania mieszczan, aby się dobrowolnie opodatkowali na ten cel. Muszę więc z przykrością... nie, nie z przykrością, ale z prawdziwą wściekłością!... zakomunikować państwu, że nic z naszych wspaniałych planów! Kiedy obejmowałem tę placówkę, nie przeszło mi nawet przez myśl, aby kiedykolwiek sytuacja podobna mogła zaistnieć. Świadczy to, najprawdopodobniej, o mojej naiwności. Proszę teraz państwa, by zechcieli się rozejść do swoich obowiązków... choć nie wiem jeszcze, jak długo będziecie je wykonywać.

–Panie inżynierze – rzekł nieśmiało jeden z najbliższych współpracowników – to z pewnością tylko przejściowe trudności.

–Oby – pokiwał głową Rudecki. – Przypominam, że jesteśmy zależni w całości od funduszy miejskich, a zatem również od dobrej lub czasem złej woli szanownych rajców. Ja, zlecone mi prace, przy pomocy was wszystkich wykonałem najlepiej jak potrafiłem. Skoro się jednak uważa, że nie jesteśmy miastu potrzebni...

–Ale proszę nie tragizować – odezwał się inny pracownik, nieco starszy wiekiem. – Przemawia przez pana inżyniera żal, zupełnie zrozumiałe rozgoryczenie. Wszystko może się jeszcze ułożyć. Z każdej, nawet najgorszej sytuacji znajdzie się zawsze jakieś wyjście...

–Mam nadzieję – odparł inżynier – ale chwilowo go nie widzę. – Dlatego też, proszę państwa, zostawcie mnie samego. Muszę sobie to wszystko gruntownie przemyśleć.

Wszyscy opuszczali powoli gabinet, w większości z nosami pospuszczanymi na kwintę, zerkając na odchodnym na szefa z lękiem przemieszanym z nadzieją. Nie przypominał w tej chwili tego młodego mężczyzny, pełnego zapału i wspaniałych idei oraz pomysłów, który zakładał tę pionierską placówkę. Rzeczywiście, dzięki jego stanowczości i energii robota w Miejskiej Pracowni ruszyła pełną parą, w tempie iście amerykańskim. Wszystkim udzielał się radosny nastrój i optymizm szefa, jego płomienna wiara w postęp i nowoczesność. Ceniono również wielce jego fachową wiedzę. Odmowa

realizacji ostatniego projektu spadła na wszystkich jak przysłowiowy grom z jasnego nieba, toteż nikt nie dziwił się rozdrażnieniu inżyniera. Wszyscy uznali, że istotnie będzie lepiej uczynić zadość jego żądaniu i pozostawić go samego.

Inżynier Rudecki siedział dłuższą chwilę nieruchomo, tępo wpatrzony w okno, przez które mimo grubej zasłony, przebijały tu i ówdzie bystre promienie słońca. Obserwował potem w zamyśleniu zmienną grę świetlnych łat na przeciwległej ścianie. Powoli twarz mu się wypogadzała, chociaż koło ust pozostała gorzka zmarszczka. Dotychczas życie Jerzego było wypełnione sukcesami, tym trudniej więc było mu się pogodzić z poniesioną właśnie klęską. W czasie swojego krótkiego, bo zaledwie półrocznego pobytu we Lwowie uczynił dla tego miasta bardzo wiele, słusznie więc mógł poczuć się teraz niedoceniony. Zmienił bruki na kilku głównych ulicach, wygładził chodniki; unowocześnił latarnie, pozostawione przez Austriaków i wojenną zawieruchę w fatalnym stanie; przebudował też jeden z mostów na rzece Pełtwi. Chwalono go dotychczas i nagradzano, a teraz, kiedy opracował kosztem wielu wysiłków i zaniedbania życia rodzinnego naprawdę znakomity projekt upiększenia miasta, potraktowano go niczym kłopotliwego intruza. Rozważania te mogłyby się wydać komuś, być może, nieco małostkowe, lecz usprawiedliwiała z pewnością Rudeckiego głęboka troska o jego młodych podwładnych. Mógł bez przesady stwierdzić, że zebrał w tej pracowni kwiat młodej inteligencji technicznej, ludzi o głowach otwartych i nowatorskich pomysłach – gdyby więc powierzona mu placówka przestała istnieć, ich los byłby wielce niepewny, przynajmniej do czasu, aż znaleźliby, każdy zapewne z osobna, nową pracę. Jakże wielką szkodą byłoby zmarnować tak wielki kapitał intelektów! Inżynier postanowił więc odłożyć na bok osobiste ambicje i utrzymać instytucję tak długo, jak to tylko będzie możliwe. Byłoby zresztą dla niego niepowetowaną stratą rozstać się z ludźmi, którzy nie tylko byli wspaniałymi współpracownikami, ale których również zdążył bardzo polubić. „Oni są wielką nadzieją ojczyzny – myślał. – Odrzucili majaki i romantyczne miazmaty lat niewoli, wzięli się do konkretnej pracy. Pragną uczynić Polskę krajem nowoczesnym. To właśnie oni są solą

ziemi, a nie wrzaskliwi politycy czy kawiarniani plotkarze... Powinno się narzucić światu nową dyktaturę: dyktaturę fachowców!"

Zabrzączał drażniąco telefon. Mężczyzna, wytrącony ze swoich myśli jak ze snu, ospałym ruchem sięgnął po słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

–Słucham – spytał z niechęcią, lecz po chwili zmienił ton. – Ach, to ty, Tosiu... Wybacz, ale chyba spóźnię się na dzisiejszy obiad... Przykro mi, że czekacie, ale muszę jeszcze wydać kilka poleceń i dopilnować ich wykonania... Nie, w pracy wszystko w porządku. Jestem tylko trochę zmęczony. I jeszcze ten okropny upał... A jak czujesz się ty?... Marcinek?... To dobrze... Oczywiście, że pamiętam, o dzisiejszym teatrze. Będę w domu za jaką godzinę. Proszę, nie czekajcie na mnie z obiadem. Naprawdę nic mi nie jest... Całuję cię, kochanie.

W rzeczywistości nie miał już dzisiaj nic szczególnego do roboty, wiedział jednak, że bystra kobieta natychmiast zorientuje się, że coś go gryzie, a wówczas będzie zameczala go przez cały wieczór wypytywaniem o powód jego zwarzonego humoru i ponurej miny. Miał zaś zasadę, żeby nie mieszać spraw zawodowych z domowymi i jak dotychczas udawało mu się ją realizować. Postanowił zatem posiedzieć jeszcze w biurze, dopóki całkiem się nie uspokoi. Przypomniawszy sobie także ukrytą na czarnej godzinie w jednej z szafek butelkę koniaku... Wprawdzie nie pił nigdy zbyt wiele, lecz sytuacja obecna wręcz wymuszała podobne zachowanie...

Pukanie do drzwi omal nie sprawiło, że upuścił na podłogę pełny już kieliszek. Nie byłoby mu przyjemnie, gdyby któryś z podwładnych zastał go przy picciu „do lustra”, chociaż dzisiaj być może potraktowanoby ów fakt ze zrozumieniem. Czym prędzej schował naczynie ze złotawym płynem do tej samej szafki i zapytał głosem nie wróżącym niczego dobrego:

–Kto tam?! Mówiłem przecież, żeby mi nie przeszkadzano!

Skrzypnęły drzwi i do gabinetu zajrzała niepewnie wąsata twarz woźnego.

–Panie inżynierze, ja wiem, że panu przeszkadzam... – zaszemrał, struchlały – ale pewna dama pragnie koniecznie się z panem widzieć...

–Dama? Co za dama?! Nie znam żadnych dam -wzruszył ramionami

Rudecki.

Równocześnie zaś pomyślał: „Gdyby tak Tosia dowiedziała się, że przyjmuję w swoim biurze jakieś damy... miałbym za swoje!” Przypomniawszy sobie, jak to jego młoda, piekielnie zazdrosna małżonka, w początkach istnienia pracowni odwiedzała biuro pod różnymi pretekstami, by sprawdzić czy przypadkiem któraś ze stenotypistek nie jest „w jego typie”. Była to prawdziwa męczarnia, lecz na szczęście minęła. Uff! Inżynier otarł pot z czoła.

–Bardzo ładna dama – odpowiedział woźny, uśmiechając się znacząco. – I strasznie nalega, żeby się z panem zobaczyć! Dała mi ten bilecik...

Podał małą karteczkę na tacce. Był to bilet wizytowy z herbem i nazwiskiem zaczynającym się od dumnego „de”. Po drugiej stronie skreślono pospiesznie drobnym pismem kilka słów: „Proszę mnie łaskawie przyjąć. Mam do zakomunikowania Panu rzecz wielkiej wagi”. Podpisano te słowa inicjałem imienia – „S”. Rudecki spojrzawszy znowu na awers biletu i zadrżał. Ogarnął go niewytłumaczalny lęk... Dama pragnąca go odwiedzić, nosiła imię Stefania.

„Ki diabeł?! – myślał gorączkowo. – Co się ze mną dzieje? Ten upał sprowadza na człowieka dziwne przywidzenia. To zapewne jakaś rozkapryszona w beczynności arystokratka, która założyła się ze swoją przyjaciółką od buduarowych pogawędek, że uwiedzie popularnego we Lwowie inżyniera... Kryć się przed nią byłoby tchórzostwem, ale dam tej pani stosowną odprawę” – postanowił. Żgnęła go również ciekawość, rozogniona tak niespodziewaną w tym miejscu wizytą. Przyszedł zresztą po chwili do przekonania, że kobieta nosząca imię jego zmarłej przed laty siostry nie może być zupełnie złą.

–Panie Wincenty, proszę przyprowadzić tutaj tę panią za kilka minut – wydał polecenie. – Na razie jestem jeszcze zajęty.

–To samo mówiłem: „Pan inżynier zajęty!”, ale nie chciała słuchać – sumitował się woźny. – A co się naprosiłem urzędników, żeby odważyli się do pana zapukać... Żaden nie miał odwagi! Więc musiałem sam...

–Dobrze już, dobrze – mruknął zniecierpliwiony Rudecki. – Proszę zrobić tak, jak mówiłem.

Kiedy wreszcie przestał być obserwowany, czym prędzej powrócił do swego tajnego schowka i drobnymi lyczkami wypił ognisty płyn, rozlewający się żarem po całym ciele. Wyrównawszy tym sposobem temperaturę wnętrza z temperaturą otoczenia metodą białych podróżników w tropikach, poczuł się znacznie pewniej, a nawet poweselał. „W końcu nie mam się czego obawiać – pomyślał. – Jeśli ta dama postanowiła się zeskandalizować, potrafię chyba zachować się odpowiednio...”

–Wejść! – rzucił gromko, gdy rozległo się ponowne pukanie.

Ktoś niewidzialny uchylił drzwi przed szczupłą osóbką w jasnym, letnim kostiumie i czarnym, lakierowanym kapeluszu z gęstą woalką. Rudecki, który na jej widok poderwał się szybko zza biurka, mógł na pierwszy rzut oka stwierdzić, że poczciwy staruszek nie skłamał. Dama była istotnie bardzo elegancka, a czy piękna... o tym należało się dopiero przekonać!

–Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć, panie inżynierze – powiedziała głosem sympatycznym, głębokim.

–Ależ... cała przyjemność po mojej stronie! – zawołał żywo. – Proszę spocząć... Może kawy?

–O nie, dziękuję... Tak dzisiaj gorąco. Poproszę tylko o szklankę wody sodowej.

–Istotnie, gorąco...-odrzekł machinalnie. Napelniając szklankę bił się z myślami. Gdzieś już słyszał ten głos, znana mu była ta figura, te ruchy... Och, ileż by teraz dał za nagle olśnienie! Niestety, pamięć odmawiała mu posłuszeństwa. Kim jest ta kobieta?!

Usiadł naprzeciwko niej i usiłował przebić wzrokiem czarną sieć, skrywającą oblicze tajemniczej nieznajomej. Jedyne, czego mógł się w tej chwili dopatrzeć, to tylko tego, że choć nie pierwszej młodości, osóбка ta była z pewnością niebrzydka. Miał nadzieję, że pijąc wodę baronessa (taki tytuł widniał na bilecie) uchyli nieco woalki, lecz przeliczył się. Przeklęta zasłona była tak sprytnie pomyślana, że nie utrudniała bynajmniej podnoszenia szklanki do ust.

–I jakaż to ważna sprawa sprowadza panią do mnie? – spytał, próbując przybrać ton oficjalny.

–Sprawa, która dotyczy bardziej pana niż mnie-odpowiedziała. – Chciałabym panu dopomóc w pańskich obecnych trudnościach...

–Ależ ja nie mam żadnych trudności – przerwał jej szybko sądząc, że chodzi o jakąś towarzyską intrygę.

–Pozwoli pan – powiedziała szybko, wyczuwając chyba nieporozumienie – że od razu przejdę do rzeczy. Zaprojektował pan na otwarcie rajdu automobilowego Kryształowy Pawilon, który ozdobić miał Park Stryjski... nieprawdaż?

–Właściwie mówiąc Park Kilińskiego – zwrócił jej uwagę, jako człowiek konkretny, na aktualną nomenklaturę.

–Mniejsza o nazwy... Więc zaprojektował pan wspaniały pawilon, który miał posłużyć miastu nie tylko jako sezonowa atrakcja, ale również być miejscem spotkań i rekreacji przez wiele lat...

–Skąd pani wie o tym wszystkim? – zdumiał się.

Wydobyła z torebki plachtę popularnego lokalnego tygodnika „Życie Lwowa”. Inżynier Rudecki zobaczył na pierwszej stronie swój portret na tle makiety z tektury i szkła, obok zaś sążnisty artykuł w formie wywiadu, zatytułowany: Czy wystarczy funduszy na ósmy cud świata? Uprzytomnił sobie teraz, że istotnie udzielił przedwczoraj interwiewu, w którym zresztą dał wyraz miotającym nim – jak się okazało zupełnie słusznie – niepokojom. W natłoku pracy całkiem o tym zapomniał.

–Teraz rozumiem – stwierdził. – Wprawdzie czytuję gazety, ale zazwyczaj mam na to czas dopiero w niedzielę... Wówczas siadam przy patefonie i przeglądam zaległości z całego tygodnia. Dlaczego jednak interesuje panią sprawa Kryształowego Pawilonu? – spytał, coraz bardziej zaskoczony.

–Ponieważ pragnę, aby zrealizował pan swój projekt –odrzekła z mocą. – Chcę, aby ten pawilon stanął i zadziwił świat!

–Miło mi to słyszeć, ale muszę panią zmartwić... Właśnie dzisiaj

prezydent miasta oświadczył mi, że rada miejska nie zdoła zebrać odpowiednich sum na ten cel. Może zresztą istotnie nie byłby to wcale taki cud świata—dodał z goryczą. – Dziennikarze zawsze przesadzają...

–Widziałam projekty i jestem nimi zachwycona! – zawołała baronessa de Mildi. – Oto więc moja propozycja: pragnę sfinansować w połowie budowę pawilonu. Myślę, że w tej sytuacji rada miejska zmieni zdanie... Co pan na to?

Inżynier Rudecki nie mógł powstrzymać się od okrzyku wyrażającego najwyższe zdumienie. Wydało mu się, że śni. Jeszcze nie pojmował do końca szczęśliwego obrotu sprawy.

–Pani?! – wykrztusił. – Ależ, jak to możliwe... Dlaczego pani chce?... To inwestycja niezwykle kosztowna -poczuł się zobowiązany ostrzec pięknego gościa.

–Nie dbam o pieniądze – odpowiedziała lekko. – Wprawdzie nie jestem lwowianką, ani nawet Polką z pochodzenia, a jednak ma swoje powody, aby panu dopomóc. Mąż mój nieboszczyk, dyrektor Alfred Rozdolski, zginął w tych stronach. Pragnę więc, aby ów pawilon nosił jego imię. Naturalnie, jeżeli się pan zgodzi, panie inżynierze.

–Naturalnie, nie widzę przeszkód – mamrotał inżynier.

Nie mógł się wciąż pozbyć przekonania, że dzisiejszy upał spowodował senne widziadło i że za chwilę zbudzi się z tak wiele obiecującego marzenia.

–Zjawiałaś się tutaj, pani, jak królewna z bajki – skonstatował czując, że musi mieć w tej chwili minę dość głupią. – Jestem pewien, że miasto nie będzie miało nic przeciwko nazwaniu pawilonu imieniem wojennego bohatera -dodał nieco przytomniej.

–Poza tym – ciągnęła dalej Stefania – w kawiarni Kryształowego Pawilonu miał się przecież odbyć bankiet otwierający rajd automobilowy, którego będę uczestniczką... Byłoby mi doprawdy miło, gdyby odbył się właśnie tam – zakończyła wyjaśnienia z uroczym uśmiechem, po czym zapytała jeszcze – Gdyby od jutra rozpocząć roboty, czy zdążyłby pan na otwarcie?

–Oczywiście, że tak – odparł rozemocjonowany. – Potrzebne są tylko

odpowiednie materiały... Konstrukcja jest bardzo prosta.

–Genialnie prosta – zauważyła Stefania. – A zatem proszę porozumieć się z prezydentem miasta i kiedy wspólnie podejmiecie decyzję, niech pan raczy mnie o niej powiadomić. Mieszkam w hotelu George'a.

–Natychmiast to uczynię... i pozwolę sobie odwiedzić panią osobiście.

–O, będzie mi bardzo miło. Tymczasem do zobaczenia.

Wstała. Chciał się rzucić całować jej dłonie, lecz zręcznie tego uniknęła i szybkim krokiem opuściła gabinet. Rudecki miał przez chwilę wrażenie, że pragnęła ukryć swoje wzruszenie, którego powodów dociekał na próżno. Po jej wyjściu Rudecki bez zwłoki zatelefonował do prezydenta Mohylewicza, który także wielce się zdumiał niezwykłą informacją. Dygnitarz poprosił o czas do namysłu i obiecał odpowiedzieć następnego dnia rano. Wszystko wskazywało jednak na to, że odpowiedź będzie zgodna z oczekiwaniami Jerzego.

Wyleciał z pracowni jak burza. Nie chcąc zapeszyć, nie poinformował o celu wizyty tajemniczej damy nikogo z podwładnych, choć najwyraźniej wielu z nich miało go ochotę o to zapytać, odprowadzali go bowiem bardzo zaciekawionymi spojrzeniami. Kiedy jechał już do domu, wciąż prześladowała go myśl, że za tym, pozornie tak naturalnym, choć niezwykłym, darem losu, musi się kryć coś jeszcze... Przy tym bez przerwy dręczył się dociekaniem, gdzie mógł już spotkać Stefanię baronessę de Mildi... Był bowiem absolutnie tego pewien, choć równocześnie wydawało się to całkowitym absurdem i niemożliwością. Przy tym nosiła imię tak mu drogie... Kiedy spotykał kobiety o tym imieniu, zawsze przebiegał go niewytłumaczalny dreszcz.

–Tosiu! – zawołał do żony, wbiegając do mieszkania. – Poznałem kogoś zupełnie niezwykłego!

Szalała z gniewu i rozpacz. Od kilku dni Paweł Ostalski unikał z nią spotkania pod różnymi – kłamliwymi, była tego pewna – pretekstami. Dzisiejszego ranka Rita pojechała na Służewiec i tam wzięła ogiera, którego trzymali Trestkowie, wielokrotnego zwycięzcę wyścigów. Jeździła na nim długo, z pasją, jak za dawnych lat, aż ją musieli powstrzymać dzokeje, w obawie, że zajeździ Bogu ducha winne zwierzę. Musiała przecież w jakiś sposób znaleźć dla siebie chwilę zapomnienia. Niestety, wszystko daremnie. Miotające ją uczucia powracały niczym ból jątrzącej się rany. Odkąd wyjechała Stefania nie miała w Warszawie zaufanej przyjaciółki, której mogłaby zwierzyć swoje obawy i podejrzenia oraz poszukać u niej rady. Nie dawała jej spokoju straszna myśl, że ukochany znudził się nią i znalazł inną. Zaczęła widzieć wszystko inaczej. Te wykrety dotyczące niemożliwości poślubienia jej... Najwyraźniej Pawelek nie miał po prostu zamiaru utrzymywać ich liaison dłużej, niż mu się będzie podobało. Och, co za podłość! Nieszczęśliwa hrabina czuła się zdradzona i oszukana, chociaż nie miała jeszcze w ręku dowodów.

Wierzyła jednak swej intuicji. Przeczucie mówiło jej, iż została w najhaniebniejszy sposób wykorzystana, aby potem zostać porzuconą, kiedy stanie się niepotrzebna.

Zwłaszcza to przekonanie najwięcej upokarzało jej kobiecą dumę. Dlaczego Ostalskiemu tak bardzo zależało na zaprotegowaniu przyjaciela? I co robił książę Aleksander Szczerbiec w garsonierze tamtego, owego fatalnego wieczoru?! Bała się aż o tym pomyśleć... Nie zdobyła się dotąd na odwagę, aby wyznać cokolwiek bratu, ani nikomu innemu. Jedynie z baronessą de Mildi odważyłaby się rozmawiać zupełnie szczerze, tej jednak nie było w mieście.

Szczęściem dla Rity jej małżonek został wezwany w pilnych sprawach do Ożarowa, toteż pozostawała w wynajętym apartamencie sama ze swoją udręką. Poczciwy Trestka z pewnością troszczyłby się o nią w sposób obecnie dla niej

nieznośny. Odczuwała wielką swoją winę wobec tego człowieka. Za nic w świecie nie chciałaby go skrzywdzić, choć wiedziała, że jest to nieuniknione, gdyby zdecydowała się ujawnić swój stosunek z Ostalskim, zażądać separacji i rozvodu. Znajdowała się więc jakby pomiędzy Skyllą i Charybdą – między niekochanym, lecz kochającym mężem a ukochanym, lecz chyba nie kochającym ją przyjacielem. Sytuacja, zaiste, nie do pozazdroszczenia dla słabej, rozdieranej sprzecznymi uczuciami kobiety.

Nerwowym gestem sięgnęła do telefonu. Drżącym głosem zażądała połączenia z księciem Pawłem. Po dłuższej chwili oczekiwania odetchnęła, gdy po tamtej stronie linii usłyszała głos lokaja Szczepana.

–Halo, tu apartament księcia Ostalskiego...

–Szczepanku – zawołała do zimnej, czarnej tubki -czy księżę Paweł może ze mną rozmawiać?!

–Księcia pana nie ma w domu – usłyszała. – Wyjechał.

–Ale... dlaczego tak nagle? Dokąd?!

–Nie wiem, proszę pani hrabiny. Opowiadać się jaśnie księżę nie ma zwyczaju... pewnie do rodziny pojechał, czy co... Miarkuję, że za granicę, bo onegdaj zamawiał bilet do Paryża... W głosie bezczelnego sługusa, do którego od początku czuła niewytłumaczalną antypatię, dosłuchała się jakby utajonej złośliwości. „Kłamie” – pomyślała z irracjonalną pewnością. Postanowiła jednak nie poddawać się zbyt łatwo.

–I nic nie zostawił dla mnie? Żadnego listu, żadnej wiadomości?

–List? – rzekł z ociąganiem lokaj. – Tak, jaśnie pani hrabina powinna dzisiaj go dostać...

Rzuciła słuchawkę i ukryła twarz w dłoniach. Po policzkach stoczyły się dwie ciężkie łzy. Do czegoż ją zmusił ten człowiek! Żebrać u rozpuszczonego sługi o kęs wiadomości... Rita nie poznawała samej siebie. Gdzież się podziały jej duma, stanowczość, pewność siebie? Była teraz tylko porzuconą, cierpiącą kobietą.

W tejże chwili do drzwi buduaru rozległo się pukanie. Rita, starając się

zapanować nad sobą, pozwoliła wejść swojej pokojówce, Zosi. Subretka wniosła list na tacy, zaadresowany... jego pismem! Pismem ukochanego!

Widząc rozdrażnienie swojej pani, Zosia czym prędzej wycofała się taktownie. Hrabina trzęsącymi się dłońmi rozerwała kopertę i poczęła czytać chciwie:

Droga Rito!

Ważne sprawy rodzinne zmuszają mnie do natychmiastowego wyjazdu – muszę odwiedzić moje drugą ojczyznę, księstwo Monaco. Wola rodziny zniewala mnie do pożegnania się z Tobą w takiej właśnie formie, za co pokornie proszę o wybaczenie. Mówiłem Ci już kiedyś o warunkach, na jakich mogę korzystać ze spadku – lękam się czy nasz związek nie został tragicznym jakimś wypadkiem odkryty.

Pozwól więc ukochana, że w najbliższym czasie nie będę się do Ciebie odzywał, ze swej strony proszę również, abyś pod żadnym -pozorem mnie nie szukała. Dam znać, kiedy wszystko się wyjaśni i będziemy znowu mogli się spotkać swobodnie. Wspomnienie naszej miłości zawsze będzie dla mnie święte.

Do najszybszego zobaczenia się! Ks. P. Ostalski

Hrabinę uderzył zimny ton tego listu i, mimo uroczystych zapewnień o miłości, forma zupełnie niepodobna do poprzednich jego bilecików. Już sam początek... Od kiedyż to stała się tylko „drogą” mu Ritą? Zawsze była wszak najśłodsza, najwspanialsza, najukochańsza... I wreszcie podpis. Zwykle pisał do niej jej „Pawełek”, przysięgający miłość na wieki. Ten list był całkiem inny... Przy tym była absolutnie pewna, że w jego wyjaśnieniach nie ma słowa prawdy. Z pewnością pragnie zakończyć ich romans i dlatego usunął się na pewien czas. Przecież to stary chwyt nałogowych uwodzicieli! „Boże mój, Boże -jęknęła w duchu. – Już zaczynam go obrzucać najgorszymi kalumniami! A wszystko dlatego, że tak bardzo go kocham! Tylko prawdziwa miłość jest zdolna do takich skrajności... Wszystko wybaczyć temu, kto tego uczucia niewart... Wytłumaczy sobie najgorszą zdradę, grzech i kłamstwo... Mocna jest miłość jak śmierć, jak mawiali nasi przodkowie”.

Wstała z otomany i podbiegła do lustra, aby poprawić rozmazany płaczem makijaż. O nie, ona nie da się tak łatwo usunąć jak kopnięty nogą śmieć! Nie znajdzie się w lamusie serca tamtego jak grat jakiś niepotrzebny. Będzie o niego walczyła! Wbrew ostrzeżeniom odszuka go i zmusi do powrotu. Przede wszystkim postanowiła więc dostać się do garsoniery księcia, aby przekonać się naocznie czy istotnie wyjechał na dłużej i wreszcie przyprzeć do muru lokajczyka, który przecież musi znać obecne miejsce pobytu swego pana. Była gotowa jechać za nim do Paryża, do Monte Carlo, do Argentyny... gdziekolwiek. Nawet na Biegun Północny, gdyby zaszła taka konieczność. Nic jej nie powstrzyma! „To przecież niemożliwe, żeby sprawy majątkowe, materialne były dla niego ważniejsze niż miłość!” – pomyślała tak i zaraz uczepiła się tej myśli niczym tonący ostatniej deski ratunku. Zadzwoiła na pokojówkę.

–Zosiu! Niech Walenty sprowadzi dorożkę...

Dłuższą chwilę zastanawiała się przed lustrem jaki kapelusz będzie stosowny na tę, jakże niecodzienną okazję. Zdecydowała się wreszcie na hełm czarny, dżetowy. Wtulila buzię w ciemnego lisa, który przyjemnie łaskotał policzki. Zbiegła po schodach jakby płonęły pod pantofelkami. Migwały w szybkim ruchu szczupłe łydki, ozdobione pończoszkami z mgielki paryskiej. Rozciągnięty na marmurowych stopniach dywan nie był w stanie stłumić stukotu obcasików jej drobnych kroczków -raz, dwa, raz, dwa...

Jechała jak we śnie. Czowała, że prąd życia porwał ją i unosi w nieznane. Jej postępowanie było w tej chwili niezależne od woli, a raczej zdawało się oszalałej w zranionych uczuciach kobiecie, że czyni właśnie to, co chce. „Kimże jestem w istocie? – przemknęło przez skołataną główkę. – Może gwiazdą spadającą, która o swoim upadku jeszcze nie wie...” Nie spostrzegła się nawet, kiedy znalazła się w pobliżu kamienicy, gdzie rezydował książę Paweł.

Miała już zapłacić dryndziarzowi i wysiąść z zaprzęzonego w karą klacz pudła, przez co skojarzyło się Ricie z karawanem. Poświęciłaby doprawdy bardzo wiele, byle tylko pozbyć się ponurych, żalobnych myśli, lecz te wracały natrętnie i nie sposób było ich odgonić. Wysuwając stopę w kierunku trotuaru,

naraz cofnęła się gwałtownie i zapadła głębiej w siedzenie, strosząc futerko lisie wokół twarzy.

–Zaczekajmy jeszcze chwilę... – wyrzekła zduszonym głosem.

Dorożkarz zwrócił ku niej na chwilę zaciekawione oblicze, po czym, widząc rozstrój nerwowy malujący się w oczach jak przyćmione diamenty, uśmiechnął się wyrozumiale.

–Wedle życzenia jaśnie pani hrabiny. Czy podnieść budkę?

–Och, nie!... Nie trzeba.

Przed bramą domu księcia Ostalskiego zatrzymał się z hałasem lśniący buick, prowadzony przez Aleksandra Szczerbca. Rita przypomniała sobie, jak to niedawno cała Warszawa zastanawiała się, skąd młody arystokrata zdobył pieniądze na tak kosztowny zakup – przecież nie z pensyjki w MSZ-cie. Obok młodzieńca zasiadał interesujący pan, wyglądający trochę jak starszy brat, miał bowiem podobny do tamtego, włoski typ urody. Uderzały zwłaszcza jego oczy, smoliste i płomienne, które zdawały się wsysać w piekielną otchłań wszystko, co zobaczyły. Szczęśliwie dla struchlałej kobiety nie zawadziły nawet o stojącą w pobliżu dorożkę. Obaj panowie miny mieli wielce z siebie zadowolone, a nawet frywolne. Rita posłyszała, jak dziwny towarzysz księcia mówi do niego po niemiecku:

–Ta biedna, niemądra Steffi sądziła, że skryje się przede mną wyjeżdżając do Lemberg... Donoszą mi, że szasta tam moimi pieniędzmi na jakieś społeczne cele. Zresztą nie chodzi o pieniądze, lecz o zasadę. Przekonam tę wieczną marzycielkę i romantyczkę, że ode mnie nie można uciec. Będzie musiała zdać teraz rachunek ze swoich czynów i wedle mojej sprawiedliwej zasady ukarzę ją za dobre uczynki, a wynagrodzę za złe. Powiadasz, że ciągle piękna?

–O tak, warta grzechu! – potwierdził Szczerbiec z przekonaniem. – „Kto widział panią Stefanią, ten wołał od innych pań ją” – zacytował żartobliwie, po polsku, wierszyk Boya.

–A zatem godzina sabatu bliska! – zakrzyknął czarnowłosy mężczyzna z demonicznym uśmiechem i zatarł w zadowoleniu dłoń.

Mężczyźni zniknęli w przepastnych głębiach bramy. Rita siedziała przez długą chwilę nieruchoma, zmartwiała. Kim był ten niesamowity człowiek, przemawiający dziwnie? „Steffi”?!... Oczywiście miał na myśli baronessę de Mildi! W jego słowach, mimo pozornie niefrasobliwego tonu, dźwięczała jakaś zła wróżba... Byłżeby on owym legendarnym bratem Stefanii?! Trest-kowa zrozumiała teraz dlaczego, kiedy czasem w warszawskich salonach ten i ów wspominał przedwojenne wizyty barona w Polsce, zawsze zresztą ze szczególnym wyrazem twarzy, jakby chodziło o jakąś zbrodnię, baronessa mieszała się widomie i prędko zmieniała temat. Pojawiała się też kolejna zagadka, wyłoniona właśnie z brudnych odmętów i wirów spienionych życia. Co łączyło barona z dwoma arystokratycznymi polskimi młodzieńcami? Dlaczego zjawił się właśnie teraz, gdy jej Pawelek zniknął? Rita była niemal pewna, iż to właśnie baron de Mildi winien jest rozczarowaniu, jakie ją spotkało. Nie wiedziała, co powinna teraz uczynić. Zwierzyć się ze swoich, jakże kruchych podejrzeń bratu, ani tym bardziej policji, nie miała odwagi. Lękałaby się zresztą, że nie uwierzą jej i zostanie wyśmiana, a właśnie bycia ridiculebaia się zawsze najbardziej, jej mąż tym bardziej nie wchodził w grę. Pozostawiała Stefania, którą przecież należało przestrzec...

W mózgu hrabiny załopotano nagle jeszcze światełko decyzji. Trzeba pojechać do Lwowa, szybciej niż zdoła to uczynić baron i rozmówić się szczerze z jego siostrą. Może razem znajdą wyjście z owego błędnego koła, w którym znalazły się obie... A jeśli nawet jest inaczej, z pewnością tym razem baronessa będzie musiała udzielić Ricie jakichś bliższych informacji na temat swoich spraw rodzinnych. Było wszakże jasne, że z intrygami brata nie chce mieć nic wspólnego. Słowa barona rzuciły nowe światło na jej nagły wyjazd. –

Wracajmy do domu... -zażądała słabym głosem.

W przedpokoju powitała ją Zosia z miną tajemniczą i wielce podekscytowaną.

–Przyszędł jaśnie ordynat Michorowski – zaszepiała poufale. – Mówiłam, że nie wiem, kiedy pani hrabina wróci, ale powiedział: „Zaczekam, choćby cały

wieczór i noc!" Tom go wprowadziła do salonu... Twarz ma jakąś dziwną, ażem się wystraszyła.. Dobrze, że jaśnie pani już wróciła.

–Dobrze, dobrze – skinęła głową Rota. – Podaj kawę i koniak.

Nim weszła do salonu, postarała się przybrać wyraz spokojny i opanowany. Ordynat, siedzący półprofilem do wejścia, w pierwszej chwili nie usłyszał cichych kroków, tłumionych dodatkowo przez dywan. Dopiero, kiedy odezwała się doń, tonem pozornie najnaturalniejszym w świecie, poderwał się gwałtownie i z ukłonem ucałował jej dłoń.

–Dzień dobry, Waldy, miło mi cię ujrzeć znowu. Cóż cię sprowadza tak nieoczekiwanie?

Michorowski był istotnie zmieniony. Na twarzy jego widniała męka i wielodniowe pasowanie się z samym sobą. Dawny blask oczu, który tak niegdyś działał na kobiety, teraz zdawał się bezpowrotnie zagasły. Czolo i policzki, choć czerstwe, poradlone były bruzdami, które wyżłobiło duchowe cierpienie. Od czasu, kiedy Rita widziała go po raz ostatni, to jest od ślubu Melanii z Jakubem, przybyło mu także wiele siwych włosów. Przy tym strój jego sprawiał wrażenie nakładanego w pośpiechu i bez dbałości o elegancję, a ruchy i głos przypominały chorych, będących w malignie.

–Wybacz, Rito, że zjawiam się nie będąc zapowiedzianym – wydusił z siebie wreszcie coś na kształt usprawiedliwienia. – Masz oto przed sobą najnieszczęśliwszego z ludzi...

Jakkolwiek Rita była gotowa z nim współczuć i być mu siostrą w cierpieniu, jednak odczuła w głębiach duszy odrobinę arcyłudzkiej satysfakcji, że nie jest jedyną nieszczęśliwą osobą na świecie, jak to się jej wydawało jeszcze kilka minut temu. Domyślała się zresztą przyczyn rozterki duchowej ordynata.

–Drogi mój, kochany, nie męcz się tak strasznie... Widzę, jak ci skronie nabrzmiały, jak drgają szczęki. Usiądźmy tutaj, proszę. Wyznaj mi powody, dla których tu przybyłeś, a ja może spróbuję być ci pomocną. Zaraz podadzą kawę i coś na wzmocnienie.

–Ach, nikt nie jest mi w stanie pomóc! – krzyknął jak w obląkaniu. –

Nawet ty, wierna przyjaciółko. Muszę jednak ten ciężar zrzucić z mego serca! Tobie jednej, jeśli pozwolisz... Wszak ty jesteś w stanie zrozumieć czym jest tragedia niespełnionej miłości!

–Tak, Waldy... rozumiem aż nadto dobrze! – jęknęła, albowiem słowa kochanego niegdyś ordynata zakłuły ją boleśnie. – Rozumiałam to przed laty, gdy wychodziłam za Trestkę i pojmuję teraz.

–Jestem w delirium rozpaczki – powiedział, z trudem wydobywając z siebie poszczególne słowa. – Wiesz przecie, że po śmierci Stefcy Rudeckiej cały świat stał się dla mnie grobem. Przysiągłem sobie, iż nigdy już nie drgnie moje serce żywiej dla żadnej innej kobiety, nigdy się z inną nie złączę. Widmo jej, zjawiające mi się czasem w marzeniach na jawie, stało się dla mnie rękojmą zaświatowego związku, którego kostucha nie zdołała rozerwać. I oto jakiś demon postawił przed oczami moimi pokusę, której nie potrafię się oprzeć... Kocham baronessę deMildi!

Chwilę trwało milczenie. Dla Rity słowa Waldemara nie były zaskoczeniem. O jego nieopanowanym zachowaniu w „Zachęcie” plotkowano przecież w całej stolicy, a najwięcej i najzłośliwiej gadała w swoim czasie Lora Ćwilecka. Jednak nie sądziła, że spotkanie z baronessą wywrze na mężczyźnie wrażenie aż tak wstrząsające. Ona sama odnajdywała pewne podobieństwo zewnętrzne między nieboszczką Rudecką a Steffi, lecz nigdy nie przywiązywała do tego aż takiej wagi. Dopiero słowa brata otworzyły jej do końca oczy na to niezwykle zjawisko. „A jednak istnienie nasze na Ziemi jest czymś bezmiernie dziwnym...” – pomyślała. Postanowiła nie przerywać Michorowskiemu, czując, że jeszcze nie wyrzekł wszystkiego.

Waldemar wbił w nią oczy pełne niemego zapytania, lecz nie doczekawszy się odpowiedzi, kontynuował:

–Ona jest istotnie tak piękna jak... tamta. Przy tym słyszałem od Brochwicza i jego żony tyle dobrego. Nie przestawali się unosić nad jej mądrością, rozumem i taktem. Chociaż jest Niemką, jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż jest w niej coś specyficznie, szlachetnie polskiego... Co, być może,

zaszczepił w niej ten, po którym została wdową...

Przez jego twarz przeszła chmura. Rita poruszyła się niespokojnie. Ordynat chwilami mówił rzeczywiście jak w obłędzie, chociaż rozumiała go doskonale.

–To żywy portret nieboszczki Rudeckiej – powiedziała cicho. – Tak ją określił mój brat.

–Tak mówił?! – zakrzyknął z ożywieniem. – Więc i on ją znalazł ludzaco podobną?! To chyba najlepszy dowód, że nie jestem wariatem. Wiluś także ją kiedyś kochał...

Hrabina uśmiechnęła się na to zdrobnienie, przypominające młodość. Z lekkim wahaniem pogładziła dłoń mężczyzny.

–Pokochać taką kobietę jak baronessa z pewnością nie jest szaleństwem – stwierdziła z przekonaniem. – Nie jest też żadną hańbą ani grzechem.

–Prawda?!... Prawda?! – szukał pewności Waldemar. – Po owej z nią rozmowie w „Zachęcie” chodziłem przez kilka dni jak błędny – podjął znowu opowieść, – Nie wiedziałem, ani gdzie jestem, ani co czynię. Nie miałem odwagi nagabywać baronessy, chociaż wyczułem w niej (lub może chciałem aby tak właśnie było!) wielką dla mnie przychylność. Kilka razy posłałem jej kwiaty... jednak bez listu. Kiedy zabierałem się do skreślenia kilku słów, dłonie drżały mi tak, jakbym tknięty był nagłą chorobą. Wreszcie zebrałem się w sobie. Jadę do „Bristolu”. Tam mówią mi, że wyjechała nie pozostawiając adresu. Jakby spadł na mnie nagle piorun z ozdobnego sufitu. Chciałem się (wybacz mi, Boże!) rzucić się w pierwszym porywie do Wisły... Później przyszło opamiętanie i myśl zbawienna, że z pewnością ty, Rito, musisz wiedzieć, gdzie ta niezwykła kobieta przebywa teraz. Wiesz to, prawda?! – stwierdził raczej, niż zapytał.

Równocześnie wzrok jego czepiał się jej oczu z wielkim błaganiem. Rita zastanowiła się chwilę. Wprawdzie przyrzekała Stefanii, że nikomu nie zdradzi miejsca jej obecnego pobytu, lecz przecież wygadała się już niebacznie przed Wilhelmem. Przypomniała sobie teraz jak w ostatniej rozmowie baronessa przestrzegala ją delikatnie przed uwikłaniem się w romans z księciem Pawłem,

czego wówczas zakochana kobieta nie chciała słuchać. Gdybyż to wówczas uczyniła! Ale nie czas teraz na żale daremne. Trzeba jechać do baronessy i wyjaśnić ostatecznie wszystko. Tknięta nagłą myślą, podeszła do telefonu i kazała połączyć się z ministerstwem. Zdumiała się, kiedy zamiast spodziewanego Szczerbca odebrał jakiś inny urzędnik.

–Mówi Margerita Trestkowa... Czy mogę rozmawiać z moim bratem, ministrem Szeligą?

–Niestety, pan minister wyjechał na kilka dni – odpowiedział uprzejmym basem.

–Wyjechał? – zdumiała się Rota. – Ależ... czemu ja nic o tym nie wiem?! Dokąd się udał tak nagle?

–Nie wiem dobrze, bo nie służbowo – informował bas. – Podobno do Lwowa.

–Ach, tak – westchnęła, nie wiedząc w pierwszej chwili jak ma przyjąć tę niespodziewaną wiadomość. – A czy jest książę Szczerbiec?

Wydawało się jej, że po tamtej stronie słuchawki usłyszała stłumiony chichot.

–O, książę Olo ostatnio zaszczycza nas coraz rzadziej... Odkąd kupił sobie buickę, stał się dla niego ważniejszym hobby niż praca w naszym ministerium. Jednak niektórzy mają słabość do niego. A teraz, jak nie ma pana ministra, wziął także kilka dni urlopu. Ponoć przygotowuje się do jakiegoś rajdu.

–Rozumiem, dziękuję – ucięła rozmowę Rita i odwiesiła słuchawkę.

Postanowiła na razie nie dzielić się z ordynatem swoimi sprawami i domniemaniami. I tak by jej zresztą prawdopodobnie nie wysłuchał, zbyt zajęty własnym dramatem. Spoglądał na nią ciągle wyczekująco i z niejakim zdziwieniem.

–Steffi baronessa de Mildy przebywa obecnie we Lwowie, w hotelu George'a -powiedziała spokojnie. – Ja również mam do niej interes, toteż pojedziemy tam wspólnie. Tak będzie zresztą lepiej również i dla pana -dodała znacząco.

–Aniele mój! – krzyknął Waldy i w uniesieniu począł całować jej dłonie.

„Gdybyż tak... przed laty” – pomyślała Rita z sentymentem.

XI

–... JL o musi być straszna kobieta! – wołała Tosia Rudecka. – Powiadam ci, mammo, od dwóch tygodni żyję jak w jakimś koszmarze! Codziennie słyszę od Jura o tej baronessie! Nie mogę już tego dłużej znieść!

Uniosła drżące dłonie do ust i zanosła się szlochom. Teściowa, starsza pani Rudecka, przyglądała się jej z niepokojem. Nie mogła wprost uwierzyć, aby to, co zwierzała jej synowa mogło w jakimkolwiek stopniu być prawdą.

–Ależ, dziecko drogie – zaczęła ją uspokajać łagodnie – któż lepiej niż ja mógłby znać własnego syna! Jurek zawsze był uczciwym chłopcem... To po prostu niemożliwe, aby uwikłał się w jakąś małżeńską zdradę. Wiedzie cię na manowce, Tosiu, zbytnia podejrzliwość...

–Podejrzliwość?! – zaśmiała się dziko. – To właśnie mamę zaślepiła macierzyńska ufność! O, mama nie widziała tamtej!... Ja wiem wszystko od Jadzi, jego sekretarki... Ta dama zjawiała się u niego w biurze pewnego dnia z propozycją dofinansowania budowy Kryształowego Pawilonu, rzekomo pragnąc tą drogą uczcić pamięć poległego w tych okolicach męża...

–No, właśnie, skąd wiesz, że rzekomo?– zauważyła pani Rudecka. – Może to prawda i intencje tej damy są zupełnie czyste.

–Nie wierzę, nie wierzę... – zatkęła Tosia. – Coś mi mówi, że kryją się za tym czynem całkiem inne intencje. Zjawia się taka... wyperfumowana, wymalowana, ufarbowana (za to ręczę) na rudo, wystrojona w suknię Chanel i nieumiarkowanie sypie pieniędzmi. Taka kobieta potrafi zawrócić w głowie najuczciwшему nawet mężczyźnie. A mężczyzna zawsze pozostanie mężczyzną. Mama знаła Jura chłopcem, a ja dzielę życie z dorosłym... Ta... baronessa de Mildi to jakaś międzynarodowa awanturka, bawiąca się w porywanie cudzych mężów. Jestem tego pewna! O Boże mój, co czynić?! Pani Rudecka była wstrząśnięta nie tyle rewelacjami, jakie usłyszała z ust synowej, co jej stanem ducha.

–Najlepiej zrobisz, nie czyniąc nic – odrzekła, nadal siląc się na spokój. – Mądra żona musi niekiedy ponieść ofiarę dla ratowania małżeństwa i przyszłości dziecka. Poza tym, nie masz przecie żadnych dowodów zdrady. Radzę ci, abyś zachowała rozwagę.

–Łatwo mamie mówić – żalila się tamta – skoro pan Rudecki zawsze był jej wiernym. Pewnie w Ruczajewie nie miał takich pokus... A może mama woląla nie wiedzieć nic o jego awanturkach?!

–Moja droga Tosiu – odpowiedziała z godnością teściowa – nawet fakt, że jesteś żoną mojego syna i matką jego dziecka nie upoważnia cię do obrażania mnie i kalania w takich słowach pamięci nieboszczyka Rudeckie-go. Już sama myśl tego rodzaju to jak splunięcie na jego grób...

–Przepraszam mamę – powiedziała ciszej Tosia, nieco się opamiętując. – Jestem w takim stanie, że już sama nie wiem, co mówię. Ale jakże może być inaczej, skoro ona pojawia się ciągle w tym domu... Jur opowiada o niej bez przerwy...

–A widzisz – podchwyciła teściowa – gdyby było w tym coś niestosownego, przecie staralby się to raczej ukryć i o tamtej kobiecie nie wspominalby tak często.

–Wiem, że jest w niej zakochany! – zawołała z gorzkim triumfem młodsza pani Rudecka. – Słyszałam jak wymawia w nocy jej imię przez sen. „Moja Steffi najdroższa...” Słyszałam wyraźnie!

Pani Rudecka spojrzala na synową z lękiem. Fakt, że tajemnicza dama nosiła imię takie samo, choć wymawiane z cudzoziemska, jak jej zmarła córka, przejął ją samą jakąś niezrozumiałą obawą.

–Może to istotnie coś znaczy – szepnęła – a może da się wyjaśnić w sposób całkiem naturalny. Ostatecznie ta kobieta dopomogła mu w bardzo trudnej chwili.

–Dlatego właśnie oszalał na jej punkcie i nie widzi poza nią świata – dowodziła Tosia. – Ja i Marcinek zupełnie przestaliśmy istnieć dla niego. Całe szczęście, że mama przyjechała – zauważyła nagle trzeźwo. – Przynajmniej ma

się kto zająć dzieckiem, bo ja zupełnie ostatnio głowę straciłam. Ja zresztą mam się przed kim wyzalić. Inaczej, do kogo bym poszła, biedna sierota? Chociaż mama i tak zawsze trzyma jego stronę – zakończyła z goryczą.

–Trzymam stronę waszego małżeństwa – odparła pani Rudecka – które należy ocalić, bez względu na wszystkie burze i nieporozumienia...

–Powiedziała mama, że nie mam dowodów zdrady? – zawołała nagle kobieta. – Właśnie dzisiaj postanowiłam je zdobyć. Wiem od Jadzi, że umówili się na czule tete a tete w parku. Naturalnie wersja oficjalna głosi, że będą oglądać jak postępuje budowa pawilonu. Po parku może chodzić każdy, nieprawdaż? Toteż pojedę tam i wyjaśnię rzecz całą ostatecznie!

–Tosiu – rzekła teściowa z ostrzeżeniem – proszę cię, zastanów się jeszcze raz nad tym wszystkim. Możesz wywołać niepotrzebny skandal, a przy tym skompromitować nie tylko siebie, ale również Jurka i tamtą, być może Bogu ducha winną kobietę. Powiadam ci, lepiej uczynisz nie interweniując.

–Jak mama mnie nie zna! – zawołała Tosia. – Nie należę do kobiet, które poddają się łatwo i cierpią w milczeniu. Kiedy ktoś wdziera się do mego domu i pragnie podstępnie odebrać mi moje szczęście, walczę! W każdym razie niech się już raz skończy ta przekłeta niepewność. Jestem gotowa zapłacić każdą cenę... Czy to, doprawdy, tak trudno pojąć?!

–Ależ pojmuję cię, drogie dziecko, pojmuję – odparła pani Rudecka. – Widzę ze smutkiem, że nic cię nie zdoła odwieść od raz powziętego zamysłu... Pozwól więc, że udamy się tam razem, abym mogła strzec ciebie przed jakimś nieopatrzonym wyskokiem. Z pewnością przyda ci się przytomniejsze spojrzenie.

Uradowana, mimo hysterii, Tosia, rzuciła się na łono teściowej.

–Och, dziękuję ci, mamu, dziękuję! Teraz czuję, że w twojej osobie zyskałam prawdziwą matkę! – mówiła w pomieszczeniu. – Razem wyrwiemy Jura ze szponów tej wampirzycy!

Tymczasem, jeśli ktokolwiek znalazł się w szponach trudnej istotnie sytuacji, tą osobą była z pewnością Stefania. Początkowo dzisiejsze jej z Jurem spotkanie wyglądało jak wiele innych, poprzednich. Podczas spaceru w parku

Jur jak zwykle był dla niej miłym i uprzedzająco grzecznym. Obejrzeni wznoszącą się śmiało w niebo stalową konstrukcję, przy czym inżynier objaśniał jej przystępnie różne techniczne szczegóły. Już teraz budowla prezentował się imponująco, a wyobraźnia obojga uzupełniała ją i upiększala stokrotnie. Stefcia widziała oczyma duszy wspaniałe blask kryształowych szyb, rozkoszne zakątki w kawiarni pośród gęstwiny egzotycznych roślin. Zdawało się jej, że słyszy już gwar gości i grającą muzykę... Złudzenie było tak silne, że opowiedziała je natychmiast swemu towarzyszkowi. Ten słuchał początkowo z uśmiechem, później jednak jego oblicze przybrało wyraz ponury.

–Ach i ja miałem przed chwilą złudzenie, łaskawa pani!– powiedział z jakimś dziwnym naciskiem. – Tylko zupełnie innego rodzaju.

–I jakież to? – spytała ze zdziwieniem.

–Tego nie mogę powiedzieć – uciał sucho, niemal niegrzecznie.

Stefania uczuła lekki niepokój. Cóż się działo w głowie tego młodego człowieka? Wiele by dała za to, aby móc czytać w jego myślach, lecz, niestety, było to zupełnie niemożliwe. Postanowiła rozmawiać dalej, jak gdyby nic nie zaszło.

–Jakże jestem rada, że to miasto uświetni się tak cudownym obiektem, noszącym przy tym imię mojego męża. Wasza odrodzona ojczyzna potrzebuje teraz wielkich sukcesów i wielkich ludzi, takich jak pan. Rozmawiałam wczoraj w tym duchu z prezydentem Mohylewiczem...

–Pochlebiliście mi państwo przesadnie – mruknął Jur z dziwną jakąś ironią.

–Nie można przecenić pańskich zdolności i ogromnej wiedzy – rzekła baronessa. – Polacy do tej pory potrafili tylko ginąć za swoją ojczyznę, ale teraz będą musieli nauczyć się żyć dla niej, a to już całkiem inna sprawa. Jeśli Polska ma dorównać innym europejskim krajom, winna czym prędzej rozwinąć na dużą skalę przemysł, osuszyć błota, zmeliorować piaski, wyrównać drogi, jednym słowem ucywilizować się. I myślę, a nawet jestem pewna, że właśnie tacy ludzie jak pan powinni wskazać swoim rodakom nową drogę. Trzeba posuwać

się małymi kroczkami, ale pewnie ku wytkniętemu celowi.

–Widzę, że pani chciałaby przewietrzyć zatęchłe i spodłone latami niewoli dusze moich rodaków za pomocą swojego niemieckiego praktycyzmu – zaśmiał się z nagle Rudecki. – Nie przeczę, że to by się im przydało... Tylko, że praca taka wydaje się tyleż gigantyczna, co syzyfowa. Wszak już raz, własnymi rękami w przepaść pchnęliśmy własną ojczyznę. A nie znalazł się w narodzie ani jeden, który by się ośmielił przyznać: tak, byłem temu winny. To samo będzie i teraz. Błota pozostaną błotami, piachy piachami, chodniki ulic będą krzywe, a latarnie popsute, zaś najlepsi w narodzie będą sobie miło czas spędzać pod lipą w jakimś rajskim zakątku, lub po zagranicznych knajpach przepijając resztki majątków i powtarzać ulubione swoje hasło, które jest wcieleniem zagadki bytu polskiego: jakoś to będzie! Oto jest prawda o Polakach, których chcesz pani pouczać! Leniwe dusze, przekonane o własnej wyższości ponad przyziemność świata, wyrzucające pieniądze na decorum, jak owe kosztowne dywany, które niegdyś magnatom naszym ścielily drogę przez poleskie czy wołyńskie błota! Wierzaj mi pani, choćbyś sto lat przekonywała rodaków moich, że Kryształowy Pawilon będzie użytecznym, nie zechce cię słuchać nawet i minuty. Lecz powiedz im: postawimy cudo, które zadziwi świat i uczyni was sławnymi... o, wtedy gorąco przyklasną! Ale i tak czekać będą aż ktoś inny zrobi za nich robotę

–Lecz nawet paw nie stroszy piór bezużytecznie – zauważyła Stefania. – Wszystko ma swoją rolę w naturze. Jeśli zaś Polacy kochają się w pustych gestach dla sławy, trzeba nauczyć ich, że większy zyskają szacunek i podziw u obcych uczciwą, rzetelną pracą. W każdym razie, zdaje mi się, że to pan popełniasz błąd, tak łatwo rezygnując z edukacji swoich. Tylko bowiem wytrwała i bezustanna edukacja może zmienić społeczeństwo, istotnie, jak pan mówisz, skarłale w niewoli. Jednak nie wierzę, aby naród, który z takim heroizmem przetrwał najgorsze lata i odrodził się niemal cudem, nie mógł się stać nowoczesnym społeczeństwem. Zadziwia mnie, szczerze panu powiem, ten wieczny malkontentyzm i niewiara pośród waszych inteligentów... Przecież to właśnie na was spoczywa obowiązek edukowania innych. Jeśli opuścicie

bezradnie ręce i będziecie tylko bez przerwy biadać, z pewnością nic się tutaj nie zmieni. Taka właśnie postawa zdaje mi się trącić nieco lenistwem myślowym i, wybacz pan, wygodnictwem. Krytykować jest łatwo, znacznie trudniej zmienić to, co złe.

–Obawiam się, że ma pani rację, baronesso – odrzekł Jur, znów ponury. – W pani ustach pojawiły się kolejne słowa tak typowe dla losu polskiego: cud, malkontentyzm, wygodnictwo. Jakże pani to trafnie ujmuje! Będę musiał te słowa głęboko przemyśleć. Tymczasem zdumiewa mnie, że pani przejmuje się losem mojego narodu, jakby sama była rodowitą Polką.

–Czyż mogłabym nie kochać kraju, który darzył tak wielką miłością Fred?
– odpowiedziała Stefania retorycznym pytaniem.

Chwilę milczeli. Jur wyraźnie wahał się czy ma coś jeszcze powiedzieć. Wreszcie zaproponował:

–Może usiadzimy?

Wskazał ławeczkę, stojącą w cieniu drzew i gęstych krzewów. Najwyraźniej chodziło Rudeckiemu o miejsce ustronne, dobrze zabezpieczone przed oczami i uszami innych spacerowiczów. Stefcia uczuła się nieco niepewnie, tak jakby z twardej ziemi wkroczyła nagle na bagnisty, uginający się pod stopami grunt. Zrozumiała już intencje Jura i była tym bardziej zakłopotana i zmieszana.

–Sądzę, że powinnam już udać się do hotelu... Pańska żona z pewnością oczekuje na pana z niepokojem...

–Błagam, niech mi pani poświęci jeszcze kilka minut –rzekł załamującym się głosem. – Mam do powiedzenia coś niezwykle ważnego... Stefania, mimo powagi sytuacji, omal nie roześmiała się głośno. Jacyż jednak ci mężczyźni są bezbrzeżnie naiwni! Mówi tajemniczo, jakby sądził, że towarzysząca mu kobieta nie domyśla się już od dawna jakie uczucia nim miotają. Takie rzeczy przecież każda, nawet przeciętnie inteligentna, widzi zawsze jak na dłoni! Usiadła, aby nie ranić uczuć młodzieńca. Czekala, co też jej powie dalej.

–Pragnę wyznać pani – mówił dalej tak samo jak poprzednio – że nigdy

jeszcze nie spotkałem kobiety tak niezwyklej, tak pod każdym względem idealnej. To znaczy, o kimś takim mogłem tylko marzyć we śnie. Pewnie dlatego wciąż prześladuje mnie myśl, że gdzieś już panią poznałem. Ponieważ jednak nie jest to możliwe, jako człowiek racjonalny muszę wytłumaczyć rzecz całą w ten sposób, iż każdy nosi w sercu swój ideał kobiety. Niektórzy nie spotykają go przez całe życie, ja zaś mam to wielkie szczęście, że oto zasiada obok mnie w osobie pani.

Zamilkł i przez chwilę ciężko dyszał. Widocznie wyznanie to kosztowało go bardzo wiele. Stefania wahała się, co mu odpowiedzieć. Musiała postępować jak najsubtelniej, nie zrywając więzów z Jurem i nie demaskując się jednocześnie. Przypominało to taniec na linie rozwieszonej między dwiema skałami nad niezgłębioną przepaścią. Łatwo tu było o katastrofę, która istotnie omal się nie wydarzyła.

Spróbowała jednak przywołać młodzieńca do porządku.

–Słusznie chyba użyłeś pan słowa „ideał” – odparła. – Miłość ta nie może i nie powinna wykroczyć poza rejony idealne właśnie. Powinna natomiast pozostać czysta, nie zbrukana marnym pożądaniami. Ja panu innej ofiarować nie mogę.

–To przecież niemożliwe, Stefanio, abyś nie czuła tego, co ja czuję! – zawołał Jur przysuwając się do niej niebezpiecznie blisko. – Czyż nie widzisz, że szaleję za tobą?!

–Błędzisz, młody człowieku – odpowiedziała, starając się przybrać ton surowy. – Nie rozumiesz istotnej treści swoich uczuć.

–Pani nazywa błędem najgłębszą moją prawdę! – krzyczał zupełnie już nie panując nad sobą. – Ja kocham panią i muszę zdobyć wzajemność, a jeśli nie... ujrzyś mnie u swoich stóp martwego!

–Ależ, na Boga, niechże się pan opanuje – odpowiedziała, starając się powstać z ławki, na co nie pozwolił jej stalowym uściskiem dłoni. – Inżynierowie nie popełniają samobójstwa. To grzech wobec Boga i natury. Pan popełnia zaś w tej chwili jeszcze jeden grzech, zapominając o żonie i dziecku – uczepiła się tego

ważkiego argumentu. – Czy los tych dwojga istot jest panu zupełnie obojętny?!

–Niech cały świat zginie, bylebym tylko mógł przez chwilę trzymać panią w ramionach – wybelkotał w odpowiedzi, przyciskając ją coraz mocniej do siebie.

Jego oddech osmalił jej policzek... Stefania zrozumiała, że musi sięgnąć po broń ostateczną. Odsunęła się, na ile mogła od natrętnych gestów Jura i krzyknęła:

–Nie, nie możesz tego uczynić!

–Dlaczego? – Jestem... twoją siostrą!!!

Kiedy po dość długim błędzeniu po parku obie panie Rudeckie odnalazły wreszcie naszą „parkę”, stanęły obie jak wryte. Stefania i Jur ściskali się w najlepsze i całowali, jakby zapomnieli o Bożym świecie. Oboje mieli w oczach łzy, co jednak uszło uwagi rozwścieczonej Tosi.

–Mama to widzi?! – zwróciła się do teściowej. – Chyba teraz nie nazwie tego moją fantazją?!

–Cóż, dziecko – odrzekła skonfundowana pani Ru-decka – nie mogę zaprzeczyć, że...

W tejże chwili najniespodziewaniej dla nich inżynier Jerzy Rudecki oderwał się od swojej „bogdanki” i ruszył w kierunku obu kobiet z rozpromienioną twarzą.

–Mamo, Tosiu! – zawołał z niezrozumiałą radością w głosie. – To jest... To jest...

Nie mógł dokończyć, gdyż krtani dławilo mu wzruszenie. Wskazywał więc tylko na Stefanię w niemym zachwycie.

–Powiem ci, co to jest – wypaliła jego żona. – To jest wielkie...

Chciała powiedzieć: „świństwo”, ale poczuła, że starsza pani Rudecka chwieje się na nogach i wspiera na jej ramieniu całym swym ciężarem. Cała trójka obecnych usłyszała jej przeraźliwy okrzyk:

–Stefciu!... Dziecko moje, córeczko! Więc wróciłaś!... Przyszłaś po mnie!

Matka Stefanii i Jura padła na ziemię jak nieżywa.

XII

Ogromne wzruszenie omal istotnie nie zabiło matki Stefanii. Jednak, kiedy doszła do siebie pod czułą opieką rodziny i lekarzy, radość bezmierna dodała jej sił do życia. Szczęście rodziny Rudeckich było tak wielkie, że niemal nie do uwierzenia, podobnie jak niezwykła historia „drugiego życia” Stefanii, którą musiała opowiadać wszystkim wielokrotnie, razem i z osobna. W opowieści swojej pominęła wszelako najbardziej drastyczne szczegóły, poprzestając tylko na bardzo ogólnej prezentacji faktów: ratunek Jamroza, spotkanie z baronem de Mildi, ślub z Alfredem Rozdolskim, wojna, wreszcie śluby Brochwicza i Barskiej. Rudeccy mieli najwięcej żalu do starego kościelnego, iż nie powiedział im o niczym, jednak uczucie to ustąpiło, gdy Stefania kategorycznie podkreśliła, że stanowczo zabroniła mówić o tym z kimkolwiek, mając na uwadze realizację swych planów. Trudno powiedzieć, kto był bardziej radosny – pani Rudecka, że odzyskała ukochaną córkę, Jur, który odzyskał siostrę, Tosia męża czy wreszcie Stefcia, że odzyskała rodzinę. Zosi postanowiono na razie nie zawiadamiać, nie chcąc burzyć jej spokoju w szkole Sióstr Niepokalanek. Cała zresztą trójka została uroczyście zaprzysiężona nikomu nie pisać o tej sprawie, gdyż, jak oświadczyła tajemniczo baronessa de Mildi: „nie wszystkie rachunki zostały jeszcze wyrównane”. Najbardziej niezadowolona była z tego powodu Tosia, która najchętniej pobiegłaby natychmiast do swoich przyjaciółeczek by im opowiedzieć sensacyjną historię. Jednakże, choć przychodziło jej to z wielkim trudem, milczała jak grób.

Inżynier Jerzy Rudecki wziął się teraz do pracy ze zdwojoną energią, wydobywając ze swoich współpracowników wszystko co było w nich najlepszego do ostatnich potów. Dobry przykład podziałał z góry. Jurowi udało się przejąć do głębi wszystkich swoim uporem i entuzjazmem. Inżynier pamiętał o każdym szczególe, nawet najdrobniejszym, i sam dopilnował wszystkiego. Spał mało, jadł

rzadko, aż Tosia zaczęła się niepokoić o jego zdrowie, ale trzymała go w nieustannie dobrej formie nerwowa siła, charakterystyczna dla wszystkich fanatyków wielkiej idei, co nie są w stanie spocząć, dopóki nie urzeczywistnią jej w praktyce. Lwowianie codziennie przychodzili do Parku Kilińskiego, aby podziwiać postępującą w niespotykanym dotychczas tempie budowę. Coraz bardziej narastała w nich duma. „Takiej szklanej góry to nawet i stolica nie ma, nieprawdaż, panie, a?” – powiadali jeden do drugiego. Zebrał się naprędce komitet i zebrano składki na pomnik legionisty, który miał ozdobić wnętrze kawiarni. Dla wszystkich było jasne, że genialny konstruktor nie tylko zdąży z końcem budowy na uroczyste rozpoczęcie automobilowego rajdu, ale nawet wyprzedzi termin. Tym bardziej cieszone się powszechnie.

Stefania natomiast, chociaż od paru tygodni żyła także w radosnym jakimś upojeniu, poczęła na powrót martwić się i zamykać w sobie. Nie chciała nikomu zdradzić przyczyn zmiany swojego nastroju, chociaż matka i brat wypytywali ją o to kilkakrotnie. Woląla nie wywoływać między nimi paniki, a przy tym przez wiele lat rozłąki przyzwyczaiła się swoje trudne sprawy rozwiązywać sama.

Oto od kilku dni zaczęła nabierać coraz bardziej oczywistego przekonania, że śledzą ją bez przerwy czyjeś uparte oczy. Początkowo podpowiadał jej to wyłącznie instynkt samozachowawczy, albowiem nie udało jej się wśród gości hotelowych ani tłumu kroczącego ulicami spostrzec domniemanego szpiega. Stopniowo jednak zaczęła coraz lepiej wyczuwać czyjąś niebezpieczną obecność i spojrzenie podpatrujące drobiazgowo każdy jej krok. Ograniczyła więc spotkania z rodziną, nie chcąc narażać jej na przykrości, co tamci przyjęli z wyraźnym zawodem, jakkolwiek zamknęła usta ewentualnym pretensjom zdecydowanym „tak trzeba!” Dyskretnie starała się wyluskać spomiędzy innych ludzi owego osobnika i parokrotnie udało się jej zobaczyć na mgnienie oka zarys twarzy – oczu, nosa i ust, bynajmniej zresztą nie odstręczających, chociaż doświadczenia z baronem de Mil-di przekonały ją, że często pod pociągającą powierzchownością kryć się mogą szpetne cechy charakteru i jeszcze

szpetniejsze uczynki. Była coraz bardziej niespokojną, z trudem mogła spać. Zwłaszcza nocami męczyły ją bezowocne dociekania.

Czy człowiek ów był szpiegiem barona, niejako jego przednią strażą, wyprzedzającą właściwe pojawienie się swego pana? Chwili tej bała się najwięcej. Miała lęk, że Johann nie pochwali jej wdania się we wspomaganie rodziny – takie działania nie należały wszak do jego stylu życia. Lecz czy to nie on sam ofiarował jej wielkodusznie przed laty w łódzkim szpitalu połowę swego majątku, mówiąc przy tym, że może z nią zrobić, co zechce? Nie chciała uwierzyć, aby przez te wszystkie lata niewidzenia się baron tak bardzo się zmienił... Nawet bowiem jego zło miało w nim przecież szekspirowsko-mefistofelesowy wymiar. O nie! Johann von Hohenlohe-Liebenstein de Mildi nie poniżyłby się nigdy do wymawiania jej wydatków, choćby nawet były znaczne! A jednak, choć tłumaczenie samej sobie owych spraw było pozornie rozsądne, Stefania nie mogła pozbyć się swoich obaw i zupełnie nieuzasadnionego poczucia winy. Nadszedł wreszcie wieczór, kiedy, udręczona ponad miarę, postanowiła przerwać pasmo niepewności.

Miał jadać jak zwykle w swoim hotelowym apartamencie postanowiła tym razem stawić czoła niebezpieczeństwu na forum publicznym i zeszła na kolację do sali restauracyjnej. Jak zawsze wiele osób spoglądało na nią z ciekawością, podziwiając jej pyszną ciągle urodę i elegancję, ale już po chwili mogła z łatwością odróżnić ten wzrok pałacy i nieustępliwy.

Zajęła krzesło przy swoim stoliku, usłudźnie podsunięte jej przez kelnera. Podczas gdy podawano hors d'oeuvre odpowiedziała śmiałym spojrzeniem obserwatorowi. Ten nie stropił się bynajmniej, jak tego oczekiwała. Przeciwnie, spoglądał na nią już teraz zupełnie jawnie. Siedział w pewnej odległości, w nieco mniej oświetlonej części sali, jednakże mogła rozpoznać jego rysy. Był to mężczyzna w sile wieku, postawny, ubrany z nie narzucającą się wprawdzie, ale przyjemną dla oka elegancją. Nie był pospolitym, płatnym szpiclem. Oblicze jego było otwarte i tchnęło uczciwością oraz pewnością siebie. Stefania mogła więc odetchnąć z ulgą i nabrać otuchy, że ze strony tajemniczego wielbiciela nie

ma powodu niczego się obawiać. Równocześnie zaczęło kielkować w jej umyśle przekonanie, że już tego człowieka widziała... ale gdzie i kiedy, tego nie mogła sobie uzmysłwić.

Na próbie przypomnienia sobie powierzchowności tamtego sprzed lat oraz wymianie spojrzeń z tajemniczym nieznanym upłynęła jej kolacja, którą zjadła nie zdając sobie niemal z tego sprawy. Wreszcie, przy kawie, zdecydowała się wyjaśnić tę dziwną sytuację. Skinęła na kelnera. Podbiegł czym prędzej.

–Kim jest ten pan, siedzący w rogu sali? – zapytała tonem na pozór lekkim.

–To nasz nowy gość z Warszawy – objaśnił sługa. – Minister Wilhelm Szeliga, bawiący u nas na urlopie – zakończył z dumą.

Stefania milczała chwilę. Była jak rażona gromem. A więc to był Wiluś Szeliga, zakochany niegdyś w niej bez pamięci, chociaż bez wzajemności! Brat Rity! Jakże los płata figle! Uciekła przecież do Lwowa, aby uniknąć spełnienia rozkazu barona de Mildi polecającego jej protegować przez Trestkową księcia Aleksandra na stanowisko w ministerstwie, a tymczasem minister bawił tutaj, w tym samym hotelu! Mogła być przynajmniej spokojną – ze strony szlachetnego mężczyzny, nad którego zaletami jego siostra unosila się wielokrotnie, nie potrzebowała się niczego obawiać. Z drugiej strony zatargał nią niepokój. Czyżby Wilhelm ją rozpoznał? Czy może czystym przypadkiem odnalazł w jej rysach ślady podobieństwa do dawnej swej miłości? Tę zagadkę należało koniecznie rozwikłać. Zwróciła się znów do kelnera:

–Proszę powiedzieć panu ministrowi, że oczekuję go dziś wieczorem w swoim apartamencie.

–Wedle życzenia jaśnie pani baronessy – odpowiedział kelner, który pracował w hotelu George'a już tyle lat, że od dawna przyjął w życiu zasadę niedziwienia się niczemu.

Podczas gdy służący pozęglował dostojnym krokiem w kierunku stolika ministra, baronessa de Mildi udała się prędko do siebie. Tam, przy pomocy pokojówki, zrzuciła wieczorową suknię i zmieniła ją na kupioną niedawno

prostą, domową szatę, zdobną miejscowymi haftami. Pragnęła bowiem przyjąć w rozmowie z przyjacielem lat młodości, którego zawsze darzyła wielką sympatią i wspominała mile, od razu ton niewymuszonej swobody. Jako prawdziwy gentleman dał kobiecie nieco czasu na przygotowanie się do swojej wizyty. Jednak nie minęły dwa kwadranse i ktoś zapukał do drzwi apartamentu, cicho ale stanowczo.

–Entree- powiedziała Stefania głosem zupełnie naturalnym.

Do salonu wkroczył Wilhelm Szeliga, który wręczył jej bukiet astrów w milczeniu, z zabawną nieco powagą. Mimo całej swojej śmiałości był w tej chwili nieco speszony i zażenowany. Wyraźnie było widać, że nie wie jak zacząć, choć zapewne przygotował sobie wcześniej, obyczajem wszystkich ministrów na świecie, jakieś przemowy.

–Proszę usiąść, panie ministrze – zaproponowała Stefania. – Niechże pan nie stoi taki milczący... Tutaj ma pan szerry. Du courage, mon amil Czymże mogę panu jeszcze służyć!

–To raczej ja jestem na usługi pani – odparł Wilhelm, spoglądając na nią z pewnego rodzaju bezradnością. – Od kilku dni obserwuję panią z daleka i nie mogę wprost uwierzyć, aby takie rzeczy mogły się dziać naprawdę... Jak mam się do pani zwracać? Pani baronesso? Chociaż nie uznaję tytułów zmurszałej arystokracji... Więc może... pani Stefanio? Czy wybaczy mi pani tę poufalość? Proszę mnie w zamian za to nazywać po prostu Wilhelmem. Do diabła z wszelkimi tytułami i stanowiskami! – dorzucił zapalczywie.

Stefcia roześmiała się wesoło.

–Ależ chętnie przejdę na stopę bardziej koleżeńską z bratem mojej najlepszej przyjaciółki. Słyszałam od niej wiele dobrego o panu...

–I ja wiele o pani słyszałem – odparł znacząco. – Zjawiała się pani w salonach naszej arystokracji po wojnie dość niespodziewanie, ale od razu zrobiła furorę i podbiła wiele serc. W tym również moje, chociaż dopiero teraz mam szczęście oglądać panią z bliska. Słyszałem wiele o pani piękności, ale muszę powiedzieć, iż rzeczywistość przekroczyła wszelkie oczekiwania.

–Dlaczego jednak zabawiał się pan w tajnego agenta? – zapytała przytomnie. – Czemu, skoro tak bardzo pragnął mnie pan poznać, nie podszedł pan po prostu do mnie i nie przedstawił się, jak to się czyni zazwyczaj? Czyżby oczekiwał pan, że jak w czasach przedwojennych, upuszczę chusteczkę? Tamta epoka już się skończyła, a pan nie wyglądasz mi na tchórza, drogi panie Wilhelmie.

–Zdjął mnie lęk, jaki ogarnia każdego racjonalistę w zetknięciu z wcieloną zagadką – odpowiedział jej szczerze. – Trudno zachować spokój wobec rzeczy niepojętych. Tylko niech się pani ze mnie nie śmieje...

Stefcia nie zamierzała się śmiać. Była raczej lekko zaskoczona.

–Już drugi raz wspomina pan o czymś niesamowitym – zauważyła. – Jakież to ma związek ze mną?

–Ogromny, pani Stefano! – krzyknął z ożywieniem. – Przeżyłem swoje życie dotychczasowe bez specjalnych niezwykłości i porywów. Nawet okropności wielkiej wojny mieściły się w moim rozumieniu spraw tego świata. Jestem umysł ścisły i nie mogę pojąć jak zaświatowe widmo może przebywać pośród nas, chodzić, jeść, był zupełnie realną postacią... Znana anegdotka głosi, że kiedy słynny niedowiarek Wolter znalazł się po śmierci w piekle, rozejrzał się ze zdumieniem dookoła, popatrzył na kotły pełne smoły i diabły z widłami i rzekł: „Jak to? Piekło?!... Ależ to zupełnie sprzeciwia się moim poglądom!” Widzisz oto przed sobą człowieka, który znalazł się w bardzo podobnej sytuacji. W piekle własnego zwątpienia...

–Nadal nie pojmuję do czego pan zmierza.

–Kim pani jest, Stefano?! – zawołał, nie panując nad sobą. – Widmem powstałym z grobu, aby niepokoić ludzi takich, jak ja?! Tamto cudowne dziewczę ze słodko-wickich łąk i głębowickich salonów pochowałem już dawno w swoim sercu. Najpierw, że wybrała innego, potem, że ją źli ludzie zagryźli swoją nienawiścią, zabili... Staralem się zapomnieć o tamtej egzaltowanej, sztubackiej miłości. I oto, kiedy już myślałem, że jestem szczęśliwym człowiekiem, który osiągnął wszystko czego mu potrzeba, wysokie stanowisko, udaną rodzinę i

wewnętrzny spokój... zjawiasz się nagle pani! To właśnie wytrąciło mnie z równowagi i kazało wierzyć w cuda.

Nagłym szarpnięciem rozerwał kołnierzyk, jakby dławiła go niewidzialna dłoń. Stefania zrozumiała, że jeśli nie zapanuje teraz nad sytuacją, może ona mieć dla niej nieobliczalne skutki. Należało natychmiast przerwać potok wyznań Wilhelma i przywołać go do porządku.

–Ależ, panie Wilhelmie – powiedziała chłodno – to nie rzeczywistość zaskoczyła pana czymś niesamowitym, ale po prostu w umyśle pańskim nastąpiło pomieszanie pragnień z realnością. Omamiło pana podobieństwo do tamtej biednej dziewczyny, o której opowiadała mi kiedyś Rita... Nie jesteś pan pierwszym, który się temu dziwi, lecz wiedz, że najbardziej zdumiewa ono mnie samą. Kiedy wzrastałam w naszym rodowym zamku pod Szczecinem, a potem prowadziłam w Łodzi interesy mego brata, ani mi przez myśl nie przeszło, że mogę mieć w tym kraju sobowtóra...

Spojrzała z natężeniem na Wilhelma. Nie zdawał się wcale być przekonany, ani usatysfakcjonowany jej wyjaśnieniami. Przez moment patrzył na nią nieufnie, wreszcie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wydobyl stamtąd dwa kartoniki i położył je na blacie stolika. Stefcia nie mogła opanować dreszczu, który przeszedł przez jej ciało.

–Oto Stefcia Rudecka w chwili największego szczęścia... już jako ukochana Waldemara... Zrobiono tę fotografię na wystawie krajowej przed wojną. A tutaj pani z Ritą... Przecież tak wyglądałaby teraz Stefcia, gdyby dane jej było żyć! Jeszcze raz więc zapytuję panią: kim jesteś?!

Cios, zadany za pomocą fotografii, wymierzony był celnie i Stefania musiała zaalarmować wszystkie władze umysłu, by nie okazać wzruszenia, które byłoby dla dociekliwego Szeligi kolejnym dowodem jej zatajonej tożsamości. Oczywiście pamiętała tę starą fotografię. Tuż zanim ją zrobiono, Waldemar swoim obyczajem zasypał ją kwiatami jak na corso. Aksamitne róże pozaczepiały się na krepie sukni, upadły na szyję i ramiona, inne u jej stóp. Jeden storczyk zawisł na włosach. Stała jak w powodzi. Zdawało jej się, że słyszy

głos ordynata, przebijający przez rozgwar balowej sali... „Kwiatki składają pani hold w moim imieniu...” Wspomnienie było tak żywe, że zachwiało na chwilę całym jestestwem kobiety. Pożałowała, że nie ma tu obok niej ukochanego, że nie przynosi jej kwiatów jak dawniej... Bała się, że zemdleje. Nadludzkim wysiłkiem woli opanował się jednak.

–Więc to jest Stefcia Rudecka? Była istotnie piękna -szepnęła.

Szeliga wparł w nią badawcze spojrzenie. Czuć było, że nie spocznie, dopóki nie dojdzie sedna nekającej go tajemnicy.

–Tak, była piękna, jak pani dzisiaj- powiedział akcentując mocno każdą zgłoskę. – Musisz mi przyznać, Stefanio, że doprawdy trudno wytłumaczyć takie zjawisko w sposób racjonalny...

–A jednak są fenomeny, jakich jeszcze nauka nie wyjaśniła – odparła, uśmiechając się blado. – Dziękuję, w każdym razie, że zechciał pan porównywać mnie do tamtej ślicznotki, wtedy jeszcze tak widomie radosnej... Jest to już samo w sobie komplementem dla dojrzałej kobiety.

–Ależ, proszę nie żartować! Powtarzam, że nie ustępuje jej pani w najmniejszym stopniu! Jest pani ciągle tak olśniewająca, że i dzisiaj gotów byłbym zapomnieć dla pani o wszystkim...

–Nawet o misji dla kraju? – pytała. – Nawet o rodzinie?

Wahał się chwilę i łamał wewnętrznie.

– Nawet! – syknął w końcu przez zaciśnięte zęby.

–Wzrusza mnie ta pańska miłość, rozkwitła niespodziewanie jak dawno zeschy kwiatek ze sztambucha... Gdyby nie fakt, że widząc mnie przywołujesz w pamięci kogoś dawno zmarłego i gdyby nie to, że byłaby szkoda, gdyby Polska utraciła tak wybitnego polityka, a wzorowa rodzina męża i ojca... Gdyby nie to wszystko i jeszcze rzecz najważniejsza... że Kocham innego...

–O któż jest ten inny?! Może znowu Waldemar?! To byłoby doprawdy pyszną dla mnie ironią losu!

Milczał chwilę, odczuwając gorzki ponowny porażki. Miłość do Stefanii, tej dawnej i tej obecnej była najwidoczniej przekleństwem jego życia, chociaż

nie z jej winy. Stało mu się w tej chwili właściwie obojętne czy ta kobieta, którą widział przed sobą jest czy nie jest niegdysiejszą jego wybranką. Wszystkie na nowo odrodzone marzenia obróciły się w popiół, z którego wyszły i miały gorzki smak jabłek Sodomy. Jego dokładnie rozumujący umysł nie poddawał się jednak ciągle.

–Wytłumacz mi, pani, jeszcze jedno. Zjawiasz się w salonach warszawskich i najpierw Melania Barska wychodzi za Jakuba Mandelbauma, czego, jestem tego pewien, bez pani sugestii nigdy by nie uczyniła, nawet przyciśnięta nędzą. Później hrabina Cwilecka po rozmowie z panią wyjeżdża gwałtownie do Argentyny. Zjawiasz się we Lwowie i wspomagasz dosyć jawnie brata nieboszczki Rudeckiej w jego imponujących marzeniach. Wreszcie dzisiaj dorozumiewam się, że kochasz Waldemara... Czyż to nie dziwny ciąg wydarzeń? Jak to wyjaśnisz?

–Wyjaśnić to wszystko można jednym słowem -odrzekła głosem stalowym.

– Słowo to brzmi: przypadek.

–Och, po rozmowie z panią gotów jestem uwierzyć nie tylko w przypadek, ale nawet w magię! – zawołał Szeliga nieco już histerycznie. – Powiadają, że brat twój, baronessa, jest czarnoksiężnikiem! Zaręczam, że stworzył cię w retorcie Fausta, a w każdym razie nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby tak było w istocie.

Zdawał sobie sprawę z niestosowności swego zachowania, ale nie potrafił się już powstrzymać. Powodowało to rozczarowanie, jakiego doznał dzisiejszego wieczoru. Teraz miał już jednak szczerzy zamiar pożegnać się i wyjść, gdy nagle, dość niespodziewanie o tak późnej porze, zabrzączał telefon. Stefania uniosła słuchawkę.

–Proszę wybaczyć, pani baronessa, ale przyjechała właśnie z Warszawy pani hrabina Trestkowa, która nalega, aby pani ją przyjęła – usłyszeli oboje ostry głos recepcjonistki.

Baronessa de Mildi odpowiedziała bez chwili namysłu krótkim:

–Prosić!

–Widzi pan – zwróciła się potem do Wilhelma – oto zjawia się tutaj pańska siostra niczym dcus ex machina w starożytnym teatrze i przerywa śledztwo, któreś pan sobie zamierzył... Rozumiem jego powody, ale jednak było ono dla mnie dosyć przykre i uciążliwe.

–Czy może mi pani wybaczyć? – wymamrotał skonfundowany.

–Zrozumieć znaczy przebaczyć – odrzekła sentencjonalnie. Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Rita Trestkowa, a za nią ktoś jeszcze, kryjący się cieniu.

–Przybywam odwiedzić cię, droga, w tej lwowskiej samotni, chociaż widzę, że inni już mnie uprzedzili – zawołała, ściskając Stefanię i równocześnie zerkając karcąco na brata. – Przywiozłam ci też niespodziankę. Miłą, mam nadzieję...

Uczyniła dość nieokreślony gest w kierunku drzwi i wówczas z mroku korytarza wyłonił się ordynat. Stefcia zmartwiała przez chwilę. Na twarzy jej odbiła się radość zmieszana z wielkim wzruszeniem. Pomyślała w tej chwili, że przeznaczenie pod postacią akurat Rity spełniło jej najtajniejsze pragnienia. Wszak zaledwie kilkanaście minut temu marzyła, aby Waldy był przy niej...

Wyciągnęła ku niemu bezwiednie obie dłonie. On podbiegł zaraz i począł je całować namiętnie. Pozwalała na to bez słowa.

Wilhelm znakami i psyknięciami odwołał siostrę na bok.

–Widziałas, jak tych dwoje patrzyło na siebie? – za-szeptał Ricie na ucho. – Nic tu po mnie... Muszę znowu ustąpić ordynatowi jak kiedyś w Głębowiczach. Ta miłość zwyciężyła czas i nawet śmierć. Wracam do Warszawy.

–Więc zrezygnowałeś z rozwikłania zagadki? – spytała, przypatrując się bratu z ciekawością.

–Waldy rozwiąże ją za mnie lepiej – odparł z gorzką ironią. – Dla mnie przestało to już mieć jakiegokolwiek znaczenie. Życzę dobrej zabawy na rajdzie! Czy ten twój Szczerbiec i jego przyjaciel wezmą w nim udział? – zainteresował się nagle.

–Taki on mój, jak moim był Waldemar, a twoją Stefcia – rzuciła Rita

hardo. – Zresztą, mniejsza z tym... Zapewne stawią się obaj.

–Tak tylko sądzisz, czy masz nadzieję? – zadał on z kolei pytanie, świdrując ją uważnym spojrzeniem.

–Mam nadzieję – westchnęła.

XIII

Straussowski walc płynął potężną falą tonów po rześście wybłyszczonej sali. Kolysał ogromnymi lampionami z artystycznie rzeźbionego szkła, wystrzelającymi z potężnych pni stalowych niczym mlecznoperłowe pąki niezwykłych, egzotycznych kwiatów na cienkich łądygach. Miriady świetlnych drobinek wraz z kaskadą dźwięków spadały na korony strzelistych palm, przedziwnego kształtu kaktusy, wielkie paprocie, drzewka cytrynowe, pomarańczowe i bananowce, wreszcie na całą masę orchidei, irysów, tuberoz, lotosów i róż. Odbijały się też zawieją kolorów w bijących w niebo wodnych pióropuszcach, lub spadały do sadzawek wraz z uroczą szemrzącą kaskadą. W sadzawkach mieniły się złote i purpurowe rybki. Za srebrną kratą usiłowały przekrzyczeć muzykę papugi i rajskie ptaki. Gdzie indziej znowu skakały dwie zwinne małpki – wielka tego miejsca atrakcja. Ktokolwiek się tu znalazł, stawał przez chwilę oszołomiony, sądząc że znalazł się w jakiejś podzwrotnikowej dżungli. Złudzenie było, zaiste, niezwykle.

Trwało jednak chwilę, aby przywrócić zaraz patrzącego rzeczywistości. Wtedy jednak jeszcze bardziej wzrastał podziw dla geniuszu architekta i dekoratora. Wnętrze miało kształt kolisty, a pośród wysoko pnących się roślin urządzono alejki w kształt labiryntu. Jednak nisze z kawiarnianymi stolikami skonstruowano tak przemyślnie, że zasiadający tam mogli nie tylko widzieć się nawzajem, a nawet porozumiewać się między sobą, ale także obserwować krąg tańczących, znajdujący się w samym centrum, poprzez ażurowe kratki szklanych altan. W największej, najbardziej fantastycznej altanie, odlanej na kształt muszli, grała orkiestra. Każdą lożę ozdabiał niewielki posąg, wykonany w brązie. Początkowo myślano o motywach mitologicznych, greckich bóstwach, najadach i faunach, lecz wybitny rzeźbiarz, zaproszony z Krakowa, Stanisław Szukalski, zaproponował tematy z rodzimej historii, co przyjęto z aplauzem. Ozdobiły więc Kryształowy Pawilon postaci wielkich Polaków, tak że każda

altanka mogła nosić czyjeś imię. Zaraz u wejścia rozpoczynała wędrówkę poprzez fascynujący ciąg dziejów naszych „Pieczara Kraka”, z rzeźbą przedstawiającą legendarnego króla w śmiertelnym zwarcu ze smokiem. Dalej stali, między innymi, Piast z aniołami, Bolesław Chrobry z uniesionym Szczerbcem, Kazimierz Wielki z księgą mądrości w dłoniach, Władysław Jagiełło ze skrzyżowanymi krzyżackimi mieczami, Mikołaj Kopernik z cyrklem i astrolabium, Adam Mickiewicz budzony przez skrzydlatego Geniusza, wreszcie Komendant Piłsudski na swojej słynnej Kasztance. Na przecięciu zaś wszystkich osi pawilonu był naturalnej wielkości monument, przedstawiający legionistę depreczającego potrójny łeb tegoż samego smoka, co miało symbolizować zwycięstwo skromnego, szarego, polskiego bohatera nad potęgą trzech państw zaborczych. Legionista miał rysy podobne do rysów Alfreda Rozdolskiego, o co zadbała Stefania. Wnętrze robiło i dlatego jeszcze wrażenie olśniewające, że blask kilkudziesięciu elektrycznych lamp uwydatniały nie tylko fontanny i kaskady, ale także ogromne, kryształowe szyby stokroć zwracające potoki świetlne sali. Przy tym na zewnątrz już z daleka jaśniał pawilon wspaniale, niczym baśniowy pałac, albo kamień jakiś szlachetny, magicznie rozpraszający mroki boru, czy też kwiat paproci, tylko w jedną noc spełniający życzenia... Ten jednak kryształowy wykwit myśli ludzkiej trwać miał' wiecznie. Strzegły go przy tym nie demony leśne i dziwożony, ale zasiadający na iglicy dachu potężny, srebrnopióry orzeł, dźwigający dumnie na głowie koronę Piastów i Jagiellonów. W taki oto sposób ów niezwykle gmach owiewał duch polskości, stawał się świątynią narodowej chwały. Tym bardziej serca rosły wszystkim, którzy uczestniczyli w jego otwarciu, a zwłaszcza miejscowi dumni byli z tak efektownej ozdoby swojego miasta, w której połączyły się w jedno nowoczesna, światowa brawura i wielowiekowy patriotyzm. Podczas ceremonii otwarcia najwięcej zaciekawionych spojrzeń zebrał jednak nie prezydent Mohylewicz, który wystąpił z długą i patetyczną oracją, ani też sam konstruktor, powszechnie przecież znany – wszystkie oczy skupiały się na stojącej skromnie, na uboczu, współuczestniczącej realizacji projektu, jaką była niewątpliwie Stefania baronessa

de Mildi. Najpierw prezydent miasta unosił się nad zaletami ducha, które pozwoliły jej uznać Polskę za drugą ojczyznę. Potem Jerzy Rudecki, poproszony o wypowiedzenie kilku słów, oświadczył:

–Nie potrafię wprawdzie mówić tak pięknie, jak mój poprzednik, ale pragnę tutaj, na tym właśnie miejscu i w owej, tak szczęsnej dla mnie chwili powtórzyć to, co powiedziała mi niedawno moja wybitna protektorka i przyjaciółka, pani baronessa de Mildi. Powiedziała mianowicie: „Polska, jeśli pragnie sobie zdobyć obywatelstwo pośród innych krajów Europy, musi się stać nowoczesnym krajem i społeczeństwem”. Słowa te dodały mi animuszu, wlały w moje, przepelnione niewiarą, serce wiele odwagi i optymizmu. Jeśli więc można było urzeczywistnić mój szalony i kosztowny projekt, jeśli jesteśmy dzisiaj we wnętrzu Kryształowego Pawilonu, zawdzięczamy to głównie wielkiej admiratorce naszej ojczyzny. Czyż nie jest to znamię nowych czasów? Oby mój pawilon stał się pionierską budowlą dla wielu innych i obyśmy uczynili Polskę krajem bogatym, potężnym, a przede wszystkim godnym wyzwania, jakie rzucają nam czasy dzisiejsze!

Zebrał rześiste oklaski, choć niektórzy uśmiechali się tylko z powątpiewaniem. Stefania usłyszała, jak jakiś otyły, purpurowy na twarzy pan zwrócił się do stojącego obok towarzysza:

–Gdyby nie niemieckie pieniądze i fanatyzm inżyniera, nigdy by ten pawilon nie powstał... Utonęłoby wszystko w powodzi gadulstwa i przeszkód biurokratycznych. Tak to u nas zawsze...

–Następnym razem pieniądze damy my – odparł spokojnie drugi pan. – Interwencja baronessy to dobra dla nas nauczka... A ja chciałbym widzieć w naszym mieście i kraju jak najwięcej takich ludzi, jak inżynier Rudecki.

Nie mogła słuchać dalej, gdyż w tejże chwili jej brat powiedział głośno:

–Rzekłem już, że nie potrafię przemawiać, ale może pani baronessa... kilka słów... bardzo proszę.

Zaprosił ją gestem na podium, po chwili wahania zdecydowała się przemówić. Drobnym kroczkiem wplynęła na estradę. Kiedy stanęła jednak w

obliczu tylu słuchających ją ludzi i wpatrzonych w nią, a zwłaszcza tego jednego, jedyne... znowu się lekko zawahała. Wreszcie wyrzekła, głosem, który dławilo wzruszenie:

–Szczęśliwa jestem, że mąż mój został tak godnie uczczony przez wasze piękne miasto. Dumna też jestem z wielkiego konstruktora, który w kilka tygodni potrafił postawić cudo, jakim mogłaby poszczycić się niejedna europejska stolica. Kocham kraj, który zdolny był wydać w najtrudniejszych swoich latach takich bohaterów jak Alfred Rozdolski i takich ludzi pracy, upartej i organicznej, jak inżynier Jerzy Rudecki.

Znowu zerwała się burza oklasków. Stefania, oszołomiona i niemal nieprzytomna ze szczęścia zeszła wraz z innymi z estrady. Otaczały ją twarze przyjazne i mile. Przede wszystkim Waldemar patrząc na nią, zdawał się krzesać iskry oczyma. Rita była czegoś smutna, ale także starała się dostosować do ogólnego tonu. I wreszcie kółko arystokratycznej młodzieży, jutrzejsi uczestnicy rajdu, a wśród nich hrabia Brochwicz z Sarcią, Bohdan i Luda Michorowscy i wielu, wielu innych. Nikt pośród owych „dzieci Słońca”, wśród złotej prawdziwie, a nie pozłacanej, młodzieży nie przejmował się niskim pochodzeniem twórcy pawilonu, wszyscy cisnęli się do inżyniera ze szczerymi gratulacjami. To było już nowe pokolenie, wyzbyte przesądów ojców, ceniące cudze zdolności i możliwości. Jeden z młodych paniczów, którego do tej pory Stefania miała za dosyć sobie pustego bawidamka, zwrócił się do Rudecki ego, zaczerwieniony i nieco zawstydzony:

–Ukończyłem studia politechniczne... Czy zechciałby mnie pan inżynier przyjąć na próbę do swojej pracowni?

Twierdząca odpowiedź inżyniera utonęła w tuszu orkiestry. Prezydent Mohylewicz, stojący wciąż na estradzie, powiedział gromko:

–Czas zacząć bal! Droga baronesso, sądzę, że nie odmówi mi pani pierwszego tańca, tradycyjnego poloneza?

Stefcia skinęła głową... Lecz to wszystko było przed godziną, a teraz rytm straussowskiego walca unosił ją wraz z Waldemarem. Oboje tańczyli tak lekko,

że wprost frunęli nad marmurową posadzką. Mocna dłoń Waldemara, która zdawała się przepalać granatowy aksamit jej sukni, obejmowała ściśle talię ukochanej. Bo też Stefania była prawdziwą królową balu w swojej klasycznej robc de princesse i biczach pereł na piersiach. Byli w tym tańcu tylko dla siebie, istnieli tylko oni, cały świat zamienił się w rojowisko świateł i barw, mijanych obojętnie w zawrotnym wirze. Tańczyli w zapamiętaniu radosnym jak niegdyś na owym pamiętnym balu, kiedy to Stefania zaćmiła urodą i wdziękiem panny z arystokracji. Waldemar uległ złudzeniu, że tamta chwila wróciła, że znowu trzyma w ramionach tamtą dawną dziewczeczkę, największą miłość swojego życia... Wydało mu się, że znaleźli się oboje gdzieś poza czasem i przestrzenią, w jakimś innym, lepszym świecie, gdzie spełniają się wszystkie najtajniejsze marzenia. I dla Stefanii ten wieczór był chwilą największego triumfu, oczekiwanego i wymodlonego przez tyle lat! Żar oczu obojga przenikał się nawzajem, tworząc wokół niech płomienną aureolę. Wyglądali jak para aniołów na ogromnym witrażu.

Zwrócono na nich uwagę. Pozostałe pary przestały tańczyć i utworzyły wokół nich krąg chciwie patrzących. To już nie był zwykły walc na trzy pas – to była prawdziwa symfonia uczuć, jakieś wielkie i święte misterium!

Zwłaszcza Rita i Lucia przyglądały się ordynatowi i baronessie uważnie. Obie myślały nieco odmiennie, ale w podobnym duchu. „A więc odnalazłeś, Waldy, na powrót kobietę, która cię uczyni szczęśliwą -dumała Rita. – Twoja wielka miłość sprawiła, że wstała dla ciebie z grobu pod postacią innej. I czemuż Bóg daje jednym nagrodę szczęścia, której innym odmawia” – westchnęła smętnie, siebie mając na myśli. Oczekiwała wszystkimi natężonymi do bólu zmysłami pojawienia się na uroczystości księcia Pawła, ten jednak nie przybył. Rita była boleśnie zawiedziona. Znalazła się na skraju przepaści najczarniejszej rozpacz. Lucia myślała tymczasem: „Biedny mój Waldy, znalazłeś więc wreszcie kobietę, która wypełni twoje puste życie, przepelnione dotąd tylko gorzkimi wspomnieniami i nostalgią. Ona zastąpi ci tamtą, jeśli jest przy tym tak jak Stefcia szlachetna i dobra! Bądź szczęśliwy, tak jak ja jestem teraz. Żyj

pośród nas i twórz z nami nowe życie!" Przytuliła się mocniej do Bohdana, który popatrzał na nią z czułością bezmierną, jaka zawsze towarzyszyła ich pozasłownym porozumieniom. Związek ich promieniał szczęściem ludzi dla siebie stworzonych. Do tej pory zajęci byli wprawdzie odbudową majątku, unowocześnianiem go oraz licznymi zajęciami społecznymi, ale w tymże momencie Lucia poczuła silne pragnienie odnalezienia w sobie radości macierzyństwa...

Bohdan musiał myśleć podobnie, gdyż szepnął coś do zaróżowionego uszka małżonki, wywołując rumieńce na jej policzkach i wesoły uśmiech igrający na wargach jak swawolny Kupido.

Najcudowniejszy nawet walc musiał się przecież skończyć. Zakochani zatrzymali się, stanęli -oszolomieni, wstrząśnięci, nie słyszący owacji innych danserów. Oboje nie byli w stanie wydusić jednego słowa. Po chwili, niemal instynktownie, odeszli pomiędzy podzwrotnikowe gąszcze. Skryci płaszczem zieleni, mogli teraz rozmawiać swobodnie, ale nadal byli niepewni, spłoszeni, jak para niewiniątek przeżywających pierwsze, przed-wiosenne wzloty. Milczeli długo, bardzo długo, patrzyli tylko na siebie głęboko, trzymając się ciągle za ręce. Wreszcie Waldemar wydusił z siebie:

-Czy oddasz mi pani wszystkie następne tańce? Aż do zarannego mazura? A potem, czy będę miał szczęście porwać cię do mego zamku i pokazać ci pamiątki po najdroższej mi... przed tobą... istocie na Ziemi? Wiem, że umysł twój szlachetny nie sprzeciwi się temu.

-Och, tak, przyjmuję zaproszenie - szepnęły ledwie dosłyszalnie jej pobladle z nagłą usteczka. - Wszystko, co dotyczy ciebie, Waldy, stało się dla mnie najwyższą wartością. Pojadę... jeśli tymczasem nie porwie mnie jakieś inne tornado...

-Nie stanie się tak nigdy -odrzekł z mocą - bo ja na to nie pozwolę.

Stefania uczuła gwałtowną potrzebę ochłonięcia. Zbyt wiele oczu patrzyło tutaj na nich. A ona zaczęła się nagle bać przesądnie złych i zawistnych spojrzeń...

–Proszę mnie teraz zostawić na chwilę samą – rzekła błagalnie. – Ten walc był tak upajający, jakbyśmy włożyli w niego całe swoje życie...

–A czyż tak właśnie nie było?! – spytał gwałtownie ordynat. – Zgodnie z życzeniem pani opuszczam ją, lecz myślę, że czujesz jak bardzo niechętnie to czynię...

–O, tak! – odparła z uczuciem. – A jednak proszę pana o to. Muszę odpocząć.

–Do prędkiego zobaczenia zatem.

Skłonił się głęboko i odszedł w głąb sali. Patrzała za nim długo, czując nagły żal, że skłoniła ukochanego mężczyznę do odejścia. Nagle wpiły się w jej ramię długie, wąskie palce. Drgnęła i odwróciła się, przestraszona. Natychmiast jednak uspokoiła się. To była tylko Rita Trestkowa, wyraźnie czymś podrażniona i zdenerwowana. Zwróciła się do Stefanii tonem spiskowca:

–Nareszcie znalazłam odpowiednią chwilę, ordynat przecież nie odstępuje cię ani na krok. Proszę cię, poświęć mi chwilę uwagi. Zdecydowałam się właśnie dzisiejszej nocy, która będzie (czuję to) brzemienna w daleko idące skutki, zwierzyć ci się z czegoś, kochana Stefanio. Tylko ty jedna możesz mnie wysłuchać. Proszę cię, nie odmawiaj...

To mówiąc pociągnęła za sobą przyjaciółkę do znajdującej się w odległym końcu sali, najbardziej omroczonej gęstwiny „Groty Wandy”, którą ozdabiał posążek nieszczęśliwej królowny w zbroi z boginką wiślaną u stóp.

Ponad przeźrocza kopułą pawilonu poczęły właśnie wytryskiwać wielobarwne fontanny i pióropusze fajerwerków, świetniejsze jeszcze niż te na sali, tylko bardziej nietrwale. Biła północ. Oczarowani goście podbiegli do ścian, a nawet niektórzy do parku, aby podziwiać widowisko. Dwie kobiety mogły więc rozmawiać spokojnie, pewne, że nie będą przez nikogo podsłuchiwane ani niepokozone. Ordynat rozmawiał tymczasem z prezydentem miasta i Jurem Rudeckim.

–Zaiste nie sądziłem, że za mojej kadencji nastąpi tak wspaniały sukces, którym pochlubić się może całe miasto – prawil pan Mohylewicz. – Nasz gród

prastary, ty-lekroć krwią polską oblany. Wszakże jeszcze niedawno musieliśmy walczyć tutaj z Rusinami o każdy niemal dom, każdą ulicę.. A teraz, proszę, stanął nasz Kryształowy Pawilon jakby z niczego, jak z baśni o Feniksie, powstałym z popiołów. Tak samo, jak nasza Najjaśniejsza Rzeczpospolita!

Otarł łzę, gdyż miał zwyczaj wzruszać się swymi pompatycznymi mowami. Jur, jako człowiek praktyczny, skrzywił się na to, a Michorowski nawet uśmiechnął się ironicznie, ale w sposób nieznaczny. „«Nasz Kryształowy Pawilon»! – pomyślał młody inżynier. – jeszcze trochę, a sobie wyłącznie przypisze całą zasługę! Tymczasem wybitną zaletą tego pustego gaduły było tylko jedno... że nie przeszkadzał!" Ordynat jakby czytał w jego myślach, albowiem odezwał się poważnym głosem:

–Słyszałem jednak, że miasto czyniło niejaki trudności panu Rudeckiemu?

–Ależ, broń Boże – stropił się dygnitarz. – Któż rozpuszcza takie pogłoski?! Owszem, były pewne kłopoty finansowe, które tak szczęśliwie rozwiała hojna baronessa de Mildi, a przy tym mu, lwowiacy, jesteśmy z natury konserwatywni i z trudem przyjmujemy każdą nowość...

–Czy również proste chodniki? – spytał ostro Waldemar. – Obserwuję działalność pana Jerzego od dawna i wiem, że już jako student dał dowód swoich wybitnych zdolności. Toteż, gdyby zwrócił się do mnie w swoich kłopotach, dopomógłbym mu bez chwili wahania. Mam zresztą, nawiasem mówiąc, małą pretensję do niego, że tego nie uczynił.

Jur spuścił oczy, nieco zażenowany słowami magnata.

–Nie śmiałem już o nic prosić – odrzekł z zająknięciem. – Po tylu dobrodziejstwach, jakie pan mi wyświadczył...

–Och, jak widać zasłużenie! – przerwał mu Michorowski. patrząc z dumą na brata Stefci.

Prezydent miasta nie wiedział, co ma czynić wobec jednolitego frontu, który tak niespodziewanie obrócił się przeciw niemu. Nie miał dotychczas pojęcia, że ordynat nie tylko znał Jerzego Rudeckiego, ale także wspierał jego naukę i pierwsze działania. Pragnął jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

–Mamy więc oto jaskrawy dowód, że prawdziwie wartościowa jednostka zawsze się przebiję... – wysapał w końcu.

–I owszem – odparł sucho Waldemar. – Wszelako pod warunkiem, że zazdrośni bądź nieudolni przestaną rzucać takiemu człowiekowi kłody pod nogi, przy których usuwaniu może stracić zarówno całą energię, jak i chęci do życia. Nie brak zaś w naszym kraju bezinteresownych zazdrośników i nieudolnych miernot. Oto prawdziwy powód, dlaczego wiele cennych inicjatyw tonie bezpowrotnie niczym wessane w trzęsawisko. Z mielizny, na której utknął Mohylewicz, blednący i czerwieniejący na przemian, a przy tym nie wiedzący zupełnie, co odpowiedzieć na bezwzględne dictum arystokraty, wyciągnęła go niespodziewanie inżynierowa Rudecka, która podeszła do nich razem z panią prezydentową.

–Jakież cudowne fajerwerki – wołała rozbawiona Tosia. – Chodźcie, panowie, zobaczyć z bliska i rozerwać się trochę!... Widzę przecież, że stoicie tutaj zasumowani i toczycie swoje śmiertelnie nudne rozmowy, zamiast bawić damy. To bal, a nie jedna z waszych narad czy konferencji – paplała wesoło i bezmyślnie.

–Jestem pewien, że pan prezydent chętnie dotrzymania wam towarzystwa – odpowiedział Jur. – Ja natomiast, wybacz Tosiu, chciałbym zamienić jeszcze parę słów z moim dobroczyńcą, panem ordynatem Michorowskim.

–Ależ oczywiście, przepraszam – wycofała się szybko jego żona, nieco speszona stalowym wzrokiem Rudeckiego. – Panie prezydencie – zwróciła się do Mohylewicza – pan, mam nadzieję, nam nie odmówi?

–A toż pozwólcie nam, messieurs, porwać wreszcie Emila – ozwała się prezydentowa słynnym w całym mieście basem.

–Ależ oczywiście, wszystko dla pań – odrzekł żartobliwie Waldemar z ukłonem. – To była bardzo interesująca rozmowa- rzucił dygnitarzowi półgłosem.

Obaj wiedzieli doskonale, że w tajemnym szyfrze wszystkich dyplomacji na świecie – z wyjątkiem może sowieckiej – znaczyło to: „Ta nasza rozmowa

była ostatnią". Nim całkowicie zaskoczony Mohylewicz zdołał wybelkotać jakąkolwiek odpowiedź, obie panie porwały go za ręce i uwiodły w rozlewające się coraz szerzej, spienione niczym najlepszy szampan wiry zabawy.

Dwaj mężczyźni spoglądali za nim z niesmakiem. Dłuższą chwilę milczenia przerwał nareszcie Jur:

–Poszedł oglądać fajerwerki! – wybuchnął. – Jakież to charakterystyczne! Ma tylko zrozumienie dla rzeczy błyskotliwych, ale na krótki dystans. Ach, jakże długo jeszcze będziemy cierpieć w naszym życiu publicznym podobnych panów!

–Odpowiedź na to pytanie tkwi w słowach baronessy de Mildi – odpowiedział ordynat. – Dopóki nie staniemy się krajem nowoczesnym, dopóki w naszym życiu politycznym będą więcej ważyć ozdobne mowy i sztuczne ognie niż uczciwa, rzetelna praca. Lecz nie martw się, Jur-dodał z czułością niemal ojcowską.-We mnie zawsze znajdziesz pomocnego ci opiekuna. Jest w Polsce dosyć ludzi rozsądnych, aby zagłuszyć wrzaski ciemnoty.

–Oby tak było w istocie – odpowiedział inżynier. – Dziwię się, swoją drogą, że właśnie pan, człowiek tak rozumny, ze wszech miar godny, nie splamiony nigdy żadną podłością, że właśnie pan unika życia publicznego i tkwi beczynnie w swoim rodowym zamczysku. Rozumiem przyczyny, są one mi doskonale znane, ale... minęło wszak tyle lat od śmierci naszej kochanej Stefci...

Ordynat uśmiechnął się wyrozumiale. Był dzisiaj w niezwykle dobrym nastroju. Jego dotychczasowe rozdarcie duchowe zniknęło, rana się zasklepiła, przynajmniej powierzchownie. I on czuł na sobie ożywczy powiew, a co za tym idzie także wewnętrzny przypływ energii.

–Zarzucasz mi, młody człowieku beczynność i zapewne masz rację, jeśli beczynnością można nazwać wytężoną pracę na ziemi, aby każdego roku obrodziła nowymi plonami. Lecz z Luci i Bohdana wyrosli tymczasem wcale tędy gospodarze. Nie potrzebują mnie już. Powiedzmy także, że polityka to zbyt mętna woda, jak na mój prosty umysł ziemianina, abym chciał w niej złowić cokolwiek dla siebie. Myślę wciąż jednak o jakiejś wielkiej inicjatywie dla kraju,

która mogłaby zdobyć szerokie poparcie. Może należałoby poprzeć kulejący obecnie krajowy przemysł? Większość ziemiaństwa nie pojmuje jego znaczenia dla naszego dalszego rozwoju. Mówią: i po cóż świsty fabryk mają zagłuszać śpiew skowronka, tak jak to się dzieje w Łodzi? Ja jednak, jak zwykle, chcę być wśród mojej sfery czarną owcą. Sądzę, że mogliby dopomóc mi w mojej działalności obaj Mandelbaumowie, starszy i młodszy, a także Steffi... wolę ją nazywać Stefanią... Nie mogę jakoś dopuścić do swojej świadomości, że ta dama jest Niemką. Sądzę, w każdym razie, że ta trójka zna się lepiej na przemyśle niż ja.

–O, tak, pani... Stefania to wyjątkowa kobieta –odparł Jerzy z dziwnym jakimś uśmiechem, co nie uszło uwagi ordynata.

–A co pan wie bliższego o baronessie de Mildi?! – zapytał nagle znienacka.

Rudecki zmieszal się. Wystraszył się, że być może jakimś nieopatrzonym słowem czy gestem zdradził, że wie o Stefanii więcej niż wiedzą wszyscy. Był zmartwiony jak żak przyłapany na psocie.

–Wiem niewiele... – wyjąkał. – Tyle, że jest bogatą i nieco ekscentryczną wdową...

Waldemar spostrzegł to zaskoczenie i pomieszanie, ale wytłumaczył je sobie całkiem opacznie – na szczęście dla Jerzego. „A może ten smarkacz podkochuje się w baronessie? – pomyślał. – Byłoby to całkiem naturalne...” Powiedział więc pojednawczo:

–Proszę mi wybaczyć, Jur. Jestem dzisiejszego wieczoru jakoś dziwnie rozstrojony...

W tym momencie zauważył, że hrabia Brochwicz daje mu jakieś znaki, jakby go chciał przyzwać do siebie. Przeprosił zatem swego zaniepokojonego rozmówcę i podszedł do przyjaciela. Tymczasem w „Grocie Wandy” nieszczęśliwa Rita lkała na ramieniu swej przyjaciółki.

–Nie wiem już, co począć... Kocham księcia Pawła szalenie, lecz on mnie odtrącił... Przed swoim wyjazdem przysłał wykrętny list, o którym teraz myślę, że jest łagodną formułą zerwania... Nigdy jeszcze nie czułam się tak

upokorzona! Nawet kiedy Waldy... kiedy ordynat Michorowski wybrał zamiast mnie twoją imienniczkę, mogłam to zrozumieć i nawet szczerze pokochać rywalkę, gdyż pojęłam, że jest tego godna... teraz jednak jestem ślepa. Z kim mam walczyć?! I jaką bronią?! Nie wiem, nic nie wiem... Wołam rozpaczliwie w przestrzeń, a odpowiada mi głuche milczenie. Liczyłam, że Pawełek zjawi się na tym balu i wyjaśni wszystko, ale, jak widzisz, nadal go tutaj nie ma... Przeczuję, że twój brat i ten podły Szczerbiec wciągnęli go w jakąś intrygę...

–No, kto kogo w co wciągnął, tego jeszcze, właściwie mówiąc, nie wiemy – zauważyła przytomnie Stefania. – Mój brat to dziwny człowiek... Tyle samo w nim zła, co i dobra. Lubuje się we wszelkich niezwykłościach, bez względu na ich wartość moralną... jednak o jego ostatnich działaniach nie miałam żadnych wiadomości, toteż nie umiem ci być pomocną. Czy powiedziałaś swojemu bratu, lub komukolwiek, na przykład policji, że zastałaś Szczerbca w garsonierze Ostalskiego owej fatalnej nocy, kiedy napadnięto na willę ministra?

–Ależ nie!... – spłoszyła się Rita. – Tobie pierwszej! Jakżebym mogła opowiadać takie rzeczy Wilhelmowi czy tym bardziej obcym ludziom! Zaraz by się zaczęły dociekania, pytania i mój stosunek z księciem... tego bym nie przeżyła! Przy tym Pawełek prosił mnie o to tak sugestywnie, tłumaczył wszystko przekonująco. Czyż mogłabym wtedy nie dać mu wiary?! Uważasz, że powinnam była zdradzić ten fakt? I dlaczego wydaje ci się taki ważny?

–Być może w tamtej dziwnej wizycie tkwi klucz do rozwiązania zagadki – wyjaśniła Stefania. – Czy kiedy wbiegłaś do salonu księcia Pawła, Aleksander trzymał może coś w dłoniach?

–Tak – odpowiedziała Trestkowa, spoglądając na przyjaciółkę z coraz większym zdziwieniem. – Dużą, zalakowaną kopertę.

–Wspominałaś też, że z jego mieszkania wyszli jacyś ludzie?

–Owszem, dosyć pospolicu. Nie miałam jednak czasu się dziwić, co też mogą robić w takim domu... Przypomniałam sobie teraz, że jeden z nich dźwigał aparat fotograficzny.

–To bardzo ciekawe – powiedziała baronessa wieloznacznie. – Księżę

Aleksander miał zawieźć ważną przesyłkę do sztabu, prawda?

–Tak... Ale jaki to ma związek?!

I nagle Rita sama zrozumiała. Pociemniało jej w oczach... Poczula się podobnie, jak niegdyś w Paryżu na szczycie wieży Eiffela, gdzie doznała zawrotu głowy i spadłaby niezawodnie, gdyby jej wówczas Trestka nie pochwycił w ramiona. Jakże jej teraz brakowało czyjego-kolwiek silnego ramienia!

–Więc sądzisz, Steffi, że ksiązę Paweł jest szpiegiem?! – wionęła w ucho tamtej zduszonym szeptem. – I że kieruje nimi twój brat?!

Baronessa de Mildi nadal zachowywała niezwykle spokoj, choć gdyby Rita przyjrzała się jej uważniej, spostrzegłaby zapewne, że drży na całym ciele i opanowuje się z trudem. Ale dla wstrząśniętej hrabiny baronessa była niewzruszonym posągim, chłodnym jak stojąca nieopodal figura Wandy.

–Sądzę tylko to, co mogę wywnioskować z podanych mi przez ciebie faktów – tłumaczyła jej łagodnie baronessa de Mildi. – Jestem pewna, że policja doszła już do tego, że napad na ministra Szeligę był tylko pozorowany i miał odwrócić uwagę...

Nagle podniosła dłoń do ust i krzyknęła z najwyższym przerażeniem... Wydało jej się bowiem, że za kryształową szybą zobaczyła na mgnienie oka wylaniającą się z mroków w świetle kolejnej wybuchającej racy rozjaśnioną cynicznym uśmiechem diabelską twarz Johanna de Mildi... Była to maleńka chwilka, a jednak wystarczyła aby wystraszyć kobietę śmiertelnie.

–Co tobie?! – krzyknęła Rita, równie wystraszona.

–Nic, nic – kłamała Stefania uspokajająco. – Miałam przywidzenie... Doprawdy, nic wielkiego.

–Czy więc sądzisz, że powinnam opowiedzieć o naszych podejrzeniach Wilhelmowi? Albo może temu, który prowadzi śledztwo, to jest komisarzowi Rózdze -spytała niecierpliwie Rita.

–Zaufaj mi i pozostaw sprawę w moich rękach – odparła baronessa po głębokim namyśle. – Przeszłaś już wystarczająco dużo i należy ci się trochę odpoczynku.

–Co więc mam czynić? Błagam cię, doradź mi coś, Stefanio, bo zupełnie straciłam głowę!

–Moja rada może zabrzmieć dla ciebie nieco okrutnie, zwłaszcza w stanie nerwów, w jakim się obecnie znajdujesz. Jedyne, co mogę ci poradzić zupełnie szczerze, to abyś wróciła do męża i starała się całkowicie zapomnieć o księciu Pawle.

–Zapomnieć o... Pawelku?! – przerwała jej gwałtownie Trestkowa. – To niemożliwe! Zawsze go będę kochała, bez względu na to, kim jest...

–Tak ci się zdaje teraz, ale z czasem zapomnisz i twoje życie odmieni się zupełnie, a tamto uczucie wyda ci się po latach czymś dziwnym i dla ciebie samej niepojętym.

–No cóż, być może masz rację – rzekła Rita. – Skoro nawet Waldy mógł zapomnieć o swojej pierwszej, prawdziwej miłości...

Stefania zbyła tę uwagę milczeniem.

–Jest jednak jeszcze jedna rzecz, której ci nie zwierzyłam – powiedziała hrabina nie doczekawszy się odpowiedzi. – Być może teraz odsuniesz się ode mnie z odrazą... Spodziewam się dziecka! I wiem na pewno, że nie jest ono Trestki!!!

Znowu zanosła się płaczem. Baronessa cierpliwie przeczekwała nerwowy atak, gładząc przyjaciółkę po ramieniu. Kiedy wreszcie Rita uspokoiła się nieco, odezwała się z niezmaconym spokojem:

–Dla niektórych ludzi szczęściem jest być oszukiwanym i nie wiedzieć o niczym. Ten świat byłby znacznie bardziej ponury, gdyby wszyscy zdradzeni mężowie dochodzili swych praw... Hrabia Trestka to człowiek dobry i szlachetny, przebaczyłby ci, gdyby nawet się o wszystkim dowiedział. Po cóż masz jednak ranić niepotrzebne jego i siebie? Lepiej obdarz go radością, która wynagrodzi twoją winę... Daj mu potomka.

–Ale czyż ja mogę tak żyć?! – wołała rozpaczliwie Rita. – Żal mi Edwarda, ale żyć z nim dalej w oszustwie nie umiem!... Nie potrafię!

Niespodziewane zdarzenie przerwało nagle rozmowę dwóch przyjaciółek.

Brochwicz miał istotne powody, aby odwołać Waldemara. Oto bowiem kilka chwil wcześniej spotkał wchodzącego do Kryształowego Pawilonu hrabiego Trestkę, który sprawiał wrażenie, jakby znajdował się w jakimś transie – mamrotał coś do siebie pod nosem i toczył wokół błędnym spojrzeniem. Hrabia Jerzy, nieco zaniepokojony stanem przyjaciela postanowił jednak przywitać go, jak gdyby nic nie zauważył.

–Witaj, stary! Cóż cię sprowadza w nasze strony? Czyżbyś ze swojego wspaniałego ogiera postanowił jutro przesiąść się na konie mechaniczne? Nie wiedziałem, że masz zamiar wziąć udział w rajdzie!

Trestka przyglądał mu się dłuższą chwilę, jakby usiłując rozpoznać swego rozmówcę. W końcu na jego wąskie wargi wypełził dość sztuczny uśmiech. Poprawił swoim charakterystycznym ruchem trzęsące się na czubku nosa binokle i ociężale wyciągnął drżącą, spotniałą dłoń.

–Witaj, Jerzy – powiedział jakimś nieswoim, drewnianym głosem. – Czy nie widziałeś tu Ritki? Muszę z nią natychmiast porozmawiać.

–Rita? – zastanawiał się chwilę Brochwicz. – Zdaje się, że zniknęła gdzieś z panią Stefanią. Zapewne obie poczuły bożą wolę do babskiej pogawędki. Pewnie więc udały się do „Groty Wandy”, boć to miejsce najbardziej odpowiednie. To tam...

Wskazał Trestce kierunek. Mąż Rity nadal sprawiał wrażenie nieobecnego duchem.

–Więc mówisz, że poszły do jakiejś Wandy?... Dziękuję ci. Powiedziano mi w Warszawie, że Ritka tu przyjechała... -dodał jakby na usprawiedliwienie.

Najwyraźniej zapominając w jednej chwili o rozmówcy ruszył w kierunku altany, cały czas poprawiając binokle i mrużąc coś niedosłyszalnym szeptem. Brochwicz był jego zachowaniem wstrząśnięty. Nigdy jeszcze nie widział pogodnego zazwyczaj Trestki w tak fatalnym stanie. Toteż kiedy udało mu się przywołać do siebie ordynata, zaraz zaczął wyjaśniać swoje zachowanie półgłosem drżącym z podniecenia:

–Coś dziwnego stało się z Trestką... Przyjechał dopiero co i ma minę,

jakby ujrzał upiora. Mówił też jakoś nieskładnie. Wybacz, Waldy, że cię w to angażuję, lecz boję się, żeby nie wybuchł jakiś skandal. Mogłoby mieć to fatalny wpływ na jutrzejszy... a właściwie dzisiejszy... rajd. Proszę cię, chodźmy za nim. Ciebie zawsze szanował, więc w razie czego usłucha cię mimo wzburzenia...

–Lecz, jak sądzisz, co mogło go do tego stopnia wytrącić z równowagi? – spytał zdumiony Michorowski.

–Trudno określić... ale skoro domagał się widzenia z żoną, musi to mieć jakiś związek...

W tym samym czasie Trestka dotarł do altany, w której siedziały obie panie. Rita, która właśnie próbowała się powstrzymać od dalszych spazmów, uspokajana serdecznie przez mądrą baronessę, na widok zjawiającego się tak niespodziewanie małżonka popadła jakby w kataleptyczne osłupienie. Nie była w stanie powiedzieć ani słowa czy też wykonać jakikolwiek gest. Stefania, przeciwnie, powitała zjawienie się hrabiego jako szczęśliwe zrządzenie losu. Jak się zresztą okazało po chwili nie było ono zupełnie przypadkowe.

–Witam pana, hrabio -powiedziała baronessa de Mildi. – Zjawiasz się pan tutaj jak na zawołanie... Właśnie rozmawiałyśmy o panu.

–Bon soir, madame la baronessc -odrzekł machinalnie Trestka, wbijając równocześnie wzrok w skamieniałą małżonkę. – Vraiment? Panie o mnie mówiły? To bardzo ciekawe...

–Zapewne chciałby pan porozmawiać z żoną bez zbędnych świadków, a zatem... – powiedziała taktownie Stefania i powstała z krzesła.

–Nie! – krzyknęła histerycznie Rita, odzyskując mowę i zdolność ruchu (chwyciła nawet przyjaciółkę za rękę). – Błagam cię, zostań... Przed panią baronessa nie musimy mieć żadnych tajemnic. Proszę, Edwardzie, mów śmiało.

–Widzę więc, że muszę zaufać pani dyskrecji, co zresztą czynię z wiarą i ufnością – westchnął hrabia i opadł ciężko na pierwsze z brzegu krzeselko.

–Więc cóż cię tutaj sprowadza? – spytała Rita, mocno zirytowana.

Trestka, po dość długim poprawianiu szkieł, usadawianiu się na krześle i znaczącym pochrząkiwaniu, rozpoczął w końcu przemowę.

–Otóż, pozwoliłem sobie niepokoić tutaj ciebie, ponieważ... ponieważ zaskoczył mnie nagły twój wyjazd z Warszawy, a przy tym... a przy tym otrzymałem podły anonim, dotyczący mnie i pani.

Skończywszy, pobladł śmiertelnie. Rita zrozumiała, że katastrofa, ku której sama przecież od dłuższego czasu zmierzała, dokonała się wreszcie. Nie umiałaby jednak w tej chwili odpowiedzieć samej sobie, czy odczuwa z tego powodu odprężenie, czy też, przeciwnie, bardziej ją to jeszcze pograża.

–„Pani”? – uchwyciła się ostatniego słowa. – Jakież chłodne dotknięcie... I cóż było w owym liście, że mnie „pan” zaczął tak traktować?!

Jej mąż jeszcze bardziej się skonfundował, zakaszlał i zerknął niepewnie na baronesę, która słuchała uważnie, nie okazując jednak, jakie wrażenie wywołuje na niej ta rozmowa.

–Ten podły paszkwil – wypalił w końcu – opowiada o pani romansie z księciem Pawłem, a przy tym szydzi ze mnie i piętnuje mnie jako ślepego na wszystko rogacza... Zdaje się, że ktoś pragnie sprowokować mnie do pojedynku z tym panem. W pierwszym porywie chciałem tak uczynić, to jest wyzwać owego młokosa, jednakże w domu jego powiedziano mi, że wyjechał na rajd do Lwowa... Nie mogłem oczywiście, nie skojarzyć tych dwóch wyjazdów, toteż... dlatego... jestem tutaj – skończył i rozejrzał się wokół bezradnie.

Rita spojrzała na Stefanię wzrokiem ściganej przez myśliwców łani, jakby spodziewając się, że baronessa przyjdzie jej z pomocą. Tak się też stało. –Jak pan widzi, hrabio – odezwała się głosem niskim, miarowym – książe Paweł nie pojawił się dotąd we Lwowie, co już samo w sobie świadczy, że autor anonimu jest, jak to zwykle bywa, kłamcą i oszustem, pragnącym uczynić wasz dom piekłem...

Trestka począł kiwać głową, jakby tylko czekał na taką interpretację, na jakiegokolwiek, możliwe przez niego do przyjęcia objaśnienie. To jednak sprawiło, że Rita ostatecznie straciła panowanie nad sobą.

–Nie, dosyć tego! – krzyknęła, miotając się w pasji. – Doceniam, Stefano, twoje dobre chęci, lecz nie mogę żyć dłużej w piekle hipokryzji. Czy ma pan ten

list?! – zwróciła się do męża. – Chciałabym go przeczytać...

–Niestety... Parzył mi dłonie... Spaliłem go.

–To wielka szkoda! Ciekawabym była charakteru pisma... Bez względu na to, jakie kłamstwa zawierał, przynajmniej w jednym jego autor nie oszukiwał. Kocham księcia Pawła i nic już tego nie zmieni! A z panem żyć nie chcę!... Nie potrafię!... Nie mogę!!!

–Rito! – zawołała zatrwożona Stefania. – Mówisz rzeczy, których naprawdę nie myślisz! Będziesz później tego żałować!

Ale Rita już nie słuchała nikogo. Ukryła twarzyczkę w dłoniach i powtarzała bez przerwy:

–Nienawidzę pana!... Nienawidzę!

Teraz Trestka był jak uderzony zdradzieckim sztyletem w plecy. Nie mógł pojąć, jak mogło dojść do czegoś takiego. Spodziewał się raczej wszystkiego innego, niż wybuchu nieokiełznanej furii, ze strony zawsze, zdawałoby się, „dobrej i wesołej” Rity. Patrzył na żonę, jakby ujrzał ją po raz pierwszy w życiu.

–Nienawidzisz mnie?! – jęknął zdruzgotany. – I za cóż to? Cóż złego ci uczyniłem?! Staralem się zawsze ciebie zrozumieć, ale teraz... to przechodzi ludzkie pojęcie! Byłem gotów wszystko ci wybaczyć!

–Nie potrzebuję twojego przebaczenia! – krzyczała w zapamiętaniu.

Stefania była całkowicie zdezorientowana. Nie wiedziała zupełnie, jak postąpić w tak trudnej sytuacji. Szczęściem nadeszło wybawienie w postaci Michorowskiego i Brochwicza, którzy byli mocno zaintrygowani, usłyszeli bowiem już wcześniej podniesione głosy, dochodzące z altany.

–Panie hrabio – zwróciła się Stefania do Brochwicza – proszę odwieźć Ritę do hotelu... Niech się Sarcia nią zajmie. Ja zresztą także wkrótce przyjadę.

Hrabia Jerzy, jako prawdziwy gentleman postanowił spełnić życzenie baronessy o nic nie pytając.

–Tak, naturalnie – bąknął niepewnie. – Właśnie mieliśmy wychodzić... Pozwolisz, Rito, że ci usłużę ramieniem...

Nieprzytomna, zapłakana kobieta dała się niemal bezwolnie wyprowadzić z pawilonu.

–A pan – szepnęła baronessa do ordynata – niech pójdzie z Trestką do bufetu na męską wódkę. Widzi pan przecież, że biedaczek do reszty stracił rezon.

–Więc nie zatańczymy już więcej tej nocy? – spytał z głębokim żalem Waldemar.

Stefania uśmiechnęła się tajemniczo.

–Zwykle dotrzymuję obietnic... lecz dzisiaj to niemożliwe. Czy będzie pan na otwarciu rajdu?

–O, tak! Naturalnie! Któż nie chciałby ujrzeć pani w słynnym, zielonym bugatti...

–Zatem do zobaczenia wkrótce...

Następny dzień powitał automobilistów ulewnym deszczem i gwałtownym halnym, który przywiał od Tatr. Dokuczliwe drabinki wody bębniły po szybach i dachach gotowych do startu packardów, buicków, rolls-royce'ów i innych wspaniałych maszyn, które w tej ulewie i targającym wszystkim wicherze wyglądały jakoś żałośnie i ponuro. Przy tym niezupełnie wyspani po balu uczestnicy rajdu sarkali, na nie dające się nawet przewidzieć fatalne warunki jazdy, które mogły zaowocować niebezpiecznymi kraksami. Niepocieszeni byli miejscy notable, a zwłaszcza prezydent Mohylewicz, któremu nagle pogorszenie się pogody uniemożliwiło pełne zadowolenie z uczestnictwa w kolejnej efektownej uroczystości, za czym przepadał. Wszystko jakby się sprzysięgło, aby zepsuć ogólny nastrój, jednakże młodzież starała się nadrabiać miną i nie poddawać się złowróbnym znakom na niebie i ziemi. Odjazd spod Góry Zamkowej nie miał zbyt wielkiej publiczności – przybyło zaledwie kilkudziesięciu gapiów opatulonych w płaszcze i pod parasolami, podczas gdy spodziewano się setek. W tej sytuacji prezydent miasta zrezygnował z przemówienia, co zresztą wielu przyjęło z zadowoleniem i poprzestał na kilku słowach dotyczących rozwoju ruchu automobilowego w naszym kraju, po czym

przeszedł do wymieniania uczestników.

Najwięcej oklasków otrzymała Stefania baronessa de Mildi, której bardzo do twarzy było w gustownej, zamszowej kurteczce i zgrabnej pilotce. Rita, która przybyła tutaj sama i czekała już od godziny w deszczu na pojawienie się ukochanego, złowiła z zazdrością spojrzenie ordynata Michorowskiego, pełne podziwu, a chyba i czegoś więcej... Jakżeby chciała być teraz na miejscu baronessy, cieszyć się jej swobodą! Nie miała przecież pojęcia o problemach nękających duszę Stefanii. Zdziwiło Ritę, że ordynat nie czekał na odjazd aut, ale zniknął, kiedy tylko Stefania wsiadła do samochodu. Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym dłużej. Oto bowiem usłyszała głos zapowiadającego, który sprawił, że jej serce zaczęło uderzać żywiej...

–Książę Aleksander Szczerbiec... Książę Paweł Ostalski...

I jak we śnie, zza rogu alei wyłonił się buick Aleksandra, w którym istotnie zasiadali obaj młodzieńcy. Rita, nie bacząc na głosy oburzenia ze strony otaczających ją ludzi, zaczęła przepychać się do przodu. Zobaczyła wreszcie Pawelka jak przesuwał się o metr od niej w swym ochlapanym, czarnym pudle... Oczy ich spotkały się.

Wzrok zimny! Przesunął się po niej obojętnie, jakby nie poznając. Rita runęła do przodu, przerwała kordon policjantów i podbiegła bliżej auta. Nagle zatrzymała się gwałtownie. Usłyszała, jak Szczerbiec mówi do Ostalskiego:

–Jak myślisz, co porabia teraz Rita Trestkowa?

–Rita Trestkowa? – powtórzył Pawelek, jakby wspominając coś z drwiną.

– Nie przypominam sobie takiej osoby...

Ktoś dał chorągiewką sygnał startu. Auta zaryczały jak piekielne potwory i ruszyły ostro, rozpryskując na boki szarą ścianę ulewy. Bryzgi błota poleciały na biały płaszczyk Rity i na jej twarz, gdzie spływające po policzkach krople deszczu mieszały się z łzami. Obawiała się, że za chwilę upadnie w błoto. Ktoś ją podtrzymał... Policjant?! Nie, to Trestka, tak jak wtedy, w Paryżu...

–Kochanie moje! – wyszeptał. – Chodźmy stąd, bo mi się jeszcze zaziębisz... Wybacz ostre słowa, które wyrzekłem wczoraj... Kocham cię nadal i

pragnę przebaczenia. Jestem gotów wszystko zapomnieć. Tylko wróć! Wróć do mnie... Rito!

Rita w nagłym porywie zarzuciła mu ręce na szyję.

–Tak, Edwardzie! Wracajmy do domu! Zabierz mnie do Ożarowa!

XIV

Stefania pożałowała wkrótce, że zdecydowała się jechać sama w czasie rajdu. Odkąd, pod koniec wielkiej wojny, nauczyła się prowadzić automobil, pokonując przy tym wiele lęków i uprzedzeń, a także przekonanie o własnej niemożności, stała się zapaloną automobilistką. Nigdy jednak jeszcze nie zdarzyło się jej prowadzić auta w równie ciężkich warunkach na tak długiej trasie. W ciągu pierwszego dnia deszcz lał uporczywie gęstymi strugami, jakby to nie był początek sezonu letniego, ale środek jesieni. Pogarszało to znacznie widoczność, tym bardziej, że po południu zrobiło się ciemno prawie jak w nocy. Przy tym wiejący bez przerwy, lodowato zimny wiatr, który miotał we wszystkie strony płaszczem szarugi, dawał się kierowcom we znaki w sposób niezwykle dokuczliwy. Kilkakrotnie omal nie ugrzęzła w błocie aż po resory na wiejskich drogach. Raz nawet zatrzymał się obok niej jeden z młodych uczestników imprezy i dżentelmeńsko zapytał czy potrzebuje pomocy. Na szczęście dała sobie radę sama. Była to kwestia zarówno jej umiejętności, jak i ambicji.

Na szosie z kolei było okropnie ślisko i wielokrotnie samochody niebezpiecznie zbliżały się do siebie i niemal szepiały błotnikami. Od dłuższego czasu widziała za sobą lśniący, czarny buick, w którym, mimo iż jeszcze nie mogła poprzez ulewę i gęstniejącą z minuty na minutę mgłę dostrzec twarzy jadących, domyślała się, że doganiali ją książęta Szczerbiec i Ostalski. Postanowiła nie dać się wyprzedzić i wcisnęła mocniej sprzęgło, jadąc z największą szybkością, jaką mogło rozwinąć jej wspaniałe, zielone bugatti. Tamci również przyspieszyli. W prowadzących oba samochody wyraźnie zagrała żyłka hazardu, bowiem tak prędką jazdą w tych warunkach graniczyła po prostu z szaleństwem. Baronessa de Mildy, jak i Aleksander Szczerbiec byli jednak wytrawnymi szoferami, skoro przez dłuższy czas auta jechały równo, jak pod sznurek, trzymając się prawej strony szosy. W pewnym momencie buickowi udało się wyrwać do przodu i bardzo powoli, ale jednak skutecznie, drapieżny

dziób jakby wielkiego, czarnego jastrzębia począł pożerać różnicę pomiędzy pędzącymi maszynami. Przez pewien czas jechali obok siebie. Stefania ujrzała po swojej lewej stronie dwie wykrzywione w grymasie niezdrowej radości twarze. Obaj patrzyli na nią oczyma pełnymi złośliwej uciechy i – tak się kobiecie wydawało, choć może było to tylko złudzenie – piekielnej nienawiści.

Stało się coś dziwnego. W pewnej chwili jak gdyby kierowca buicka stracił panowanie nad kierownicą i prawy błotnik jego auta uderzył silnie w boczną ściankę auta Stefanii. Uczuła to uderzenie, które spowodowało, że omal sama nie wypuściła z rąk koła sterowego okrętu, który niósł ją poprzez nieprzychylnie wichury i sztormy. Masywniejszy buick z łatwością mógł rozgnieść jej samochód w miążgę na najbliższym drzewie. Kobieta zadrżała o swoje życie. Spojrzała znów w lewą stronę. Na obliczach swoich prześladowców nie znalazła wcale wyrazu skruchy czy lęku o nią – przeciwnie, wpatrywali się w nią z jakimś czujnym skupieniem. Wszystko wskazywało na to, że próba zepchnięcia jej na pobocze nie była przypadkowa i nie spowodowała tego niebezpiecznego incydentu śliskość jezdni. Ten atak był zamierzony. Czyżby chcieli ją wyeliminować z wyścigu? A może otrzymali zadanie całkowitego jej unicestwienia?! Stefania nie miała czasu o tym myśleć. Uderzenie ponowiło się... Potem nastąpiło trzecie, jeszcze potężniejsze niż poprzednie, które omal nie sprawiło, że otarła się o mroczną ścianę boru, stojącą z obu stron drogi. To nie mogło być przypadkowe. Była pewna, że chcą jej wyrządzić krzywdę. Uczyniła nadludzki wysiłek, aby wyprzedzić tamtych, niestety, nadaremnie. Wiedziała, że ma już prawdopodobnie strzaskany lewy błotnik, a przy następnym uderzeniu napastnicy mogą spowodować odpadnięcie koła, lub, co gorsza, pęknięcie osi resoru, co groziłoby, zaiste, niebezpieczeństwem śmiertelnym. Gdyby w takiej sytuacji wpadła w poślizg nic nie uratowałaby jej przed uderzeniem w któreś z drzew, lub przed potrąceniem ze strony aut nadjeżdżających z tyłu. W tym momencie aż do bólu odczuła nieobecność przy sobie jakiejś pomocnej dłoni, kogoś silniejszego niż ona, który obroniłby ją przed jawną napaścią. Przez wiele samotnych lat przyzwyczaiła się do samodzielności zupełnej, ale teraz pojęła aż

nadto jaskrawię, że są chwile w życiu każdej kobiety, kiedy obecność mężczyzny jest absolutnie niezbędna. „Gdyby Waldemar był tu przy mnie, potrafiłby ich poskromić!” – przemknęło przez jej głowę z szybkością smagającego karoserię wichru. W błysku iluminacji, jak sądziła już przedśmiertnej, gdyż wszystko wskazywało, że się nie zdoła obronić przed ostatecznym atakiem, pojęła jak puste i bezsensowne było jej dotychczasowe życie bez ukochanego u jej boku, wypełnionego wieloletnim przeżywaniem zemsty i jałowymi intrygami, podpartymi pieniędzmi barona. „Baron! – przeleciała kolejna myśl jak błyskawica. – Czyżby to on rozkazał tym dwóm pozbyć się mnie? Może są tylko wykonawcami wyroku?! Przecież Rita mnie ostrzegła!...” Myśl owa, jakkolwiek zdawała się nieco absurdalna, gdyż baron zwykł był dotychczas działać ciszej i dyskretniej, zagnieździła się w ogarniętym paniką umyśle kobiety. Oto już za chwilę pojawi się przed nimi zapamiętane z mapy skrzyżowanie dróg, na którym trzeba będzie wziąć ostry zakręt... Bugatti Stefanii wyprysnie z trasy i roztrzaska się o drzewa, lub stoczy w dół po nasypie... Ona sama zginie, przywalona kupą żelastwa, albo zniknie w jednym, wielkim płomieniu. To potrwa najwyżej kilka sekund, a potem wszystko zapadnie w ciemność...

Najniespodziewaniej w świecie pojawiło się wybawienie w postaci opatrnościowej, doprawdy, chłopskiej furmanki, która w innej sytuacji byłaby zapewne przekleństwem, będąc w ogóle zmorą polskich automobili-stów. Zatem z zakrętu wyłonił się wóz drabiniasty z widmowo wyglądającą we mgle postacią woźnicy i powoli człapiącą, wychudłą szkapiną. Na twarzy księcia Aleksandra pojawiło się przerażenie. Nie mógł się cofnąć ani zahamować. Od zderzenia z furmanką dzieliły go już metry... Wykonał jedyny możliwy, rozpaczliwy manewr, to jest skręcił gwałtownie w lewo. Samochód usłuchał go. Ogromna, straszliwa maszyna obróciła się wokół własnej osi jak śmigło i runęła w las. Stefania zdołała jeszcze dostrzec kątem oka w ułamku sekundy, jak zad tamtego samochodu unosi się do góry, co mogło oznaczać tylko jedno – najwidoczniej ścigający ją zaryli przednimi kołami w rowie. Sama wyminęła

gładko chłopa, który mocno ściągał wodze spłoszonego konia i pędziła niepowstrzymanie dalej ku swemu nieodgadnionemu przeznaczeniu.

Waldemar klęczał przed grobowcem Stefcii Rudeckiej na ruczajewskim cmentarzu i modlił się gorąco, niebaczny na siekący deszcz. Przybył do Ruczajewa przed godziną, wcześniej niż uczestnicy rajdu automobilowego, pojechał bowiem znaną sobie, krótszą trasą. Zresztą trasa rajdu była specjalnie najeżona trudnościami, podczas kiedy znakomity szofer, Zbyszko, służący u ordynata już kilka lat, nie miał przecież ograniczeń tego rodzaju. Zbyszko chciał trzymać nad swoim panem parasol podczas modlitwy, ale ten ofuknął go w taki sposób, że czym prędzej zrezygnował z niewczesnej propozycji. Rajdowicze mieli przybyć do miasteczka, gdzie kończył się pierwszy etap wyścigu, dopiero za kilka godzin, pod wieczór. Toteż ordynat Michorowski miał wiele czasu, aby pewne rzeczy przemyśleć.

Jego plan polegał na tym, aby jeszcze tegoż wieczora pokazać grobowiec jego ukochanej, baronessie de Mildi, lub też uczynić to następnego dnia, gdyby dzisiaj była zbyt zmęczona. Miał zresztą również szczerzy zamiar namówić Steffi, aby zrezygnowała z dalszego udziału w rajdzie, który przecież i tak był tylko zabawą, toteż niezbyt istotne było nawet kto w nim zwycięży. Pragnął zabrać baronessę natychmiast z Ruczajewa do Głębowicz, aby tam, pośród drogich jego sercu pamiątek, poprosić o rękę tę niezwykłą kobietę, tak bardzo podobną do zmarłej przed laty narzeczonej, a tak przecież innej, jak inny jest owoc od kwiatu. Jej obecność na tym cmentarzu i potem, na zamku, przekonałyby jego samego, że obecność pani de Mildi w jego życiu nie jest tylko przywidzeniem i snem wariata.

Oczywiście o swoich zamysłach nie uprzedził w żadnym stopniu baronessy. Chciał jej zjawieniem się swoim w Ruczajewie zrobić – przyjemną, miał nadzieję -niespodziankę. Zresztą nie myślał w tej chwili o siostrze barona Johanna. Jego umysł zaprzętała ta, którą pożegnał przed laty. Jak obrazy z iluzjonu przesuwają się przed jego oczyma sceny z przeszłości: Stefcia ujrzana po raz pierwszy w Słodkowicach u cioci Elzonowskiej; pierwsze z nią utarczki

słowne i przekomarzanki; później coraz częstsze spotkania pod lata pretekstem. Początkowo zdawało się Waldemarowi, że wcale nie kocha Stefci, tak jak nie kochał tych wszystkich kobiet, które szalały za nim, a może także oszukiwały jego i same siebie. Jedne widziały w nim tylko ordynata, miały głównie na uwadze jego pozycję i miliony. Do takich z pewnością należała Melania Barska, chociaż było ich znacznie więcej. Inne znowu czuły w nim rozognionymi zmysłami materiał na wspaniałego kochanka, samca, mężczyznę w każdym calu. „Tak jak Wera margrabina Silva, moja rzymska «sultanka» i... chyba biedna Rita Szeliżanka?” – pomyślał. Po raz pierwszy od wielu lat nazwał hrabinę Trestkową jej panińskim mianem. Bujne lata jego młodości stawały przed nim w całej swej, nieklamanej krasie.

Dopiero Stefcia dostrzegła w nim – człowieka. Ona jedna była w stanie ogarnąć jego osobowość, przeniknąć skomplikowaną duszę do głębi. Kiedy się o tym przekonał, zrozumiał, że ta dziewczyna nie będzie jego kolejną „zdobyczą”, ale tą, którą będzie kochał przez całe życie, na wieki. Przypominał sobie teraz, jak przekonywał ją o swoich uczuciach, kiedy pragnęła uciec przed nim ze Słodkowic. Uparł się wtedy, aby ją odprowadzić na kolej. Z początku sprawiała wrażenie zagniewanej. Ale jak zmieniała się jej cudna twarzyczka, jak płonęły jej oczy gwiazdziste, kiedy zaczęła go słuchać!

Szeptał teraz cicho tamte słowa sprzed lat, wpatrując się w doskonale oddane w marmurze lica ukochanej, na których deszcz żłobił łzawe smugi. Powtarzał tamte słowa:

–Kocham cię od dawna i głęboko, uczuciem prawdziwym i bardzo potężnym... Ty pierwsza wzbudziłaś we mnie uczucia inne. Ciebie nie tylko pragnę, ale cię kocham niezmiennie... Będiesz moją żoną, bo mam pragnienie szczęścia, bo tobie chcę je ofiarować... Jesteś moją i nie pozwolę cię wyrwać sobie nikomu... Będiesz bardzo szczęśliwą, tylko wierz w szczęście!

I zdało mu się, że słyszy, jak ona, wysuwając się na chwilę z jego objęć, odpowiada:

–Ja pańską żoną? Czy to możliwe? W tyle szczęścia nie wierzę!

On jednak utulił ją znów z promiennym uśmiechem.

–Zobaczysz, jedyna! Zobaczysz! Wszystko, co nam stanie na przeszkodzie, zgniotę zdepczę, a ciebie mieć muszę!

Jakże wtedy ona na niego patrzyła! Jak jej drżały usteczka! Waldemar chwycił się w męce za skroń. Chociaż śmierć ją zabrała, przecież obiecał ją kochać na wieki! Jakże teraz może tutaj przychodzić i pokazywać to święte mauzoleum innej kobiecie, choćby nawet równie wspaniałej i szlachetnej jak tamta?! Czyż nie będzie to podłą zdradą wobec tej, która tyle przez niego wycierpiała, zdradą wreszcie wobec samego siebie?

I nagle znów mu się wydało, że w łoskocie ulewy słyszy łagodny głos Stefci:

–Miły mój, ukochany, nie męcz się bezcelowo.. Pokochaj tę kobietę, która da ci szczęście, jakiego ja ci dać nie mogłam...

Czy był to tylko szmer spływającej wody, działający na rozedrgane zmysły ordynata, czy też może chciał usłyszeć takie właśnie rozgrzeszenie z ust zmarłej i po nie właśnie tu przybył? Nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Ten głos był tak wyraźny...

Nagle otrząsnął się z przywidzeń i wrócił do rzeczywistości. Był przemoczony do nitki, przez co nawet jego żelazne zdrowie mogło być zagrożone. Postanowił udać się do hotelu w miasteczku, przebrać się i powitać godnie baronessę de Mildi, którą był gotów uznać teraz za wysłanniczkę pozaziemskich mocy, może wcielonym fatum.

Kiedy wychodził z cmentarza i szedł w kierunku auta, gdzie niecierpliwie oczekiwał nań Zbyszko, wyminął go w bramie wysoki mężczyzna o oczach palących, kruczoczarnych włosach i smagłej cerze, odziany w pelerynę przeciwdeszczową. Na ustach błąkał mu się ironiczny uśmieszek. Waldemar nie zwrócił na niego uwagi. Było nawet pewne, że w ogóle nie zdawał sobie sprawy z jego obecności.

–Ach, ta polska szlachta! – szepnął do siebie tajemniczy brunet. – Ich umysły zbyt proste, a ich oczy zbyt ślepe, aby spostrzec moje różki i rozdwojone kopyto! A kiedy poczują woń siarki, myślą tylko o zapalkach... Gdzież im

roztrząsać moją metafizyczną potęgę! Grać w karty o duszę... to by jeszcze uszło. Ale toczyć dyskusje, stawiać ostateczne pytania... na to trzeba mi niemieckiego doktora filozofii! Na nic tutaj sentymentalne głowy, rozkochane w bławatkach, stokrotkach, łańcach zbóż i śpiewie polnej ptaszyny! Ci nigdy nie widzą otchłani!

Stefania baronessa de Mildi przyjechała na rynek do Ruczajewa jako czwarta z kolei. Tuż przed nią dotarli Lucia i Bohdan Michorowscy, natomiast hrabia Brochwicz był tego dnia pierwszy na mecie. Mimo iż za zielonym bugatti hamowały z piskiem opon następne samochody, nie było pośród nich buicka księcia Aleksandra. Nikt też nie potrafił powiedzieć, co się stało z niefortunnymi uczestnikami rajdu. Chociaż Stefania mogłaby być ostatnią osobą, która by się tym faktem martwiła, jednak poczuła się zobowiązana powiadomić organizatorów o prawdopodobnej kraksie. Zdecydowano wysłać w tamten rejon natychmiastową pomoc. Automobil baronessy wymagał naprawy, toteż odprowadzono go do warsztatu.

W pierwszej chwili po przyjeździe czuła Stefcia ogromne zmęczenie po uciążliwej jeździe i związanych z nią niebezpiecznych przygodach – ale zmiana stroju, ciepły posiłek w jadalni skromnego hoteliku i grzane wino, które gospodyni specjalnie przygotowała dla zziębniętych i przemoczonych rajdowiczów, a nade wszystko wesola kompania rozbawionej młodzieży, prędko poprawiły jej nastrój. Zdecydowała opuścić po jakimś czasie biesiadę i odwiedzić chatę Jamroza, a później swój dom rodzinny. Zarówno poczciwy staruszek, jak i matka zostali wcześniej o jej przybyciu uwiadomieni. Aby nie zwracać na siebie uwagi założyła strój jak najskromniejszy i obszerny płaszcz z kapturem, który ocieniał jej twarz i nie dozwalał rozpoznać rysów. Płaszcz miał formę habitu, znakomicie chronił przed deszczem i chłodem, a otulona weń Stefania czuła się istotnie jakąś mniszką z mrocznej, romantycznej opowieści, uczestniczką zawikłanej i tajemniczej intrygi. Stary Jamroz powitał ją jak zawsze serdecznie.

–Cieszy mnie, że panienka sama powiedziała o sobie matce i bratu –

powiedział, kiedy siedzieli już przy dzbanie ciepłego mleka. – Dopieroż by mnie przeklęli, gdyby się rzecz w inny sposób wydała!

–Nie stałoby się tak, dziaduniu – odrzekła czule. – Na ustach mojej matki nigdy nie zagościło przekleństwo, nawet gdy było najbardziej usprawiedliwione, jak wtedy, kiedy wszyscy myśleli, że umarła. Nigdy nie rzuciła klątwy na arystokrację, choć jej własne dziecko zabili! Na to nie pozwoliłaby jej głęboka wiara i chrześcijańska pokora. Co się zaś tyczy mojego brata, ten jest zbyt mądrym człowiekiem, aby wywierać na kimkolwiek furję bezowocną.

–I jakże teraz będzie, panienko? – spytał stary. – Co panienka zamierza? Bo rozumiem, że z wrogami rachunki wyrównane? Zadowolona chociaż moja dziecina?

Stefania zapatrzyła się w buzujący wesoło ogień w piecu. Dumiała przez chwilę. Wreszcie odparła z gorzkim uśmiechem:

–Nie jestem widać boginią mitologiczną, gdyż zemsta nie była dla mnie rozkoszą. Prawda, Melania i jej ojciec przestali być pysznymi magnatami i zmuszeni byli upokorzyć swoją pychę sferową oraz odrzucić dawne przesady; panna Barska uczyła na własnej skórze, co znaczy niechęć innych; hrabiostwo Cwileccy zeszli do rzędu żebraków i wyludzaczy i zmuszeni byli opuścić kraj... Wszystko to prawda, a jednak nie czuję z tego powodu satysfakcji. Minęło tyle lat, że gdzieś zniknęło pragnienie zadośćuczynienia. Staralam się przez ten czas więcej budować niż niszczyć. Wszakże powiedział nam Chrystus: „Zło dobrem zwyciężaj!” Tak też czyniłam...

Nie zdradziła jednak Jamrozowi swych najtajniejszych obaw. Najwięcej niepokoił ją fakt, że dla urzeczywistnienia swoich zamiarów sięgnęła po pomoc człowieka obcego jej pod każdym względem, człowieka niebezpiecznego. Baron de Mildi nie był może złym w potocznym rozumieniu tego słowa -natomiast prawdziwą jego tragedią z punktu widzenia Stefanii było to, że nie był w stanie odróżnić dobra od zła. Przy swoich nieobliczalnych odruchach szlachetności, mógł jednocześnie lubować się w najbardziej odrażających i nagannych moralnie czynach. Ona zaś miała lęk, że teraz jej niezwykle opiekun zażąda

zapłaty -jakiej, o tym nawet nie chciała myśleć – za swoją wobec niej pomoc i okazaną hojność. Była przy tym instynktownie pewną, że zażąda od niej rzeczy całkowicie sprzecznej z jej zasadami. Nie wiedziała też czy jej ukochany Waldy, mając wciąż przed oczyma swoją dawną, nieskalaną Stefcie, zechce ją przyjąć teraz taką, jaką mogła mu się wydać w obecnej sytuacji – fałszywą baronessą i siostrą Johanna, da facto u trzymanką tegoż, a przy tym osobą, którą można by posadzić o kunszachty ze szpiegami? Czy nie odsunie się od niej ze wstrętem, czy jej od siebie nie odepchnie? Bała się chwili, w której ordynat mógłby poznać tajemnicę jej drugiego, „pozagrobowego” życia, toteż postanowiła sobie, że jej przed nim nie zdradzi, chyba, że to będzie konieczne.

–Ale co panienka zamierz czynić z ordynatem? – spytał Jamroz z niezręczną trochę poufalością.

–Tego jeszcze nie wiem... – odparła w zadumie. – On kocha ciągle tamtą dawną Stefanię i wcale nie jestem pewna czy zechce mnie żywą, prawdziwą. Wiele tutaj zależy od Waldemara i jego uczuć do mnie...

Postanowiła porzucić trudny dla niej temat. Toteż spytała szybko:

–A co u ciebie, mój kochany wybawco? Jakoś nic mi nie opowiadasz o swoich sprawach.

Starzec zasepił się widomie. Znać było, że dręczy go jakaś zadra, ale nie potrafi nadać jej miana. Odrzekł jej głosem pozornie niefrasobliwym:

–Bo i o czym tu opowiadać... Po dawnemu służyć w kościele i ludzi chorych wspomagam... Jeszcze jestem krzepki, parę років pewnikiem pociągnę... Jedną się tylko rzecz zdarzyła dziwna, będzie z miesiąc temu...

Zawahał się chwilę i nagle przeżegnał, jakby bojąc się bliskości Złego. Twarz mu się zasepiła, a oczy błysnęły ponuro.

–Przyszedł do mnie jakiś człowiek o ciemnym obliczu i czarnej czuprynie. Od razu, nie wiedzieć czemu, mi się nie spodobał, chociaż ubrany był jak się patrzy i odnosił do człowieka z pańską delikatnością. Może te jego oczy jak dwa węgle gorące, a może dlatego, że mówił dobrze po naszymu, ale jakby z cudzoziemska...

–Powiadasz, że był smagły na twarzy? Że mówił z obcym akcentem? – pytała zaintrygowana Stefania, która po opisie zaczęła rozpoznawać tajemniczego gościa Jamroza. – I czegoż chciał od ciebie?

–Ano, wypytywał o kaplicę grobową książąt Ostalskich. Tom go i zaprowadził. A kiedyśmy mijali grób panienki, tamten nagle zatrzymał się i powiedział z jakimś dziwnym uśmiechem: „A to jest pewnie grób tej słynnej panny Rudeckiej?” Nic na to nie rzekłem, boć przecież mógł sobie przeczytać napis na grobowcu, a tam stoi wyraźnie: „Sp. Stefania Rudecka”. Tyle, że nie spodobały mi się ani jego uśmiech fałszywy, ani ton głosu. Wreszcie stajemy przed kaplicą, a on ją obchodzi dookoła, mury maca, laseczką, co ją miał w ręku, obstukuje filary, a nawet płytę nagrobną... Więc go pytam: „A jaśnie pan to może krewny daleki książęcego rodu?” Bom chciał zmiarkować czemu tak mu było pilno stary grobowiec oglądać. Na to on znowu się zaśmiał, a bardzo jakoś niemilo i rzecze: „Krewny?! No można to tak określić!” Potem jednak jakby się zreflektował i dodał: „Właśnie myślę, że trzeba tę kaplicę odnowić. Toż to zabytek!” A później pieniądze do ręki mi wsuwa i powiada: „Ja tu jeszcze trochę postoję, podumam o dawnych czasach, ty zaś, dobry człowieku, zostaw mnie samego”. Rzekł to jakoś tak władczo, żem nie śmiał nie wypełnić rozkazu. Obejrzałem się jeszcze parę razy, odchodząc, a on, niech sobie panienka wyobrazi, wcale nie stał spokojnie, tylko znowu począł wokół kaplicy krążyć i w mury laseczką stukać.

–I co było dalej?

–Ano nic. Więcej go już w Ruczajewie nie widziałem. Tylko od tego czasu nie ma na tym cmentarzu spokoju. Ludzie gadają, że tam straszy. Niektórzy przysięgali, że widzieli tam nocą jakieś widma, krążące na mogiłach, a zwłaszcza wokół książęcej kaplicy. Ja sam słyszałem, gdym wieczorem raz przechodził, jakieś głosy, jakby spod ziemi. Ale podszedłem... zamilkły. Parę razy tom się i zasadził w krzakach, bom myślał, że to rabusie grobów, hieny cmentarne grasują. Ale za każdym razem sen mnie jakiś dziwny zmorzył, a potem budziłem się tu, w swojej chacie. Musi to być nieczysta sprawa...

Przeżegnał się raz jeszcze, a potem splunął przesądnie kilka razy za siebie. Stefania nie wiedziała co o tym myśleć. Jakkolwiek rozpoznała w czarnym gościu Jamroza barona de Mildi i ciekawiło ją, dlaczego tak bardzo interesował się kaplicą książąt Ostalskich. „Czyżby w związku z Pawelkiem?” – zadała sobie pytanie. To było całkiem możliwe... Całą resztę opowieści uznała jednak za starcze i zabobonne urojenia.

–Pojawił się ostatnio w Warszawie jakiś książę Ostalski – wyjaśniła od niechcienia – ale wygląda inaczej niż opisałeś. Może był to jakiś jego plenipotent, albo przyjaciel... A co do duchów, dziwię się, że ty, który nie wystraszyłeś się kiedyś mnie wstającej z trumny, teraz sam rozpuszczasz takie bajania.

–Kiedy to naprawdę dziwna sprawa, panienko...

Rozmowę przerwało gwałtowne łomotanie w okienną szybkę. Stefania poderwała się od stołu i odruchowo wycofała poza krąg światła naftowej lampy. Jamroz, niezadowolony i kręcący głową, a nawet mamroczący ciche przekleństwa, poszedł otworzyć drzwi. Oboje zobaczyli umorusanego i przemoczonego chłopaka od sąsiadów. Miał bardzo przejęty wyraz twarzy i przestępował z jednej bosej stopy na drugą.

–Czego chcesz? – spytał stary tonem łagodniejszym, niż można było oczekiwać. – Matka twoja znowu słabuje?

–Nie, dziadulu, nie! – zawołał chłopak, bezładnie machając rękami. – Matka zdrowa... Jeno z dworu przysłali... Starsza pani Rudecka bardzo zachorzała, ponoć śmierć nad głową wisi! A doktorzy z miasteczka pojechały do jakiegoś wypadku...

Zanim Jamroz zdążył na to odpowiedzieć, stanęła przy nim Stefania.

–Co mówisz?! – zawołała z przerażeniem. – Moja... to jest pani Rudecka... umierająca?!

–Ano, tak, jasna pani – odparł chłopak, nieco speszony obecnością pięknej damy w chacie. – Mówią, że dogorywa...

–To pewnie sercowy atak! – krzyknęła Stefania, załamując ręce. – Tyle ostatnio przeszła wzruszeń... Biegnijmy tam!

Nie czekając na Jamroza porwała płaszcz z ławy i wybiegła z chaty.

–Panienko!-krzyczał za nią Jamroz.-Ja przecież nie mogę biegać tak szybko jak panienka! Muszę leki zabrać! Panienko!!!

Ale odpowiedziało mu tylko głuche echo od boru.

Waldemar, kiedy zapytał w hoteliku o baronessę de Mildi, dowiedział się ku swojemu zdumieniu, że wprawdzie dotarła szczęśliwie do Ruczajewa, lecz zaraz po kolacji udała się w niewiadomym kierunku. Dłuższą chwilę zastanawiał się, dokąd też w małym miasteczku mogła pójść nie znając miejsca ani ludzi baronessa. Kilkakrotnie obszedł rynek i boczne uliczki, w nadziei, że ją spotyka szczęśliwym trafem, wypytywał także spotykanych po drodze ludzi, opisując im, jak umiał, wygląd, madame Steffi, ale nikt nie potrafił mu pomóc w poszukiwaniach. Wreszcie, kiedy nie znalazł jej także w kościele, był całkiem zrezygnowany. Zdecydowany już był udać się do hotelu i tam czekać dalej, kiedy nagle błysnęła mu w głowie myśl pozornie paradoksalna, chociaż w jego stanie ducha zdała mu się całkiem prawdopodobna. „A może dowiedziała się, choćby od Rity, że Stefcia mieszkała tutaj, jako jeszcze dziewczątka, może postanowiła odwiedzić jej krewnych?” Uczepiwszy się owej myśli jak zbawiennej, postanowił udać się do dworu państwa Rudeckich. Na miejscu nie zastał wprawdzie baronessy, ale uderzyła go atmosfera jakby oczekiwania i dziwnego, radosnego podniecenia, tak nie licująca z panującą tutaj dotychczas surową powagą, jaką znajdował w czasie poprzednich, choć rzadkich swoich wizyt po pogrzebie Stefci.

–Czy panie oczekują kogoś dziś wieczorem? – zapytał, całując dłonie pani Rudeckiej.

Ta zawahała się chwilę, po czym odparła drżącym głosem:

–O tak, oczekujemy dziś wizyty naszej dawnej przyjaciółki...

Matce towarzyszyła dzisiaj Zosia, która przybyła ze szkoły na rozpoczęte niedawno wakacje. Dziewczę było także wyraźnie rozradowane. Kręciła się bez przerwy po saloniku, wyraźnie nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

–Rozumiem, że to ktoś szczególny? – zapytał, siadając przy kawie i

domowej nalewce, podanej mu gościnnie.

–O tak, to osoba zupełnie wyjątkowa – odpowiedziała pani domu tym samym tonem, co poprzednio.

–Wspaniała osoba! – dodała Zosia znacząco.

Ordynat był coraz bardziej zdziwiony i zaciekawiony. Jeśli nawet tą „wspaniałą i wyjątkową” osobą miała być baronessa de Mildi, to czemu pani Rudecka była aż tak bardzo wzruszona? Czy tylko dlatego, że baronessa dopomogła jej synowi w wybudowaniu Kryształowego Pawilonu? Postanowił zbadać sprawę.

–Widziałem syna pani – zaczął, zauważając, że matka Jura drgnęła – zaledwie wczoraj i muszę dodać, że dawno nie zdarzyło mi się widzieć równie szczęśliwego człowieka. Lecz nie ma chyba większego szczęścia, niżli spełnić swoje najwspanialsze marzenia.

Pani Rudecka szarpała nerwowo koronkę obrusu. Chwilę milczała. Wreszcie wyrzekła, ostrożnie dobierając wyrazy:

–Istotnie, los w osobie pewnej niezwyklej kobiety wspomógł mojego syna, kiedy go już wszyscy opuścili... Wdzięczna za to jestem Bogu, gdyż spełnił także i moje najtajniejsze marzenia...

–I moje także! – wypaliła Zosia zniecierpliwiona.

Ordynat spojrział na nią zdumiony. Pomyślał, że dziewczyna ma gorączkę, o czym mogły świadczyć jej płonące niezwykle blaskiem oczy i wypieki na policzkach. „Zupełnie niepodobna do Stefci” – westchnął w myślach.

–Zosiu – ozwała się jej matka strofująco – nie powinnaś się wtrącać do rozmowy starszych...

Zawstydzona dziewczeczka nie miała okazji usprawiedliwić się, gdyż rozległo się kołatanie do drzwi wejściowych. Obie Rudeckie zerwały się gwałtownie, toteż zdumiony Michorowski wstał także. Wpatrywano się w drzwi z natężeniem.

–Antek, a kto tam przyszedł? – zawołała niecierpliwie pani Rudecka do lokajczyka.

Chłopak uchylił drzwi do salonu.

–To stary Jamroz, proszę jaśnie pani – odrzekł rezolutnie. – Tłumaczę mu, że pani zdrowa, a on ciągle mówi, że musi panią zobaczyć!

Pani Rudecka uniosła wysoko brwi ze zdumienia.

–Jamroz? Wpuść go tutaj.

Kiedy wszedł do wnętrza, wydało się, że przyniósł ze sobą wszelkie leśne zapachy, trochę dzikie, ale jednak przyjemne. Było to tak, jakby nagle wtargnął do cichego dworku duch boru.

–Na Boga, jakże to? – wybelkotał widząc wychodzącą mu naprzeciw niewiastę. – To pani nie jest umierająca?!

–Ja? Umierająca?! – obruszyła się Rudecka. – Nigdy nie czułam się lepiej... Co wam to, dobry człowieku? Czyście pijany?

Starzec potoczył dookoła wzrokiem błędnym, jednak widać było, że jego pomieszczenia nie sprawił alkohol.

–A gdzie jest panienka?... – zapytał ze strachem w głosie. – Gdzie jaśnie baronessa?!

–Pani baronessa? – zawołała Zosia. – Nie było jej tu jeszcze...

–Jakże to?!.. Nie było?!

Na twarzy Jamroza odbiła się wielka rozpacz, jakby nagle zwały się na niego wszelkie możliwe nieszczęścia. Rozejrzał się raz jeszcze po salonie, jakby chcąc się upewnić, że nie ma w nim poszukiwanej przez niego osoby, po czym krzyknął, unosząc ręce ku górze:

–Biada mi! Wypuściłem ją samą! Nie upilnowałem! Porwali ją!

–Kto? Kogo?! – pytała zdezorientowana Rudecka.

–Stefanię!!!... Wielmożny panie -zwrócił się do Waldemara – niech pan raczy pójść ze mną do miasteczka, póki nie jest za późno! Mam przeczucie... Ale musi pan wziąć ze sobą jaką strzelbę...

–Mam w hotelu browning – powiedział rzeczowo Waldemar, powoli rozumiejący, że Stefanii mogło się przydarzyć coś złego.

–Tedy chodźmy tam! Prędko, niech pan ze mną idzie!

Chwyciwszy ordynata za rękaw marynarki niemal siłą pociągnął go za sobą.

Słysząc było jeszcze jak woła kilkakrotnie: -Jakiż byłem głupi!

-Mamo, boję się – szepnęła Zosia, tuląc się do swojej rodzicielki. – Czy ktoś porwał naszą Stefcie?

-Nie lękaj się – odpowiedziała matka, gładząc dziewczynę po ciemnych splotach włosów trzęsącą się dłonią. – Skoro ordynat Michorowski wdał się w sprawę, nic jej nie może zagrozić. Stefania ocknęła się z omdlenia i w pierwszej chwili nie mogła pojąć ani gdzie jest, ani też co się z nią właściwie stało.

Mgliście zaczęła przypominać sobie, że biegła przez las, aby ratować matkę, gdy nagle pochwyciły ją czyjeś mocne dłonie, a jej krzyk zatamował tampon nasączony jakimś wstrętnym płynem. Potem zapadła jakby w przepaść. A teraz budziła się w ciemnym, lodowato chłodnym miejscu, przesyconym piwnicznymi wyziewami. Leżała na jakiejś zimnej płycie, tak zimnej, że niemal parzyła jej plecy. Spróbowała się poruszyć. Dłonie i nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Dopiero po chwili zrozumiała, że jest przywiązana. Zalala ją fala przeraźliwego strachu. Stała się z nią jakaś rzecz okropna, której nie mogła jeszcze pojąć.

Krzyknęła, ale głos jej odbił się tylko głucho o niskie, jak mogła się tylko domyślać w panujących wokół niej ciemnościach, sklepienie. Jednak jej okrzyk wywołał jakąś reakcję. Usłyszała kroki kilku ludzi schodzących po ciemnych schodach, wreszcie skrzypnęły ciężkie, żelazne i chyba zardzewiałe drzwi. Spojrzała w tamtym kierunku. Wtedy krzyknęła po raz wtóry.

W wejściu do piwnicy stali trzej mężczyźni, spoglądający na nią z zimną, okrutną obojętnością. Byli to Johann von Hohenlohe-Liebenstein de Mildi, książę Aleksander Szczerbiec i Paweł Ostalski. Wszyscy trzej dzierżyli w dłoniach zapalone, grube gromnice, upiornie oświetlające ich twarze. Baron zaśmiał się swoim demonicznym charkotem.

-Dobry wieczór, droga baronesso! – rzekł. – Czy to nie ciekawy koniec

gotyckiego romansu? Ostatnia twoja przygoda w krypcie książąt Ostalskich będzie należała z pewnością do najciekawszych. Mam nadzieję, że jesteś ze mnie zadowolona, kochana siostrzyczko – wycedził z istic diabelską ironią. Stefania rozejrzała się wokół i stwierdziła, że istotnie otaczają ją rozsypujące się ze starości trumny, z których wystają trupie czaszki i piszczele, zaś ona sama przywiązana jest w przemyślny sposób do kamiennego sarkofagu, znajdującego się pośrodku. Zadrżała ze wstrętu i poczęła krzyczeć znowu, co jednak tylko wywołało na obliczu barona uśmiech pełen politowania.

–Możesz krzyczeć do woli, to mnie bawi – oświadczył. – I tak nikt cię tu nie usłyszy. Sic transit gloria mundi -zacytował złowieszczo. – Ładną wybrałem scenerię, tego chyba nie możesz mi odmówić, meine liebe Steffi.

–Czy chcecie mnie zabić? – zawołała dysząc ciężko po bezowocnym wysiłku.

–Ależ nie, nie jesteśmy przecież rzeźnikami, tylko szlachtą. No, może nie wszyscy – zauważył, zerkając na Pawelka. – W każdym razie mordowanie kobiet nie jest moim ulubionym zajęciem. Wprawdzie ktoś inny na moim miejscu uczyniłby to z pewnością, zważywszy ilość głupstw, jaką zdążyłaś, pani, narobić. Pomijam już zupełnie nierozsądne dysponowanie przydzielonymi ci funduszami, ale odkąd zaczęłaś podejrzewać księcia Aleksandra o jego niebezinteresowne zainteresowanie waszym Ministerstwem Spraw Zagranicznych, stałaś się doprawdy niebezpieczna. Wiem, że wysłałaś kurierem ze Lwowa jakąś przesyłkę do ministra Szeligi oraz do tego głupca, komisarza Rózgi, a to już mi się zupełnie nie spodobało. I w dodatku, po cóż było przede mną uciekać? Będę musiał teraz panią ubezwłasnowolnić i umieścić pod kuratelą w naszym rodowym zamku... Uczynię to z prawdziwą przykrością, ale przyznasz mi chyba, droga siostrzo, że twoje ostatnie zachowania były zupełnie niepo czytalne. Na domiar złego, uroiłaś sobie, że jesteś Polką i to dawno zmarłą. Wybacz, ale mój rozsądek wzdraga się wobec takich dziwactw. Stefania uspokoiła się podczas tej przemowy na tyle, aby móc myśleć logicznie. Po pierwsze, stało się dla niej jasne, że baron nie zamierza odebrać jej życia. Z drugiej jednak strony wielce niepokoił ją fakt, że ten

najwyraźniej obłąkany człowiek postanowił zgotować jej los stokroć gorszy.

–Szalony człowieku! – krzyknęła z mocą. – Chętnie zapracuję na twoje utracone pieniądze, które, przypominam to, sam mi ofiarowałeś. Zobowięzę się też, jeśli zechcesz na piśmie, że nigdy i nikomu nie zdradzę twoich tajemnic, chyba żebyś wpadł w ręce sprawiedliwości. Przy takich gwarancjach będziesz mógł puścić mnie wolno.

–Niestety, droga Steffi, po tym coś uczyniła, za późno na wszelkie targi – odparł flegmatycznie baron. – Wasza policja następuje mi na pięty i muszę działać szybko. Ale dzisiejsza noc jest szczególna, to noc moich urodzin, toteż postanowiłem zabawić się po swojemu!

Jego usta rozszerzyły się w okrutnym uśmiechu.

–Co pan zamierza czynić?! – spytała jego ofiara, cała drżąca.

–Och, to chyba zupełnie oczywiste. Pani wzgardziłaś kiedyś moją miłością, a tego się nigdy nie wybacza. Skoro więc nie chciałaś być moją kochanką, postanowiłem złożyć się dzisiaj w ofierze mojemu panu, Szatanowi. To znaczy, nie będziemy, oczywiście, całować kozła w pośladek, profanować hostii, czy śpiewać hymnów w rodzaju: „Gloria In yrofundis Satani...”, na takie głupstwa jestem bowiem człowiekiem zbyt mądrym i nowoczesnym. Wystarczy, jeśli ku chwale Tego, Który Został Odrzucony posiadziemy cię kolejno na owym cudownym łożu. Ja oraz ci dwaj mili młodzieńcy. Po tym doświadczeniu już nie będziesz mogła z taką pewnością siebie flirtować z ordynatem. Długi czas nie rozumiałem ciebie, ale teraz już wiem, że postanowiłaś zachować ten swój największy skarb... dziewictwo... dla niego.

Stefcia, mimo odrazy i lęku, poczuła nagły żal nad nieszczęsnym grzesznikiem. Był nieszczęśliwszy od niej, wszakże sam przyznał, że mści się w imię niespełnionej miłości. Próbowwała uderzyć w tę czułą strunę swego oprawcy:

–Drogi mój baronie – starała się mówić jak najczulej – wspomnij na piękne chwile naszej przyjaźni, kiedy to darzyłeś mnie uczuciem...

Słowa jej osiągnęły efekt odwrotny niż zamierzała. Zdawały się jeszcze bardziej rozwścieczać barona.

–Dosyć tych jałowych pogawędek – rzekł i zwrócił się do swoich towarzyszy. – Odstępuję wam tę dziewczkę na początek. Przygotujcie mi ją...

–Co do mnie – odezwał się z drwiną w głosie Pawelek – to wiesz przecież, że w gruncie rzeczy nie znoszę kobiet, toteż z chęcią odstępuję ten wątpliwy zaszczyt Aleksandrowi.

–Ach, po cóż cię wyszukałem w tej górniczej speluncie i wykierowałem na człowieka – zawołał baron z udanym oburzeniem. – A więc dobrze – zwrócił się do Aleksandra – zaczynaj!

–Łajdacy – krzyczała w rozpacz Stefanii. – Odpowiedcie za ten czyn przed ludźmi i Bogiem!

–Ucisz ją wreszcie! – syknął Johann do księcia. – Niech zacznie wyć z rozkoszy!

Księżę Szczerbiec stał wyraźnie niezdecydowany. Pochylił nisko głowę.

–Co się z tobą dzieje?! – krzyknął baron de Mildi. – Czyżbyś nie miał odwagi? Zapomniałeś nauk, jakich ci udzielałem?!

–Nie zapomniałem – odparł glucho Aleksander. – Ale myślę, że to, co tutaj chcemy zrobić, jest podłością niegodną nazwiska i tytułu, który noszę.

–Jaki nagle delikatny! – ironizował baron. – Nie miałeś takich skrupułów, kiedy brałeś pieniądze za kradzież państwowych dokumentów... A teraz, kiedy chodzi o jedną, głupią kobietę... O, Polacy... Polacy! – powtórzył z pogardą. – A więc dobrze, pokażę wam, jak się poskramia krnąbrne zwierzę zwane kobietą.

Chciał już ruszyć do szamocącej się bezsilnie w więzach Stefanii, gdy nagle Aleksander zastąpił mu drogę.

–Tobie też na to nie pozwolę – oświadczył stanowczo. – Będziesz musiał mnie najpierw zabić.

–Tak?! – ryknął baron, doprowadzony do pasji postawą młodzieńca. – To się może stać bardzo łatwo!

Wczepił się dłońmi w gardło księcia Aleksandra i runął na niego całym swoim silnym ciałem. Obaj upadli na ziemię, gdzie się zaczęli szamotać wśród jęków i innych nieartykułowanych odgłosów. Pawelek przyglądał im się

zaskoczony, z dość głupim uśmiechem. Do tego stopnia zapatrzył się w fascynującą go widać walkę, że nie spostrzegł nawet, jak drzwi za jego plecami uchylają się z wolna... Kiedy skrzypienie zawiasów dotarło do jego świadomości, było już za późno.

W wejściu stał ordynat Michorowski, mierzący doń z rewolweru. Za nim dostrzegła Stefania, której serce zabiło radośnie, starego Jamroza, dzierżącego w dłoni solidną, dębową laskę. Pawełek rozpaczliwym gestem wyszarpnął spod marynarki pistolet i w tejże chwili rozległ się strzał. Ugodzony w pierś młodzieniec osunął się z jękiem na podłogę. Baron de Mildi, usłyszawszy nad swoją głową huk, poderwał się w mgnieniu oka i sobie tylko wiadomym sposobem przemknął pomiędzy dwoma mężczyznami, odepchnął silnie starca, który zatoczył się na ordynata, po czym wbiegł na schody. Waldemar wystrzelił za nim dwa razy, jak się zdaje, niecelnie. W ostatnim przebłysku świadomości usłyszała jeszcze Stefania słowa ordynata: „Ten łajdak uciekł!” oraz charczącego straszliwie Szczerbca, który wciąż leżał na posadzce... Poczula tylko, że porywają ją w objęcia czyjeś silne ramiona...

Stefania nie chciała nawet pytać, jakim sposobem znalazła się w rodowej siedzibie Michorowskich, w komnatach głębowickiego zamku. Dowiedziała się tylko od przydzielonej jej służby, która zresztą z nakazu Waldemara tytułowała ją „panią baronessą”, że przez kilka dni leżała nieprzytomna, a wtedy nikt, poza doktorem, nie miał do niej dostępu. Nie opuszczało ją jednak uparte przekonanie, jakoby ktoś ją zbudził pocałunkiem ze strasznego, koszmarnego snu... Ordynat nie narzucał się jej ze swoim towarzystwem, pragnąc najwidoczniej, aby doszła trochę do siebie po strasznych przejściach.

Kiedy mogła już poruszać się o własnych siłach i jeść, pojawiła się na zamku policja, to jest komisarz Rózga z agentem Kruczkim. Chętnie odpowiedziała na ich pytania. Okazało się, że zarówno minister Szeliga, jak i policjant potraktowali jej listy bardzo poważnie, zresztą od dawna mieli na oku Pawła Ostalskiego... a właściwie Janka Skrzypka, wyrodnego syna polskich emigrantów we Francji, którego baron de Mildi spotkał istotnie w Paryżu, w jakimś podejrzanym klubie i postanowił go wy-edukować, a następnie przysłał do Polski w charakterze swojego zaufanego agenta. „Biedna Rita -myślała Stefania, słuchając tych rewelacji -jak ona to przeżyje, kiedy dowie się, kogo obdarzyła nierozumnym uczuciem...” Była wdzięczna śledczym, że nie męczyli jej zbyt pytaniami o jej rzekomego „brata”. Może uczynili tak przez delikatność, a może po prostu wiedzieli więcej niż zdołałyby im powiedzieć...

Obaj młodzieńcy znaleźli się w więzieniu, z tą różnicą, że Janek alias Pawelek walczył ze śmiercią w więziennym szpitalu. Stefania miała nadzieję, że jej zeznanie złagodzi nieco wyrok za szpiegostwo i zdradę ojczyzny dla księcia Aleksandra. Sądziła, że samo znalezienie się w nędznej, brudnej celi, gdzie nic nie znaczył jego tytuł i świetne nazwisko, które okrył hańbą dzięki swojemu postępowaniu, było wystarczającą dla niego nauką. Niepokoiło ją także, że baronowi udało się zbiec i pozostawał wciąż na wolności, nadal potężny mimo

poniesionej porażki.

Wszelkie jednak niepokoje i obawy zniknęły, kiedy w jej komnatach zaczął pojawiać się Waldemar. Początkowo zachodził bardzo nieśmiało, potem coraz częściej spędzał z nią czas, znosząc jej wiadomości ze świata i najbliższej okolicy. Opowiedział jej o radości w Ożarowie, zanosilo się bowiem na to, że ród Trestków doczeka się wreszcie potomka. Opowiadając tę nowinę ordynat przyglądał się Stefanii z dziwnym wyrazem twarzy, aż przenikał ją dreszcz. W ciągu następnych dni dowiedziała się, że Melania i Jakub powrócili tymczasem z Wenecji i zaczęli prowadzić chętnie odwiedzany przez postępowe kręgi warszawskie salon artystyczno-literacki. Pytała o Bohdana i Lucie. Dowiedziała się, że po skończonym rajdzie, w którym wzięli trzecią nagrodę, wyjechali do Anglii na wystawę nowego sprzętu rolniczego. Stefania i Waldemar byli więc sami w tym ogromnym zamczysku.

Stefania w zamyśleniu snuła się po niezliczonych komnatach i salach, wspominając dawne dni szczęścia oraz przedostatnią swoją wizytę, gdy przemykała się nocą, ukradkiem, niby upiórzyca. Teraz zjawiała się tutaj w charakterze niezwykłego i szczególnie czczonego przez gospodarza gościa. Unikala tylko dwóch sal – sali portretowej i sali muzycznej babki Gabrieli, gdzie, jak wiedziała, wisiał obecnie jej portret. Ordynat zauważył to i bolał nad tym skrycie.

Zachodziła też czasem do surowej, gotyckiej kaplicy, gdzie modliła się jeszcze jako dziewczę niewinne przed starodawnym wizerunkiem Madonny, a i teraz szukała pocieszenia, duchowego wsparcia i wskazówki dla dalszego postępowania. Nie wiedziała bowiem, jak ma dalej postąpić i często oblewała modlitewnik szczerymi łzami. Czy miała prawo burzyć mit, jaki powstał przez wiele lat w sercu jej ukochanego i ujawnić całą prawdę? Z pewnością nie, przez wzgląd na niego. Równocześnie jednak pragnęła go szaleńczo jak dawniej, całym ciałem i duszą. Miała jednak prawo połączyć się z nim tylko jako baronessa de Mildi, a to znowu oznaczało dla ordynata zdradę wobec jedynej prawdziwej miłości jego życia.

„Matko Chrystusowa... ty, która tyle wycierpiałaś dla swego Syna, poradź mi, co zrobić" – modliła się Stefcia w głębowickiej kaplicy, modlitwę często przerywając łkaniem. Pewnej nocy taksie zapamiętała w rozmowach z Madonną, iż ani się spostrzegła, że nastał ranek. Usłyszała muzykę organową, potężną, która zburzyła jej spokój. To z pewnością grał Waldemar, jak zwykle wpatrzony w portret zmarłej narzeczonej, dobywający z instrumentu potężnych tonów ku jej czci.

Stefania, wiedziona nowym jakimś przeczuciem, wstała jak w lunatycznym śnie i ruszyła krążankiem w kierunku skąd dochodziła muzyka. Na dworze dzień wstawał piękny, jasny. Wschodzące słońce zalewało złotą lawą blanki murów i dachówki wieżyc zamkowych, zdawało się pieścić na równi z lekkim wietrzykiem błękitną, magnacką chorągiew. Ptaki wzniosły radosny hymn pod lazurowe sklepienie nieba, niemniej potężny od tego, który wydobywał pan zamku ze starożytnego instrumentu. Stefania poczuła radość wlewającą się do jej serca, witającą światło. Nawet grany przez ordynata utwór nie wydawał się tchnąć żalobą, ale współgrał wraz z innymi dźwiękami we wspaniałym misterium dnia. Dawna apatia zniknęła, lęki pierzchły i skryły się w kącie przed bystrymi, gorącymi promieniami – Stefania czuła się zdrowa i pełna energii, Odważnie przekroczyła odrzwia muzycznej sali.

Waldemar siedział zwrócony do niej tyłem, skupiony na grze. Od czasu do czasu spoglądał na portret ukochanej, który jaśniał w tej komnacie niczym drugie słońce, odbicie tego, z którym weszła Stefania. Znowu dwie Stefanie – ta namalowana i ta prawdziwa – zmierzyły się wzrokiem, ale w spojrzeniu tym nie było walki ani niechęci, lecz jakby pojednanie na wieki. Miedzy tymi dwiema postaciami nie było już konfliktu i odczuł to w owej chwili Waldemar.

Przerwał grę, wyprostował się gwałtownie i odwrócił szybko swoją piękną głowę w kierunku wchodzącej. W jego spojrzeniu było jakieś szaleństwo, ale szlachetne i święte. Ogarnął ją oczami od stóp do głów, nie lękając się osłepiających promieni, które niby płaszcz złocisty spływały z niej. Jakże była cudna w tej chwili!

–Zupełnie jak... ona – szepnął prawie niedosłyszalnie.

Wyciągnął ku niej dłonie. Cofnęła się odruchowo sądząc, że ordynat nie wie, co czyni. On jednak był przytomny.

–Stefciu – powiedział głosem zupełnie opanowanym i jasnym – pozwól, że będę tak do ciebie mówił, gdyż wiem, że jesteś dla mnie zesłanym aniołem pocieszenia, który zbłąkał się do mego zamku przygnany diabelską wichurą... Jakże mam jednak nie przyjąć twojej miłości, skoro sam czuję w piersiach to samo?! Nie, nie mów nic – zawołał widząc, że Stefania chce mu przerwać. – Wszystko mogę czytać w twoich oczach przepastnych... Powiedz mi tylko: kocham cię, Waldy.

–Kocham cię, Waldy – powtórzyła jak dźwięczne, górskie echo Stefania.

–A widzisz, Stefciu, taką cię zawsze kochałem... Łagodną, dobrą, promienną... Zniknęły gdzieś teraz lata udręki, niepewności, w czasie których czekałem na ciebie. A teraz jestem tutaj i ty stoisz przede mną... żywa, uśmiechnięta... nie widmo z moich snów.

Gdy to mówił ona szła powoli ku niemu i on zbliżał się ku niej. Patrzyli sobie uporczywie w oczy, jakby chcieli wyczytać z nich zagadkę swojego bytu. Witrażowe okna sali rozjaśniało coraz silniejsze światło i grało na wszystkim, także i na twarzach dwojga zakochanych bajecznie kolorową, bizantyńską mozaiką. Stanęli wreszcie tak blisko siebie, że czuli nawzajem na sobie swoje oddechy, owiewające oboje radosnym tchnieniem. Ujęli się za ręce, a potem przywarli do siebie, obejmując się w mocnym uścisku, jakby bojąc się, że chwila za chwilę przeminie i znowu coś utracą bezpowrotnie. Brali teraz odwet za wiele lat udręki i oczekiwania. Wreszcie spełniło się wielkie i święte marzenie obojga!

Stefanii wydało się, że pachną znowu róże, jak wtedy, kiedy ordynat zasypywał jej sypialnię kwiatami. Była coraz bardziej odurzona – nie wiedziała czy potęgującą się słodką wonią królewskich kwiatów czy też upaja ją do tego stopnia bliskość ukochanego. Chciałaby tak trwać z nim całe wieki policzek przy policzku. Gardło jej dławili lzy szczęścia. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa ze ściśniętej krtani.

Waldy tymczasem szeptał jej do ucha:

–Nie płacz, najdroższa moja, kochana Stefciu, nie płacz. Skończyła się już stara, okrutna baśń. Złe moce pokonane, a my wступujemy teraz na słoneczny szlak szczęścia. Wszystko będzie jak w baśni, tyle że prawdziwej. Będziemy żyli długo i szczęśliwie...

W tym swoim ciasnym splocie ramion byli jak dwa drzewa oplatające się przez lata całe gałęziami, aż w końcu stają się jednością. I czuli tę jedność w sobie, stając się jednym ciałem i jedną duszą.

Waldemar spojrział raz jeszcze na portret Stefci Rudeckiej.

–Spójrz, najdroższa – szepnął – ona nam błogosławi.

W igrających na płótnie zmiennych, kolorowych latach parze zakochanych istotnie wydało się, że postać z portretu uśmiecha się radośnie i czyni dłonią nad nimi gest błogosławieństwa... Wciąż przytuleni do siebie opadli na najbliższą otomanę, zamykając wokół siebie pąk kwiatu z ogrodu rozkoszy. Stefania przymknęła zamglone oczy i otworzyła się na przyjęcie radości najwyższej – na zespolenie z ukochanym, na misterium radości i szczęścia.

